

- Prof. Filip Pierzchalski Dlaczego PiS wygrywa wybory
- Codziennie Polityczne Kłamstwo
- Towarzystwo wzajemnej adoracji – o sztabie **Trzaskowskiego**

WYBRANIEC PREZESA



10 237 177

głosowało przeciw

WARSZAWSKI

TEATR CAPITOL

NAJLEPSZE KOMEDIE • KLIMATYZOWANE SALE • ORZEŻWIAJĄCE KOKTAJLE



CAPITALNE LATO

GRAMY PRZEZ CAŁE WAKACJE!

• KUP

BILET
TEATR CAPITOL

www.teatrcapitol.pl

Patroni Medialni

WZECZPOSPOLITA

TeleGazeta

Kobiety

ams

Familie.pl

Profil

Partnerzy Teatru

Gatta

KROSS

PLM

kicket

AKTYWNA WARSZAWA

STREFA MUSIC

BEST CAN

Imzo

OKA TELEWIZYJNE



Jerzy Domański MÓJ PRZEGLĄD

Czarne jest zawsze czarne

Naród wybrał, więc akceptujemy tego prezydenta. Jakikolwiek by był. Po wyborach słyszę prawie wyłącznie takie głosy. Dwa obozy, jeden chór.

Pora więc powiedzieć, że wynik z 1 czerwca nie sprawił, że ci, którzy kradli, oszukiwali, zatrudniali rodziny i kumpli na państwowych posadach, wyprowadzali miliony złotych dla swoich, stali się nagle krystalicznie porządnymi obywatelami. A tak można by pomyśleć, gdy wyszli z biało-czerwonymi flagami, udając patriotów. Chętnie znowu poprowadzą naród. Przez osiem lat rządzili i, korzystając z krótkiej pamięci wyborców, już chcą wracać. Na posady. Może im się udać ten comeback, bo nieudolność koalicji rządzącej jest jeszcze większa niż to, co pokazał sztab Trzaskowskiego. Towarzystwo wzajemnej adoracji tak potykało się tam o własne nogi, że z nimi na pokładzie nikt by wyborów nie wygrał.

Obóz PiS, doraźnie zbratany z Konfederacją, minimalnie wygrał, bo kampanię Nawrockiemu organizowali i opłacali ludzie ze starej władzy. Skrajnie zdesperowani i zmotywowani. Porażka Nawrockiego oznaczałaby dla nich przyspieszenie dochodzeń prokuratorskich i spraw sądowych. Kilkaset osób z bepośredniego zaplecza PiS, z liderami partii włącznie, dobrze wie, jak poważne zarzuty na nich ciążyą. Po niedzieli wyborczej odechnęli. Mają prezydenta, który ich ochroni. Ma przecież

zobowiązania. Bez tej grupy sponsorów z pewnością by nie wygrał.

W przeciwieństwie do PiS, które szykowało się na podważanie wyborów, gdyby wygrał Trzaskowski, ja uznaję ich wyniki. Mimo bardzo poważnych zastrzeżeń do oszukańczej i brudnej kampanii, którą prowadził sztab Nawrockiego.

Kogoś tak odległego od oczekiwań, kryteriów, jakie powinien spełniać prezydent kraju, nikt parę miesięcy wcześniej nie mógł sobie wyobrazić. Nawet w PiS. Wystarczy przypomnieć reakcję polityków tej partii po ogłoszeniu osobistego wyboru Kaczyńskiego.

Kandydat dobry dla Kaczyńskiego z założenia jest jak najgorszy dla Polski. Od 20 lat ćwiczymy przecież, że prezes wszystkich poza swoim małym rozgarniętym dworem traktuje wyłącznie instrumentalnie. Teraz będzie próbował rozbić rządzącą koalicję. Ale na miejscu Konfederacji też bym się nie odwracał do niego plecami. Sądzę, że to ta partia stała się dla niego głównym celem przemyślnych i perfidnych ataków.

A Nawrocki? Pamiętam, kim jest i co robił. Wiem, jak łatwo korzysta z pieniędzy publicznych.

Media są po to, by społeczeństwo o prezydencie RP wiedziało wszystko. Staniemy więc po stronie prawdy. I tych, którzy wiedzą, że czarne jest zawsze czarne.

BAKOWSKI



W NUMERZE

KRAJ

- 8 **Dlaczego PiS wygrywa wybory**
– rozmowa z prof. Filipem Pierchalskim
- 12 **Towarzystwo wzajemnej adoracji**
Żeby wygrać, trzeba mieć sztab
- 15 **Codziennie Polityczne Kłamstwa**
„Urealniona” inwestycja w megalotniko
- 18 **Ze Stalowej Woli w kosmos**
– rozmowa z Tomaszem Czajką
- 20 **Po co nam czołgi?**
Inwestujemy w przestarzałą broń
- 24 **Osiedla grozy**
Mieszkania komunalne wstydem dla miasta?

OPINIE

- 27 **Piotr Kimla**
Głos Bruce’a Springsteena
- 28 **Paweł Siergiejczyk**
Przekleństwo drugiej tury

MEDIA

- 32 **Grand Press Photo**
Fotoreportaż Marcina Górzyńskiego

ZAGRANICA

- 34 **Mgła wojny,**
czyli o Gazie wiemy za mało
- 38 **Belfast – uporządkowany chaos**
Korespondencja z Irlandii Północnej

SPORT

- 42 **Rzeź winiątek**
Problemy Pierwszego Świata piłki i nasze

KULTURA

- 44 **Teściński za domem**
45. Warszawskie Spotkania Teatralne
- 47 **Culturalia**
- 48 **Rewolucja oczami dziecka**
– rozmowa z Lionelem Baierem
- 66 **Jej portret i inne herstorie**
Wystawa Ewy Cwikły

EKOLOGIA

- 50 **W geście dla natury**
Recyklimaty w sklepach

OBSERWACJE

- 52 **Tu podkręcamy swoje CV**
Szwedzkie więzienia porażką państwa

PSYCHOLOGIA

- 56 **Wszystko, o czym nie mówimy**
Ciężar rodzinnych sekretów

ZWIERZĘTA

- 59 **Wydra prosi do tańca**
Fotograficzne łowy nad Narwią

FELIETONY I KOMENTARZE

- 3 **Jerzy Domański**
Czarne jest zawsze czarne
- 23 **Andrzej Romanowski**
Mocz Karola Nawrockiego
- 31 **Roman Kurkiewicz**
Krajobraz po, horyzont przed
- 41 **Tomasz Jastrun**
Dwa narody
- 55 **Wojciech Kuczok**
Jasna strona mroku



34

ZAGRANICA

MGŁA WOJNY, czyli o Gazie wiemy za mało



59

ZWIERZĘTA

WYDRA PROSI DO TAŃCA

Fotograficzne łowy nad Narwią



66

KULTURA

JEJ PORTRET I INNE HERSTORIE

Wystawa Ewy Cwikły

Projekt okładki: Iza Mierzejewska

FOT. FILIP NAUMIENKO/REPORTER

eprasa.pl 52277048a6



f Jeszcze zatęsknimy?

Żenujący festiwal urągania Nawrockiemu i jego elektoratowi, jaki miał i – jak widzimy – nadal ma miejsce, więcej mówi o uśmiechniętej Polsce, eliciakach, progresyjniakach czy jak tam ich jeszcze zwać, niż o Nawrockim i jego wyborcach. Demoliberalny mainstream robi to już kolejny raz, kolejny raz przeciwskutecznie i – to już jest naprawdę niesamowite – po raz kolejny nie wyciąga z klęski żadnych, ale to żadnych rozsądnych wniosków. Naprawdę, chyba już szympans po tyłu wtopach by się połapał, że robi coś złe, a uśmiechako-eliciaki nie są w stanie tego ogarnąć. Do tej pory walenie z barana w ścianę nie przynosiło efektu, więc walcie dalej. Tylko mocniej. Wówczas wasi przeciwnicy się zawstydzą i przy następnych wyborach na pewno zagłosują, jak należy, a niesuszni, niegodni demokracji kandydaci w ogóle nie ośmielą się stanąć do wyborczej rywalizacji.

Roland Wagner

f Róbmy swoje

Skaldowie śpiewali ponad 50 lat temu: „Nie zawsze twój bas dociera do mas, czasami trzeba piano”. Nie stanęli na wysokości zadania żołnierze frontu ideologicznego, inżynierowie dusz. Na laurach spoczęli, zaniedbali pracę ideowo-polityczno-wychowawczą. Nie potrafili dotrzeć do mas z przekazem, strasząc mieszkaniem, snuciami, ustawkami. A jak widać, demokracja nie jest dana raz na zawsze. Nadzieja trwała trzy godziny. A teraz czas chorzał żałobny ponuro śpiewać, jakoby dusze owe potępione, co się nocami po Polach Dzikich snują...

Grzegorz Kotyński



f „Tragiczne okoliczności” zamiast mordu

Problem w pracach ekshumacyjnych polega na tym, że w 2015 r. parlament Ukrainy przyjął ustawę, wedle której za bojowników walk o niezawisłość Ukrainy uznani są wszyscy ci, którzy uczestniczyli w różnorodnych formach walki o niezależność kraju w XX w. Czyli zbrodniarze z OUN/UPA, którzy wymordowali w latach 1943-1947 prawie 130 tys. Polaków, są wedle tej ustawy bohaterami Ukrainy. Co najważniejsze, wedle ustawy karze podlegają wszyscy, którzy okazywaliby lekceważenie dla weteranów, negowali celowość ich walki – każdy, kto powie, że Bandera, Szuchewycz i cała ich banda z OUN/UPA to mordercy Polaków, zostanie przestępcą na Ukrainie. I teraz, wracając do ekshumacji tocących się pod nadzorem ukraińskich służb i ludzi z tamtejszego IPN, można stwierdzić, że to po prostu farsa. Już samo wykluczenie dzieci jako ofiar banderyzmu to splunięcie w twarz żyjącym jeszcze krewnym tych ofiar. Te ekshumacje to po prostu marne przedstawienie dla naiwniaków, którzy sądzą, że to poprawi stosunki między narodami. Dlaczego Niemcy mogli przełknąć swoją nazistowską historię, przeproszać i zapewniać, że to nigdy się nie powtórzy? Jak to jest, że Ukraina za pieniądze otrzymywane od innych krajów stawia zbrodniarzom muzea?

Michał Czarnowski



ZDJĘCIE TYGODNIA



Pierwsza dama Agata Duda z małżonkiem na obchodach Święta Służby Ochrony Państwa. Rozwiewamy wszelkie wątpliwości, ręka na udzie szefa MSWiA Tomasza Siemoniaka należy do niego samego. Warszawa, 5 czerwca 2025 r.

Sejm przegłosował ustanowienie **11 lipca Dniem Pamięci o Polakach – Ofiarach Ludobójstwa** dokonanego przez OUN-UPA na Kresach Wschodnich II RP. W latach 1939-1946 nacjonaliści ukraińscy z Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów (OUN), Ukraińskiej Powstańczej Armii (UPA) oraz innych ugrupowań dokonali na ludności polskiej zbrodni ludobójstwa. Zamordowali ponad 100 tys. Polaków, głównie mieszkańców wsi. O upamiętnienie zamęczonych ofiar apelowali od wielu lat politycy PSL i środowiska kresowe, z **posem Tadeuszem Samborskim (PSL)** na czele.

Ministerstwo Spraw Zagranicznych Ukrainy zareagowało bezczelnym oświadczeniem o sprzeczności ustawy Sejmu z duchem dobrosąsiedzkich stosunków. Piszą to politycy, którzy firmują masowy i fanatyczny kult zbrodniarzy na terenie całej Ukrainy.

Ponad 1,1 tys. przestępstw popełnili policjanci w 2024 r. Ściga ich Biuro Spraw Wewnętrznych Policji. W Warszawie zatrzymano 27-letnią policjantkę z najbardziej tajnej komórki, zajmującej się operacjami pod przykryciem, przesłuchaniami i przeszukaniem osób ściganych. Funkcjonariuszka wpadła na rauszu, z mefedronem; poza służbą występowała w patozawodach Butt Slaps.

802,7 tys. bezrobotnych było zarejestrowanych w urzędach pracy w kwietniu.

Na ochronę prezesa Kaczyńskiego PiS wydało do

lipca 2024 r. 1,22 mln zł z subwencji otrzymanych z budżetu państwa. W kolejnych miesiącach, do końca 2024 r., płacono za tę ochronę z pieniędzy pochodzących ze składek i darowizn.

Około 800 tys. zł wydała PO w 2024 r. na badania społeczno-polityczne. Co miesiąc partia przeznaczała 25 tys. zł na monitoring internetu, a na prowadzenie portali w mediach społecznościowych 18 tys. zł.

Prokuratura Krajowa postawiła Jarosławowi W., dyrektorowi Delegatury CBA w Warszawie, i Katarzynie S., naczelnik Wydziału Operacyjno-Sledczego, zarzuty w sprawie inwigilacji Pegasusem prezydenta Sopotu Jacka Karnowskiego i wyludzenia na to zgody sądu.

Film Weroniki Mliczewskiej „Dziecko z pyłu” wygrał Krakowski Festiwal Filmowy i dostał **Złotego Lajkonika** za najlepszy film dokumentalny.

W czasie rozprawy w Sądzie Rejonowym dla Warszawy-Śródmieścia, dotyczącej konfliktu Roberta Lewandowskiego z jego byłym agentem Cezarym Kucharskim, odsłuchano cztery nagrania zarejestrowane przez piłkarza. Dwa długie spotkania odbyły się w monachijskim hotelu Kempinski i w warszawskiej restauracji Baczewskich. Padły zarzuty oszustw podatkowych, wyludzeń kredytu i prania brudnych pieniędzy.

Na terenie Polski stacjonuje prawie **10 tys. żołnierzy** amerykańskich, a w Europie ok. 80 tys. Najwięcej na terenie Niemiec.

PRZEBŁYSKI



Duszczycki w prezerwatywie

Jeśli mieszkacie w Katowicach i macie dzieci w wieku licealnym, to szerokim łukiem omijajcie tamtejsze Liceum Ogólnokształcące nr 2. A jeśli już dziecko tam trafi, czujnie obserwujcie szkolnego katechetę. To taki gość, który potrafi licealistom powiedzieć: „Plemniki w prezerwatywie to zamknięte duszczycki”. Tak mówi do uczniów. A do uczennic: „Tampony noszą tylko zboczone dziewczyny, które nie potrafią wytrzymać bez niczego w pochwie”. Do obu płci kieruje przestrogą, że „antykoncepcja jest rakotwórcza”. Uczniowie tej szkoły opisują swoje kontakty z katechetą na profilu grupy facebookowej.

Posłanka skandalistka

Kto trzyma parasol ochronny nad Kingą Gajewską? Z tyloma skandalami na koncie dawno powinna wylecieć z polityki. Mimo to jest posłanką Koalicji Obywatelskiej od trzech kadencji. Ma 34 lata i od 10 lat z polityki żyje. I to jak! Ma dom pod Warszawą, ale mieszka w stolicy z mężem, Arkadiuszem Myrzą, też posem KO i wiceministrem sprawiedliwości. Na mieszkancko biorą z Sejmu 7750 zł. Co miesiąc. Nie żałują sobie także sejmowej kasy na ryczałty samochodowe. W tej kadencji pobrali już 82 tys. zł, co oznaczałoby, że przejechali ok. 72 tys. km. Myrcha ma również do dyspozycji samochód służbowy.

Szczytem bezczelności i infantylizmu Gajewskiej, która traktuje ludzi z butą, była jej wizyta w Domu Pomocy Społecznej w Nowym Dworze Mazowieckim. Posłanka KO wręczyła tam panu Stasiowi worek kartofli. I nic. Wszystkie skandale spływają po niej jak po kaczce.



Przemoc u Aniołów Stróżów

W Ostrowie Kaliskim jest dom dziecka im. Aniołów Stróżów. Zarządzający nim diecezjalny Caritas miał w pieczy piętnaścioro dzieci w wieku 6-18 lat. Za wszystko płacił powiat kaliski. Do czasu kontroli, którą zarządziła wojewoda wielkopolska Agata Sobczyk. Czegoż w tym domu nie było! Groźby, bicie, szarpanie, straszenie: „bo ci przyp...” albo „wyjeb...”, klepanie dziewczynek po pupie. Jeden z wychowawców miał dziwną zażyłość z wychowankiem. Do tego potworny brud, uszkodzone szambo i zepsuta żywność. A nad domem szylid z Aniołami Stróżami. Aniołowie zaspali? Uciekli? Nie dojechali? Prokuratura tego nie ustali. Ale przestępców z domu dziecka musi wskazać.

Remanent powyborczy

Pomyśleliśmy, że czytelników może zaciekawić, kto w „Super Expressie” pochwalili się głosowaniem na Karola Nawrockiego. Aktorki Anna Chodakowska, Ewa Dałkowska i Halina Łabonarska; sportowcy Tomasz Adamek i Wojciech Bartnik (bokserzy), Urszula Kielan i Wanda Panfil (lekkoatletki), Zofia Klepacka (windsurferka); muzyk Sławomir Łosowski. Z mediów Anna Popek, Krzysztof Miklas i Filip Chajzer.

I jeszcze raz o Marku Wochu. Zebrał 100 tys. podpisów za swoją kandydaturą. A w wyborach zagłosowało na niego tylko 18 338 osób. W tym 175 w gminie Kąkolewnica, gdzie Woch mieszka (na 4004 osoby, które tam poszły na wybory). Gdzieś mu się zgubiło ponad 80 tys. ludzi z podpisami. Jeśli Wochem nie powinna się zająć prokuratura, to kim?



PYTANIE TYGODNIA | Czy Karol Nawrocki zastępuje rozliczenia przestępców z kręgów PiS?

MICHAŁ WAWRYKIEWICZ,

prawnik, poseł do Parlamentu Europejskiego

Przypuszczam, że takie jest oczekiwanie ze strony tych działaczy Prawa i Sprawiedliwości, na których ciążyą najważniejsze zarzuty, dotyczące przestępstw o charakterze zarówno ustrojowym, np. wybory kopertowe czy podawanie się za posła, jak i kryminalnym – Fundusz Sprawiedliwości, Rządowa Agencja Rezerw Strategicznych i inne. Jednak kolejną rzeczą jest taka, że prokuratura nadal będzie prowadzić te sprawy i kierować akty oskarżenia do sądów karnych i to sądy zadecydują o winie i karze. Na końcu oczywiście prezydent może zastosować prawo łaski, ale nie chcę przewidywać dziś, jak wówczas się zachowa Karol Nawrocki. To będzie za kilka lat i na miejscu podejrzanych nie byłbym taki pewien, że ulaskawienie przyjdzie.

DR TOMASZ KOWALCZUK,

politolog, filozof, literaturoznawca, UW

Nawrocki został prezydentem jako kandydat obywatela Kaczyńskiego i jego partii. Jednak z perspektywy generacyjnej, jak również politycznej, wydaje się nie pasować do tych inteligentnych żoliborskich zapatrywań. Kaczyński zawsze gardził blokowiskami, z których Nawrocki się wywodzi. W ogóle niewiele wiemy o zamiarach prezydenta elekta, ale wydaje się bliższy Konfederacji. Jego zwycięstwo de facto umacnia narodową

frakcję Bosaka. Nawrocki nie musi więc być grzeczny wobec PiS, bo drugą kadencję mogą mu dać wyborcy Konfederacji. Ulaskawienia będą ewentualnym elementem przetargów i haków. Pytanie też, czy ekipa Tuska w ogóle zdecyduje się iść w rozliczenia, a jeśli już, to w jakim stopniu.

DR MATEUSZ ZAREMBA,

politolog, USWPS

Nie widzę za bardzo możliwości stopowania. Tak naprawdę jedynym mechanizmem, który Nawrocki może wykorzystać, jest prawo łaski. Będzie ono jednak do wykorzystania na etapie wyroków (lub procesów). Ale nawet wtedy Nawrocki będzie musiał być ostrożny w używaniu instrumentu, jakim jest prawo łaski. Andrzej Duda skorzystał z tego prawa na początku prezydentury. Zagrał kartą, która wiązała się z ryzykiem, że opinia publiczna może zareagować na ulaskawienia dość negatywnie jako na pewien przejaw kumoterstwa. Drugim takim przykładem był prezydent Aleksander Kwaśniewski, który wykorzystał ulaskawienia pod koniec swojej drugiej kadencji. W tym wypadku również zdenerwował wyborców. Dlatego wiele zależy od wyczucia nastrojów społecznych i własnego interesu politycznego. Jeśli spojrzymy na to z tej perspektywy, wbrew pozorom tych ulaskawień może wcale nie być tak wiele.

Rozmawiał Kornel Wawrzyniak

Dlaczego PiS wygrywa wybory

20 lat dzielenia Polaków zrobiło swoje

Rozmawia Robert Walenciak

Kampania prezydencka pana nie zaskoczyła.

– Jesteśmy w takim miejscu, że polityka ma wiele wymiarów, ale nie może nam uciec jej wymiar emocjonalny czy afektywny. To, czego teraz doświadczyliśmy, jest tego rezultatem. Po prostu w Polsce od co najmniej dwóch dekad działa inżynieria emocjonalna, inżynieria polityczna bazująca na aktywowaniu i wygaszaniu różnych emocji.

Czyli ludzie nie myślą kategorią swoich interesów?

– To pytanie politologiczne, czy w XXI w. stać nas na nową ideologię. Bo jednak cały czas odgrzewamy XIX-wieczne projekty ideologiczne, zakorzenione w myśli liberalnej, konserwatywnej, socjalistycznej. Rzeczywiście, jest jakiś nowy pomysł – ruchy ekologiczne. Czyli poruszamy problemy środowiskowe, co stanowi pozytywną ideologiczną próbę odpowiedzi na wyzwania współczesności. Ale moim zdaniem polskie wybory pokazały po raz kolejny, że wymiar emocjonalny, afektywny polityki jest bardziej aktualny. To nie tylko wojna plemion, o której w „Przeglądzie” mówił prof. Lech Szczęgół. Ta wojna stanowi jeden element polityki. Drugi – to socjotechnika polityczna w wymiarze emocjonalnym, propaganda emocjonalna, ale też audiowizualna. Ten wymiar jest sugestywny i nad wyraz skuteczny, a prawa strona to zdominowała.



PROF. FILIP PIERZCHAŃSKI

– politolog, dr hab. w Katedrze Teorii Polityki i Myśli Politycznej Wydziału Nauk Politycznych i Studiów Międzynarodowych Uniwersytetu Warszawskiego. W pracy badawczej zajmuje się fenomenem przywództwa politycznego i socjotechniką polityczną. Ostatnio opublikował książkę „Widzialność zawiści. O resentymencie w życiu politycznym”.

Emocje nas jednoczą

Bardzo?

– Było to widać przed drugą turą u Trzaskowskiego, który mówił: chcę być prezydentem wszystkich Polaków. Ale czy można być dzisiaj prezydentem wszystkich Polek i Polaków? Odpowiedź jest oczywista – nie. Ktoś, kto tak myśli, błędzi. Jesteśmy dwie albo trzy dekady za takim myśleniem. To nie jest czas Aleksandra Kwaśniewskiego. Dzisiaj powiedzenie: będę prezydentem wszystkich Polek i Polaków, okazuje się wtórne i bez sensu. Bo dziś to emocje, w wymiarze ponadjednostkowym, grupowym, nadają nam wspólne ramy doświadczenia. Te emocje tworzą wspólnotę. Prawa strona, bazując na doświadczeniach oraz na fenomenie prawicowego popu-

lizmu, nazwanego także *angry populism*, czyli wściekłego populizmu, który oczywiście kojarzymy z Donaldem Trumpem, znakomicie w to gra.

Więc?

– Więc mamy instrumentalizowanie emocji negatywnych. Poprzez odwoływanie się do naszych emocji pierwotnych, tych, które mamy ewolucyjnie przyporządkowane do *homo sapiens*. Każdy z nas ma wrodzone poczucie lęku i strachu. To emocja pierwotna. Ale to, co będzie wywoływało ten lęk czy strach, jest już kwestią inżynierii, o której mówimy.

Możemy zagrać na różnych emocjach i te przepływy, te fluktuacje między grupami wyborców za chwilę mogą całkowicie się odwrócić,

przetasować, bo emocje mają to do siebie, że są bardzo skuteczne, ale krótkotrwałe. Trzeba pamiętać, że nowy sposób myślenia wynikający z trumpizmu polega na tym, że budujemy emocjonalne doświadczenie, ale to jest tymczasowe. Często też bardzo powierzchowne, co również w badaniach wychodzi.

To mnie nie dziwi.

– Wiemy, że tzw. statystyczni Polacy mają, po pierwsze, bardzo krótką pamięć polityczną. Po drugie, ich identyfikacja ideologiczna jest zerowa, bo ich wiedza polityczna jest zerowa. Tym bardziej są więc podatni na bodźce emocjonalne, na te krótkie epizody, które wzbudzają w nich raczej reakcje negatywne niż pozytywne.

Mamy dzisiaj do czynienia z zupełnie innymi ludźmi, którzy są zanurzeni w nowych mediach. I to zmienia ich percepcję. Nowe media, nowe technologie – w nich rozegrała się kampania wyborcza. Widzimy, że aktywność sztabu PiS była tam o wiele większa niż sztabu PO. No i niestety chyba dużo racji jest w stwierdzeniu, że ten system był wspomagany przez Amerykanów. Algorytmy pomagały.

Działy tak, by przyciągać uwagę?

– Dzisiaj to się ładnie nazywa, że działają, żeby stworzyć kulturę fanowską wśród wyborców. Na zasadzie, że ja cały czas śledzę posty mojego bohatera. One są krótkie, emocjonalne, często audiowizualne. A ja robię to w sposób permanentny, cały czas patrzę w komórkę.

To tak zmieniło komunikację społeczną?

– Użytkownicy sieci przede wszystkim nie potrafią skoncentrować uwagi przez dłuższy czas na komunikacie, na treści. Dotrzeć do nich mogą tylko krótkie komunikaty, bo mamy zalew informacji, więc ludzie scrollują i wybierają hasłowo, co ich interesuje. Rzadko który mówi: sprawdzam, stąd uwagi o postpolityce i postprawdzie, bo nie mamy czasu na sprawdzanie, czy to jest *deep fake news*, czy prawda. Po prostu albo coś nam się podoba, albo nie, coś wzbudza emocje bądź nie.

Mamy więc zmiany percepcyjne, ludzie nie są w stanie długo

koncentrować uwagi na treściach politycznych. W tym sensie przy tworzeniu kampanii należy zakładać, że społeczeństwo to zbiór różnych doświadczeń emocjonalnych.

My – patrioci, oni – gorszy sort

Jakich?

– Najważniejszym momentem jest przełożenie indywidualnego doświadczenia emocjonalnego, naszej indywidualnej reaktywności na coś zbiorowego, ponadjednostkowego. To jest klucz.

Trzeba zbudować jakąś opowieść, narrację emocjonalną, tak jak to zrobił Nawrocki i w jakiejś mierze próbował robić Trzaskowski. W tym momencie pojawiają się osoby, dla których to jest właśnie ich kandydat. On nie będzie kandydatem wszystkich Polek i Polaków, tylko tych, którzy akurat w tym momencie

Polacy mają krótką pamięć polityczną. Ich identyfikacja ideologiczna jest zerowa, bo wiedza polityczna jest zerowa.

znaleźli się na podobnej płaszczyźnie emocjonalnej i to ich połączyło. A to mogą być ludzie kompletnie różni, o różnych statusach społecznych, ekonomicznych i światopoglądowych. Na Nawrockiego może głosować inteligent z Żoliborza, ale też mikroprzedsiębiorca z Raciborza i małohektarowy rolnik z Nowej Wsi Wielkiej.

Czyli chyba powinniśmy trochę przeformatować nasze myślenie, bo jednak fenomen nowego prawicowego populizmu i to, co się stało, sprawia, że, owszem, mamy wojnę plemion, ale te plemiona też są cały czas poddawane różnym bodźcom i często przebudzowane.

I tak już będzie?

– Moim zdaniem polityka nie może przejść dzisiaj obojętnie obok tzw. emocji zbiorowych. A to są takie emocje, których nie mogą przeżywać sam, przeżywamy je tylko wspólnie.

Składają się na to trzy elementy. Pierwszy to element percepcyjny. Kluczowym zmysłem w rozpoznaniu świata, tej rzeczywistości nam najbliższej, także politycznej, jest zmysł

wzroku. Dlatego w kampaniach politycznych kładzie się tak wielki nacisk na przekaz wizualny.

Drugi element to ten moment, kiedy jesteśmy w stanie odpowiedzieć z taką samą emocją na to, co widzimy w naszym otoczeniu. Jak zakończył wieczór wyborczy Karol Nawrocki? Odwołał się do tej wspólnoty, która jest budowana na doświadczeniu emocjonalnym. Bo podziękował komu? „Obozowi patriotów”. To jest ta ponadjednostkowa percepcja.

Jesteśmy w obozie patriotów, a tamci to gorszy, niepolski sort.

– Ci zróżnicowani wyborcy w podobny sposób interpretują jego słowa i towarzyszy im emocja, że to jest pozytywne, że to plan na przyszłą Polskę. To przekaz, który dociera do różnych środowisk. Że to nie będzie prezydent wszystkich Polaków, tylko tej części patriotycznej.

To nie będzie ich prezydent, tylko nasz.

– Mamy za sobą 20 lat inżynierii afektywnej, propagandy emocjonalnej. Mamy 20 lat bardzo dużej polaryzacji i budowania skali wrogości. Powiedzenie teraz, że chcemy zasympać podział, że połączymy się pod jedną flagą, byłoby więc myśleniem naiwnym.

I trzeci element – normatywny, wartościujący. To dlatego elektorat prawicowy, budowany na tym emocjonalnym doświadczeniu, jest tak impregnowany na różnego typu kontrargumenty czy nawet elementy dyskredytujące jego kandydata.

Bohaterowie i aroganci

O jakim doświadczeniu pan myśli?

– Chodzi o ten moment, kiedy my coś socjalizujemy, jakoś się edukujemy w swoich bańkach i ta wiedza ma również element emocjonalny. Jest to też element indoktrynacji szkolnej, kult „żołnierzy wyklętych”, podręczniki do historii, polityka historyczna. To zagościło przed 15 laty w naszej ▶

► przestrzeni publicznej, weszło do programów nauczania, do kuratoriów oświaty i jest tego efekt. Ta normatywność ma podłoże emocjonalne, buduje system wartości.

W efekcie pewne wartości, pewne postacie wzbudzają moją sympatię, są dobre, a inne wywołują antypatię.

– I to nas impregnuje. Bo chodzi tu nie o prostą polaryzację, że to jest nasz albo ich kandydat, ale o to, że za naszym kandydatem stoi pozytywna emocja. I mimo że media drugiej strony mówią coś innego, ja to odrzucam.

Bo mój bohater wpisuje się w schematy zakorzenione w mojej świadomości?

– Możemy tu się odwoływać do różnych schematów. Dychotomia silny-słaby. Nawrocki wpisuje się w nią jako ten silny. Idźmy dalej: mamy

PiS znakomicie wykorzystało politykę historyczną, od budowania Muzeum Powstania Warszawskiego po kult „żołnierzy wyklętych”.

w polskiej myśli politycznej, w polskiej podświadomości wciąż żywy romantyzm polityczny i mesjanizm. Przecież niejednokrotnie słyszeliśmy na Krakowskim Przedmieściu, jak do Jarosława Kaczyńskiego krzyczano: „Jarosław, Polskę zbaw!”. To jest zbudowane na emocji, na podziw, choć mamy paradoks, że jest to przywództwo budowane raczej na resentymencie i zawiści.

Kampania wyborcza była tak budowana, że prawdziwy Polak kontra bonżurek. I zagramy mu na nosie.

– Schemat wyglądał następująco: z jednej strony arogant, a z drugiej ten upokorzony. Było to widać w debacie prezydenckiej. Arogantem był Trzaskowski, wielkomiejskie panisko, niezakompleksiony inteligent warszawski, a z drugiej strony mieliśmy prowincjusza, bez doświadczenia i ogłady międzynarodowej, który coś tam wciąga. Trzaskowski go punktował: przecież pan nie ma doświadczenia międzynarodowego! W ten sposób upokarzał go, a razem z nim jego zwolenników. Pokazywał, że jest arogantem, reprodukowa-

typowy przykład burżua. Człowiek sukcesu, jemu wszystko wyszło, z jednej strony zazdrościmy, ale równocześnie chcielibyśmy go...

Ściągnąć w dół?

– Dokładnie tak. I tu się pojawia coś, na czym prawica ugrała – o czym też mówił Lech Szczęgółta i o czym jest moja książka – zawiść i resentment. Bo emocje są wprawdzie krótkotrwałymi epizodami psychocieleśnymi, ale mogą się przerodzić w nastrój, czyli coś długofalowego. Jeżeli dołożymy komponent czasu, wyborcy mogą w sobie pielęgnować złość, zawiść i urazę. W tej sytuacji Prawo i Sprawiedliwość znakomicie wykorzystało politykę historyczną, od 20 lat ją wykorzystuje, od rozpoczęcia budowy Muzeum Powstania Warszawskiego po kult „żołnierzy wyklętych”. To znakomite podsycanie tego, że

my pamiętamy, co nam zrobiliście, okupanci, co nam zrobiliście, Niemcy. Potem Rosjanie. Ta uraza jest pielęgnowana.

Przekłada się to na politykę wewnętrzną?

– Instytut Pamięci Narodowej, niszczenie pomników żołnierzy radzieckich, usunięcie tablicy Róży Luksemburg w Zamościu to efekt wzięcia sprawy w swoje ręce. No i zawiść. Zawistnik to osoba, która chce mieć to, co ma ktoś inny. Albo życzy mu czegoś najgorszego. Towarzyszy temu poczucie braku satysfakcji, pewne poczucie niższości, że trzeba się odegrać. Ten resentment, dobrze ukierunkowany czy w dobrym momencie podsycony, może się stać paliwem, bo my im pokażemy, odegramy się, na różne sposoby. Odszykamy wtedy godność, uznanie, poczucie własnej wartości. To też może być element impregnujący – tu nie chodzi o racjonalne argumenty, tu nie chodzi o podłoże ideologiczne, o fajną ofertę programową. O, nie! To są wspólnoty doświadczeń emocjonalnych.

Lęki i strachy

Każdy jest dobry, byle tylko tym drugim zrobić na złość?

– Sztab PiS dobrze zastosował nie tylko mikrotargetowanie, mikronarzację, czyli zwracanie się do różnych środowisk, nawet niedużych. Dobrze też rozpoznał siłę resentymentu. Fakt, że polaryzacja i skala wrogości naprawdę umościły się w naszych umysłach i mentalności. Wyzwolenie tej emocji jest tylko kwestią dobrej narracji audiowizualnej.

I wyzwolili?

– Poniżaliśmy nas, a my wam pokażemy! No i jeszcze trzeba dopowiedzieć, że resentment może być rozumiany nie tylko jako zawiść i zemsta, ale również jako ekwiwalent oburzenia. Mamy więc elektorat oburzony, który nawet do końca nie wie, dlaczego tak jest, ale jest wściekły, jest antykomunistyczny, antyliberalny, antyelitystyczny, jest antywszystko. A co ma w zamian pozytywnego? Może sobie wpisać, że jest w obozie patriotycznym.

W takim razie, jeżeli te emocje są budowane na kruchych podstawach, są krótkotrwałe, można chyba je przejąć, skierować w inną stronę?

– To zrobił w kampanii Adrian Zandberg, ratując siebie i partię Razem. Wszedł w logikę nowych mediów. Postawił na TikTok, krótkie komunikaty, shorty, punkt ciężkości przeniósł do social mediów. W ten sposób rozpałał emocje. Zaczęły go popierać osoby, które paradoksalnie nie powinny go popierać, tylko czasowo stworzyły wspólnotę emocjonalnego doświadczenia.

A jakie emocje wywoływał sztab Trzaskowskiego?

– Trzaskowski próbował zbudować uśmiechniętą Polskę, gdzie wszyscy spotkają się pod flagą. Ale był w tym niewiarygodny.

PiS za to było w swojej melodii bardzo autentyczne.

– Sztab PiS wykorzystał negatywne emocje – lęk, strach. Obie te emocje są złożone i negatywne. Strach jest wtedy, kiedy znam obiekt, którego się boję, a lęk wtedy, gdy nie potrafimy go zidentyfikować, nie widzimy realnego przedmiotu, obiektu, który



Jarosław Kaczyński znów może się chwalić, że ma nosa do prezydentów.
Nz. konferencja programowa w Szeligach koło Warszawy, 2 marca 2025 r.

go wywołuje. Stąd islamofobia. Polacy są islamofobiczni, chociaż nigdy w życiu nie rozmawiali z muzułmaninem. I tak dalej.

Stąd nieustający antykomunizm, mimo że już nie ma komunistów?

– Ani komunistów, ani nawet byłych działaczy PZPR, to już emeryci... A cały czas się mówi, że ty jesteś komunistą. Jakaś kompletna aberracja! To wciąż opowieść na emocje. Z syndromem obłączonej twierdzy. Prawa strona bezustannie mówi, że z jednej strony zagrażają nam Ruskie, z drugiej strony zagrażają nam Bruksela, progresizm, dżenderyzm. Książdz Oko się kłania. Bo to wszystko ma jeszcze kontekst religijny.

Siła struktur

Wyborcy z wykształceniem podstawowym w 73% głosowali na Nawrockiego. A z wyższym – w 61% na Trzaskowskiego. Wsie były za Nawrockim. Duże miasta za Trzaskowskim.

– Nie możemy zapominać, że elektorat Prawa i Sprawiedliwości to w dużej mierze, tak jak u Trumpa, ludzie przegrani, zwłaszcza z powodu transformacji. I to nie jest tak, że my ten rów zasypaliśmy. Wcale go nie zasypaliśmy – właśnie prowincja,

tamtejsi ludzie mają poczucie sentymentu do PRL, poczucie przegranej, tego, że im się nie udało na tle innych. Bo my się porównujemy z innymi. W takiej sytuacji pojawia się zawiść.

Ale Polska poza dużymi miastami też pięknie wyrosła.

– Owszem, Polska się zmieniła i większości się polepszyło. Ale niektórzy uważają, że to jednak za mało.

Mamy elektorat oburzony. A co on ma w zamian pozytywnego? Może sobie wpisać, że jest w obozie patriotycznym.

Zwłaszcza wobec tych, którzy mieszkają w dużych miastach. Woleli więc oddać głos na Nawrockiego niż na inteligenta z Warszawy.

I to było motywowane emocją?

– Tutaj nie ma jakiejś głębi. Doszukiwanie się jej jest chyba niepotrzebne. Elektorat dzisiaj jest rozemocjonowany.

Różne zatem emocje mogą nim targać.

– Niech pan zobaczy: w trakcie Czarnego Protestu też była klasyczna wspólnota doświadczenia emocjonalnego. Na protest podjeżdżała bizneswoman swoim supermercedem, przychodziła wdowa bez renty

wdowiej i licealistka, studentka, pracownica korporacji. Identyfikowały się czarnymi parasolkami. W tym momencie chodziło o to, że była dobrze rozpalona emocja. Powstał pewien wspólny, homogeniczny konglomerat ludzi postulatu konkretnego. I PiS to przeczekowało.

Jarosław wiedział, że to wygaśnię, prawda?

– A liderki nie były w stanie tego przekuć w sukces polityczny. Tu chyba rację ma Roman Kurkiewicz, który mówi, że bez struktur się nie dało. To też wiemy z historii ruchu robotniczego. Że jeśli nie stworzę struktur, to każda idea uschnie.

Struktury partyjne wpłynęły również na wynik wyborczy. Polska gminna była zaklejona plakatami Nawrockiego. Na tym też polegała presja – jeżeli twój sąsiad wiesza plakat Nawrockiego, czyli wierzy w niego, to komu ty uwierzysz? Sąsiadowi czy jakiemuś dziennikarzowi, który opowiada o Nawrockim inne rzeczy?

– To już się działo w ostatniej kampanii Dudy. Przede wszystkim mikrotargetowanie, czyli kandydat jedzie z konkretnym rozpoznaniem, jakie są potrzeby, aspiracje i marzenia lokalnego audytorium i elektoratu. To także jest wykorzystanie potencjału struktur. W ten sposób Polska prowincjonalna, Polska zakompleksiona z resentymentem w tle mogła wejść

do gry. Ten resentyment zbudowany był na tradycji, na polityce historycznej. To wszystko pracuje. Można powiedzieć więcej: przecież Grzegorz Braun też jest tego efektem. Załapał się na tę falę, rozszerzył to i radykalizował. Nie wiem, czy pan widział w tej Polsce prowincjonalnej balkony, a nawet ogródki. Wszystko było oznaczone: tu jest Polska. Jest wbita flaga, szturmówka, jest plakat Grzegorza Brauna. Reszta może być tęczą, ale tu jest Polska. A to jest przecież zbudowane na emocji.

Robert Walenciak
r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl

Towarzystwo wzajemnej adoracji

Rafał Trzaskowski nie mógł wygrać wyborów prezydenckich, bo jego sztab zamiast z profesjonalistów składał się z klakierów i ignorantów

Andrzej Sikorski

Jarosław Kaczyński i jego współpracownicy do wyborów prezydenckich zaczęli się szykować już na początku 2024 r. Choć grono pretendentów do najwyższego urzędu w państwie było szerokie, PiS nie bawiło się w wewnętrzpartyjne prawyборы. Z zamówionych badań (wzorowanych na tych, które w USA przeprowadzili republikanie) wynikało, że dla konserwatywnego wyborcy idealny kandydat powinien mieć ok. 40 lat, wyższe wykształcenie, rodzinę, dobrą prezencję, charyzmę, siłę, doświadczenie w życiu publicznym, ale nie powinien się kojarzyć zbyt mocno z PiS. Tak wymyślono „kandydata obywatelskiego” Karola Nawrockiego, wytatuowanego stadionowego chuligana, byłego boksera i bywalca siłowni.

Nawrocki był idealny, bo choć jego związki z polityką były raczej luźne, to całą karierę zawdzięczał PiS, które ulokowało go najpierw na stołku dyrektora Muzeum II Wojny Światowej, a potem prezesa Instytutu Pamięci Narodowej. Takiego figuranta wystarczyło dobrze opakować i sprzedać „ciemnemu ludowi”, co sztabowcom PiS udało się perfekcyjnie w zaledwie sześć miesięcy.

Rafał Trzaskowski, który był naturalnym kandydatem obozu demokratycznego i murowanym faworytem do objęcia urzędu prezydenta, miał wszystko, by dobrze się przygotować do wyborczej bitwy: czas, pieniądze, zaplecze, a zwłaszcza doświadczenie zdobyte w kampanii wyborczej w 2020 r. i zaufanie społeczne na poziomie przekraczającym 45%.



Aleksandra Gajewska, Wioletta Paprocka-Ślusarska i Barbara Nowacka na wiecu Rafała Trzaskowskiego w Ciechanowie, 30 maja 2025 r.

Pani Wioletta, dyrektorka z ratusza

Szefową sztabu wyborczego, czyli mózgiem kampanii wyborczej, Trzaskowski mianował swoją zaufaną współpracowniczkę z warszawskiego ratusza i działaczkę PO Wiolettę Paprocką-Ślusarską.

„Było to absurdatne posunięcie. Ona w ogóle nie ma pojęcia o prowadzeniu kampanii wyborczych, a przez większość kariery nosiła teczki za politykami. Poza tym prowadziła kampanię wyborczą w 2023 r., która przecież zakończyła się spektakularną porażką

Koalicji Obywatelskiej (PiS zdobyło 35,38% głosów, a KO 30,70% – przyp. A.S.). Tymczasem Donald Tusk z Rafałem Trzaskowskim wbrew faktom i zdrowemu rozsądkowi obwołali ją architektką zwycięstwa i nikt nawet nie zaprotestował”, mówi jeden z działaczy warszawskiej PO.

CV szefowej sztabu wyborczego Rafała Trzaskowskiego jest kalką typowego aparaczyka. Wioletta Paprocka-Ślusarska, rocznik 1983, pochodzi z Kraśnika. Z PO związała się, mając niewiele ponad 20 lat. Współpracowała z Grzegorzem Schemtyną, była rzeczniczką Ministerstwa



Przedwczesna radość, czyli wieczór wyborczy w Muzeum Etnograficznym w Warszawie. Nz. m.in. Cezary Tomczyk, Michał Marcinkiewicz, Małgorzata i Rafał Trzaskowscy oraz Wioletta Paprocka-Ślusarska.

Spraw Wewnętrznych i Administracji w latach 2007-2009, a potem „doradczynią”, gdy wpływowy polityk PO sprawował funkcję marszałka Sejmu (2010-2011). W czym 27-latką nieobytą w świecie polityki mogła doradzać staremu wyjadaczowi, mistrzowi zakulisowych gier i potyczek, trudno pojąć, ale moi informatorzy utrzymują, że była po prostu jedną z kilku sekretarek czy asystentek Schetyny.

Od 2010 r. Paprocka-Ślusarska jest radną PO w Sejmiku Województwa Mazowieckiego, a w 2013 r., za prezydentury Hanny Gronkiewicz-Waltz, partia ulokowała działaczkę w stołecznym ratuszu. Gdy Rafał Trzaskowski wygrał w stolicy wybory, Paprocka-Ślusarska została szefową jego gabinetu. Stołeczni działacze PO mówią złośliwie, że odpowiada za dostęp do ucha prezydenta Warszawy, kieruje pracami sekretariatu i pełni funkcję łączniczki między urzędem a partią, czyli Donaldem Tuskiem. Niezbyt ambitne zajęcie.

Za pracę dla partii jest sowiec wynagradzana. Jak wynika z jej oświadczenia majątkowego, 42-latką posiada trzy mieszkania, działkę budowlaną oraz 70 tys. zł i prawie 2,4 tys. euro oszczędności. W 2024 r. z tytułu pensji w ratuszu zarobiła 320 tys. zł plus ponad 112 tys. zł za zasiadanie w radach

nadzorczych spółek Tramwaje Warszawskie i Veolia Energia. O takich zarobkach wielu Polaków może tylko pomarzyć.

Sztab wyborczy Rafała Trzaskowskiego składał się z ok. 40 osób – głównie polityków i działaczy partyjnych zaprzyjaźnionych z kandydatem. Byli to m.in. parlamentarzyści: Dorota Łoboda, Barbara Nowacka, Monika Rosa, Sławomir Nitras, Cezary Tomczyk, Monika Wielichowska, Aleksandra Gajewska, Paweł Olszewski, Małgorzata Niemczyk, Paweł Papke, Jagna Marczułajtis, oraz spin doktorzy: Michał Marcinkiewicz i Łukasz Pawłowski (nie mylić z Łukaszem Pawłowskim, szefem Ogólnopolskiej Grupy Badawczej).

Pani Dorota ze żłobka

Dorota Łoboda to polityczna nowicjuszka. Do polityki weszła na fali protestów przeciwko tzw. reformie edukacji firmowanej przez ministrę Annę Zalewską. Prowadziła wówczas ze współniczką żłobek i szkołę językową na warszawskim Żoliborzu. W 2018 r. została stołeczną radną, a w 2023 r. dostała się do Sejmu.

Niewątpliwie zna się na szeroko pojętej edukacji, prawach kobiet, równouprawnieniu, ale prezydencka kampania wyborcza to brutalna walka

polityczna, gdzie liczą się przemyślana i opracowana strategia, ale też nieszablonowe myślenie niezbędne, by dotrzeć do osób nieprzekonanych i wahających się, na kogo oddać głos. Tymczasem Łoboda tak zachęcała do głosowania na Rafała Trzaskowskiego: „Jestem mamą. Macierzyństwo to najpiękniejsze, co przytrafiło mi się w życiu. I jak każda mama chciałabym, aby moje córki żyły w bezpiecznej Polsce. W ostatnich latach chodziły ze mną na protesty, demonstracje w obronie dobrej edukacji i praw kobiet. Ale chciałabym, żebyśmy nie musiały tego robić. Chciałabym, żeby Polska była krajem stabilnym i bezpiecznym. I żeby moje córki mogły się w tym kraju dobrze rozwijać. I dlatego proszę wszystkie mamy o to, żeby wybrały kandydata, który zapewni naszym dzieciom stabilną i bezpieczną przyszłość w Polsce, która nie będzie podzielona i w której nie trzeba będzie walczyć o swoje prawa na ulicach. Wybierzmy Rafała Trzaskowskiego, wybierzmy dobrą i bezpieczną przyszłość naszych dzieci”.

Gdyby Łoboda miała choć blade pojęcie o marketingu politycznym, znała badania elektoratów, wiedziałaby, że to nie matki przechylą szalę zwycięstwa, lecz mężczyźni. A taki infantylny przekaz raczej nie przekona niezdecydowanych do poparcia kandydata obozu demokratycznego.

Pan Michał i pani Monika

Jednym z głównych doradców Rafała Trzaskowskiego był Michał Marcinkiewicz (rocznik 1984), były poseł PO. Marcinkiewicz zdobył mandat poselski w 2007 r., mając zaledwie 23 lata. W kolejnych wyborach został skreślony z listy kandydatów, bo się zagalopował i zbyt wcześnie rozpoczął agitację, co w partii uznano za nielojalność i złamanie zasad. Krzywdą mu się jednak nie stała. Dzięki Radosławowi Sikorskiemu, który był ministrem spraw zagranicznych, Marcinkiewicz dostał posadę konsula RP w Helsinkach. Potem był m.in. szefem gabinetu politycznego ministra spraw zagranicznych i dyrektorem gabinetu marszałka Sejmu, gdy Sikorski został drugą osobą w państwie po Ewie Kopacz, która stanęła na czele rządu. Od ▶

► 2020 r. Marcinkiewicz współpracuje z Trzaskowskim przy kampaniach wyborczych i przy organizacji Campusu Polska. W 2021 r. prezydent Warszawy ulokował swojego zaufanego na stołku prezesa miejskiej spółki Warexpo.

Monika Rosa, choć zasiada w Sejmie od 2015 r., nie jest polityczną fighterką. Zanim trafiła na Wiejską, pracowała w kancelarii prezydenta Bronisława Komorowskiego. Polacy zobaczyli ją w czasie debaty przedstawicieli sztabów zorganizowanej przez Polsat News. Rosa próbowała nieudolnie zaatakować Karola Nawrockiego za wyłudzenie mieszkania, ale nacięła się na ostrą ripostę Tobiasza Bocheńskiego, który wyciągnął postanice, że nie ma jeszcze 40 lat, a już dorobiła się czterech mieszkań, podczas gdy pięćosobowa rodzina Nawrockich mieszka w 50-metrowym lokalu i jak miliony Polaków spłaca kredyt hipoteczny. Po takim ciosie młoda posłanka straciła zapał do punktowania kandydata PiS, a jej występ sprowadził się do recytacji wyuczonych monologów.

Pomieszanie z poplątaniem

Oprócz sztabu w centrali Rafała Trzaskowskiego wspomagały sztaby wojewódzkie i powiatowe. Jednak pomiędzy sztabami nie było koordynacji, a wszyscy działali na zasadzie „każdy sobie rzepkę skrobie”. Kandydat obozu demokratycznego przez większość kampanii sprawiał wrażenie oszołomionego. Nie bardzo było wiadomo, co ma do przekazania i o jaki elektorat zabiega. Dla wielu obserwatorów sceny politycznej dziwaczną było złożenie przez Trzaskowskiego kwiatów pod komisariatem policji na Starym Mieście w Warszawie, gdzie w latach 80. został pobity Grzegorz Przemyski, i na grobie ks. Jerzego Popiełuszki. Wręcz głupie było przymylenie się do Zenka Martyniuka, pieśniarza disco polo lansowanego w TVP za czasów Jacka Kurskiego, który i tak ostatecznie poparł Karola Nawrockiego. Zdumienie liberalnych wyborców wywołały słowa Trzaskowskiego, że 800+ powinno się wyplącać tylko

Ukraińcom pracującym w Polsce i tu płacącym podatki.

Jednak sztabowcy Trzaskowskiego uspokajali, że to przemyślana decyzja i podobnych „gestów w stronę konserwatywnego elektoratu będzie więcej”. Jak donosiła w styczniu 2025 r. „Gazeta Wyborcza”, zamysł był taki, aby przekonać do Trzaskowskiego dwie grupy wyborców: Szymona Hołowni oraz niezdecydowanych o konserwatywnym światopoglądzie. Wydawało się to naiwne lub wręcz głupie, bo przecież na takie tandetne gesty nawet dziecko nie dałoby się nabrać. Ale

Platforma wzięła do sztabu tych, co zawsze. Ludzi, którzy przegrali wszystkie kampanie, które robili, również tę w 2023 r.

to nie wszystko. Stratedzy Trzaskowskiego mieli jeszcze jeden cel. „Chcemy zasiać niepewność w elektoracie Karola Nawrockiego, który nie należy do twardego jądra PiS. Zależy nam na tym, aby wyborcy zniechęceni polityką prowadzoną przez Jarosława Kaczyńskiego, którzy dowiadują się prawdy o ośmiu latach rządów prawicy, po prostu zostali w domach i nie poszli na wybory”, tłumaczył „GW” anonimowy członek sztabu Trzaskowskiego, co zabrzmiało komicznie.

Natomiast tragikomicznie wybrzmiała informacja o tym, że Trzaskowski nie miał specja od wizerunku, który doradziłby mu, jak ma się poruszać, jakie gesty wykonywać, jaką dobrać fryzurę, koszulę czy krawat. Doradcy stwierdzili, że „Rafał tego nie potrzebuje, bo nauczył się tego pięć lat temu, kiedy po raz pierwszy startował w wyborach prezydenckich” (sic!).

Najpiękniejsi, najmądrzejsi

Joanna Mucha, która w Sejmie zasiada od prawie 20 lat, a większość życia politycznego spędziła w PO i zna partię oraz panujące w niej stosunki od podszewki, wypunktowała w mediach społecznościowych sztab Rafała Trzaskowskiego (pisownia oryginalna):

„Platforma nie robi analiz strategicznych. Jest tak przekonana o własnej samozajebistości, że analizy strategiczne nie są potrzebne. Platforma uważa, że jest »lepsza« i w związku z tym istnieje moralny obowiązek głosowania na kandydatów Platformy. Oni uważają, że »im to zwycięstwo się po prostu należy« – to cytuję za anonimowym przedstawicielem sztabu. (...) Platforma wzięła do sztabu tych, co zawsze. Ludzi, którzy przegrali wszystkie kampanie, które robili, również tę w 2023 r. (...) Platforma zamawia badania, płaci za nie grube pieniądze, a potem jeden

członek sztabu z drugim członkiem sztabu siadają i mówią, »eeeeee, nie wydaje mi się, mi się wydaje, że jest inaczej«. Widziałam to, słyszałam to, nie raz, nie dwa razy. Nie można ich przekonać, bo to, co im się wydaje, jest najważniejsze. (...) Kiedy Platforma robi konwencję, budzi się zwykle wieczorem dzień przed wydarzeniem. Wtedy rozpoczyna się łapanka na ludzi, którzy mają wystąpić. Nikt nie wie, o czym ci ludzie będą mówić, nie wiedzą tego nawet ci, którzy mówią! A najgorsze jest to, że kandydat również nie ma przekazu, bo nie wpadli na to, że taki przekaz się przygotowuje. Że się go przygotowuje na podstawie badań! Nie ma przygotowanego komunikatu, oferty do strategicznie istotnych grup elektoratu”.

Joanna Mucha ma rację, a obecna kampania prezydencka przypominała tę sprzed 10 lat, gdy pewny wygranej Bronisław Komorowski przegrał z Andrzejem Dudą. Zapytany po latach o przyczyny porażki były prezydent stwierdził, że „wszyscy, ja i moje zaplecze polityczne, ulegliśmy zgubnemu przeświadczeniu, że na pewno wybory prezydenckie wygramy”. Jak widać, sytuacja się powtórzyła, a Donald Tusk i jego towarzysze partyjni nie uczą się na błędach.

Andrzej Sikorski

CPK

Codziennie Polityczne Kłamstwa

Niedoszacowane odszkodowania i dorobek życia zalany betonem. Tym jest dziś CPK dla rolników



Kornel Wawrzyniak

„CPK jako wizja zostało teraz urealnione i dostosowane do realnych potrzeb. Samo to uczyni życie wielu ludzi znacznie prostszym. Nie będzie to się odbywać na krzywdzie ludzkiej. Rozumiem rozgoryczenie wielu osób, ale realizujemy tę inwestycję w nowej formie”, mówił Marcin Kierwiński na łamach „Faktu”. Ten sam polityk podczas kampanii wyborczej w 2023 r. twierdził na antenie Polskiego Radia 24: „Realizacja Centralnego Portu Komunikacyjnego musi być wstrzymana”.

Tadeusz Szymańczak, jeden z ostatnich mieszkańców terenu inwestycji CPK, przez lata walczył z politykami PiS, krytykując projekt.

Centrum Politycznego Kuglarstwa

„Urealniona” inwestycja wiąże się z wielkimi kosztami. Nie chodzi jednak o miliardy złotych, które Polska wyda na gigantyczne lotnisko, drogi i sieć kolejową. W grę wchodzi dorobek życia nawet kilku pokoleń rolników. Mowa o wysiedleniach z terenów, gdzie mają powstawać kolejne elementy CPK. W gminach, w których ma się znajdować płyta lotniska, jest wiele gospodarstw rolnych, niekiedy

sporych, wielopokoleniowych, z najlepszymi gruntami, których próżno szukać gdzie indziej. Niestety, kwestie wysokości odszkodowań na razie nie zostały przez polityków urealnione.

– Było tu referendum w gminie Baranów, gdzie politycy mówili, że będą słuchać suwerena, ludzi. 84% osób było przeciwnych budowaniu tego lotniska – komentuje Tadeusz Szymańczak ze Skrzelewa w gminie Teresin.

Dla rolników z Mazowsza to koszmar, przez który mogą bezpowrotnie ▶

► stracić dorobek życia. Dla wielu rodzin mieszkających w gminach Baranów, Teresin i Wiskitki rolnictwo jest jedynym źródłem utrzymania. Nową formą, którą zachwalał Marcin Kierwiński, jest więc jedynie to, że projektem zajmuje się Koalicja Obywatelska, a nie Prawo i Sprawiedliwość. Rolnicy tak czy inaczej zostają na lodzie.

Walka i protesty trwały przez osiem lat. Jednak w styczniu 2025 r. klamka zapadła. Decyzja wojewody mazowieckiego przypieczętowała los kilkuset gospodarstw, które jeszcze zostały na placu boju. Większość rodzin nie wytrzymała presji

Nową formą, o której mówił Marcin Kierwiński, jest jedynie to, że projektem zajmuje się Koalicja Obywatelska, a nie PiS. Rolnicy tak czy inaczej zostają na lodzie.

oraz niepewności co do swoich losów. Wzięły, co dawało państwo, i się wyniosły. Ci, którzy zostali, nie wierzą zaś w nic, co oferuje im rząd. Tymczasem spółka CPK musi się śpieszyć. PiS obiecywało, że lotnisko ruszy w 2028 r. Obecnie mówi się o roku 2032. Będąc dziś w opozycji PiS oskarża więc ekipę Tuska o opóźnianie „strategicznej dla Polski inwestycji”.

Według danych spółki CPK do tej pory kupiono 1188 ha gruntów, czyli ok. 45% powierzchni, jaką ma zajmować pierwszy etap lotniska. Spółka podkreśla, że rekordowy pod tym względem był listopad 2024 r., gdy podpisano protokoły uzgodnień i umowy notarialne dla 207 ha. Część osób wyniosła się, kiedy usłyszała, że rząd Donalda Tuska, który za rządów PiS uderzał w pomysł CPK i jeszcze w 2023 r. obiecywał, że zatrzyma ten projekt, postanowił jednak go zrealizować.

„Byliśmy fajni, jak były wybory. Z Kierwińskim, Maciejem Laskiem i Piotrem Zgorzelskim to ja jestem na ty. Hołownia mnie po plecach klepał. Mówiłem to PiS, powtarzam teraz: nie budujcie Polski na krzywdzie ludzkiej”, wytykał w styczniu br. w Wirtualnej Polsce Tadeusz

Szymańczak, jeden z ostatnich mieszkańców z terenu inwestycji CPK, który przez lata walczył z politykami PiS, krytykując cały projekt.

Mężczyzna nie kryje żalu. W mediach społecznościowych opublikował niemal 30-minutowy film, w którym zamieścił zestawienie wypowiedzi polityków Koalicji Obywatelskiej, Lewicy, Polskiego Stronnictwa Ludowego oraz Polski 2050. Wszystkie były krytyczne wobec CPK. Dziś w koalicji trudno szukać polityka, który byłby przeciw megalotnisku w Baranowie. Mieszkańcy zostali potraktowani instrumentalnie, wykorzystani, bo przydatni

byli do momentu, gdy w kampanii w 2023 r. wyplłynęło, że – po pierwsze – CPK był pomysłem rządu Tuska jeszcze sprzed czasów PiS. Po drugie, okazało się, że gigantomania – mimo negatywnych opinii wielu ekspertów z zakresu lotnictwa i transportu – jest przez wyborców lepiej widziana niż zaniechanie budowy.

Klimat polityczny wokół CPK jest zresztą cały czas gorący. To zastługa przede wszystkim lobbystów, którzy rzucili się rządowi Tuska do gardła już na samym początku kadencji, kiedy zgodnie z zapowiedziami zatrzymano projekt na rzecz merytorycznego sprawdzenia, co tam w ogóle się dzieje. Rzekomo oddolna inicjatywa #TakdlaCPK, która w rzeczywistości ma za zadanie ośmieszać poczynania rządu w tej kwestii, zmusiła ekipę Koalicji 15 Października do działania w pośpiechu. Każdy dzień zwłoki był bowiem w rozumieniu lobbystów, którzy uzyskali w mediach bardzo szeroki rozgłos, szkodą dla Polski. Tuskowi nie pomógł w tej medialnej przepychance fakt, że wyrzucił „obywatelski” projekt ustawy „Tak dla CPK” do kosza. To tylko sprawiło, że musiał przyspieszyć kroku.

Znów wygrała więc gigantomania podbijająca słupki poparcia, a nie racja ekspertów.

Ziemia ziemi nierówna

Strona rządowa przekonuje, że uprościła wszelkie mechanizmy pozwalające dochodzić odszkodowań mieszkańcom terenów przeznaczonych pod CPK. W praktyce nie jest tak różowo. Spółka CPK podkreśla, że nowelizacja ustawy dotyczącej Centralnego Portu Komunikacyjnego „działa na korzyść osób, których nieruchomości będą przejmowane pod inwestycję”. Dodatkowo właściciele mają zyskać „gwarancję otrzymania co najmniej części odszkodowania jeszcze przed opuszczeniem swojej nieruchomości, w formie zaliczki w wysokości 85%”. Rolnicy alarmują tymczasem, że te okolice, 8 tys. ha, to jedne z najlepszych ziem uprawnych w Polsce. Mimo to nikt się nie skupia na realnej wartości ich gruntów.

„Celem zaproponowanych przez pełnomocnika rządu zmian prawnych jest przyspieszenie wypłaty odszkodowań za nieruchomości niezbędne do budowy lotniska? Ładnie to brzmi, że my niby jesteśmy za budową tego potwora, a teraz domagamy się lepszych warunków – taka jest narracja medialna. Nikt nie widział tego projektu ze strony społecznej i znowu spółka prawa handlowego CPK jako legislator tworzy zmianę prawa dla siebie, a nie dla ludzi”, komentuje Tadeusz Szymańczak w portalu Top Agrar.

Spółka CPK twierdzi, że posiada już połowę gruntów z planu budowy. „Obszar objęty wnioskiem o decyzję lokalizacyjną dla Lotniska CPK i części węzła kolejowego to 2585 ha. Na terenie objętym wydaną decyzją lokalizacyjną w ramach Programu Dobrowolnych Nabyć spółka CPK kupiła dotychczas działki o łącznej powierzchni 1188 ha”, czytamy w jej komunikacie prasowym. To oznacza, że mieszkańcy, którzy jeszcze zostali na potrzebnych pod lotnisko terenach, nie bardzo mają wyjście. Zostaną wywłaszczeni z mniejszą lub większą, ale nadal stratą.

Lotnisko w salonie, pociąg w kuchni

Mieszkanca gminy Teresin Sylwia Szymańczak wskazuje, że najbardziej bulwersującym zapisem w ustawie o CPK jest przeprowadzanie wywłaszczeń na rzecz spółki celowej, a nie na rzecz skarbu państwa. W czym tkwi problem? Jeśli wywłaszczenia są przeprowadzane na rzecz skarbu państwa, to rolnicy, jeśli cel publiczny wskazany w ustawie nie został spełniony, mają możliwość odzyskania nieruchomości, a przede wszystkim gruntów. W przypadku spółki prawa handlowego jest to raczej wątpliwe.

Oprócz płyty lotniska planowanej w okolicach Baranowa pozostaje kwestia terenów pod połączenia kolejowe. Również w tym przypadku wielu mieszkańców różnych części Polski nie jest pewnych swojego losu. Na Śląsku już w czerwcu zeszłego roku apelowano do premiera o zmianę zasad przyznawania odszkodowań za wywłaszczenia. 10 czerwca 2024 r. Sejmik Województwa Śląskiego sformułował apel do Donalda Tuska. Za przyjęciem jego treści opowiedziało się 23 radnych, 14 wstrzymało się od głosu, nikt jednak nie zagłosował przeciw.

„W ustawach różnie podchodzi się do sprawy, jaką jest wywłaszczenie – przyznała w mediach radna Ewa Chmielorz (KO). – Konstytucja mówi o tym, że wywłaszczenie jest dopuszczalne tylko wtedy, kiedy jest przewidziane na cele publiczne, za słusznym odszkodowaniem. Obecne przepisy nie gwarantują odpowiednich odszkodowań osobom wywłaszczonym, z poszanowaniem statusu jako obywateli”.

Śląscy radni wskazywali w ubiegłym roku, że ustawowe ograniczenie wysokości odszkodowania do rynkowej wartości nieruchomości nie gwarantuje odtworzenia dotychczasowego stanu posiadania. W przypadku wywłaszczeń wielkoobszarowych może zaś brakować podobnych nieruchomości na rynku. Zamiana rodzinnego domu na inne najczęściej używane lokum może stanowić dodatkowy stres dla

mieszkańców podczas wywłaszczenia. Właściciele ziemi zarówno na Śląsku, jak i na Mazowszu wskazują, że oferowane obecnie stawki odszkodowań są kompletnie nieadekwatne do realiów. Przypomnijmy, że mieszkańcy terenów przeznaczonych pod CPK od kilku lat nie mogli sprzedać swoich nieruchomości ani dokonywać w nich ulepszeń. Celem było ograniczenie spekulacji gruntami i zapobieganie wyższymi kosztami wykupu w przyszłości.

„Obecnie w tym tzw. Programie Dobrowolnych Nabyć dowiadujemy się, że za pieniądze oferowane nam i naszym sąsiadom nie jesteśmy w stanie kupić nawet dwóch trzecich podobnego gospodarstwa na Mazowszu będącego w jednym kawałku. Te ceny, które są nam oferowane, to ceny z kosmosu. Mówienie o tym, że jest to wartość odtworzeniowa, jak robi to spółka [CPK], jest raczej niepoważne. Nie ma to nic wspólnego z wartością odtworzeniową. Chyba że z wartością odtworzeniową sprzed siedmiu lat. Dziś nic się za to nie da kupić”, żali się w mediach Marek Przybysz z gminy Wiskitki.

Z rzekomo prospołecznej nowelizacji wynika na razie, że niemal tyśiąc użytkowników wieczystych nieruchomości na terenie przyszłego

CPK będzie miało maksymalnie 120 dni na ich opuszczenie, jeśli procedura wywłaszczeniowa zostanie wszczęta przez wojewodę. Na mocy art. 59a ust. 2 ustawy o CPK nadanie rygoru natychmiastowej wykonalności decyzji lokalizacyjnej będzie powiązane z obowiązkami wszczęcia przez wojewodę postępowania w sprawie ustalenia odszkodowania.

Politycy tłumaczą, że ma to na celu przyspieszenie wypłat odszkodowań dla wywłaszczonych rodzin. Decyzja o ich wysokości będzie musiała zostać wydana w terminie 60 dni od nadania rygoru wykonalności decyzji lokalizacyjnej. Zdaniem autora projektu dzięki takim zmianom nie powinno dojść do sytuacji, w której osoba wywłaszczona zostanie pozbawiona nieruchomości przed uzyskaniem prawa do otrzymania zaliczki w wysokości 85% ustalonego odszkodowania. Problem w tym, że wysokość odszkodowań, a tym bardziej czas pozostawiony wywłaszczanym na opuszczenie domów, może nie wystarczyć do zbudowania sobie życia w innym miejscu.

Kornel Wawrzyniak
k.wawrzyniak@tygodnikprzeglad.pl

DKMS
POKONAJMY NOWOTWORZY KRWI

dkms.pl

Dzień Dawcy szpiku w Twoim miejscu pracy

Twoje miejsce pracy może stać się początkiem czyjejś szczęśliwej historii – zorganizuj Dzień Dawcy szpiku w swojej firmie!

Wspólnie możemy podarować komuś szansę na dalsze życie!

Zeskanuj QR kod i dowiedz się więcej

Ze Stalowej Woli w kosmos

Odpowiadałem za pracę komputera pokładowego rakiety Elona Muska

Prof. Henryk Skarżyński, organizując 3. Kongres Nauka dla Społeczeństwa, przeniósł nas w inną rzeczywistość. Oglądając prezentacje, słuchając naukowców z całego globu, mogliśmy poznać, czym tak naprawdę zajmuje się świat, w jak rewolucyjnej epoce żyjemy i jak rośnie rola nauki – nie tylko w życiu codziennym, ale i w biznesie, jak ważna jest ona w rywalizacji państw. I m.in. za sprawą Polaków z Doliny Krzemowej – Tomasza Czajki i prof. Piotra Moncarza – dowiedzieliśmy się, że świat nam jeszcze nie uciekł, że w tym wyścigu możemy się liczyć.

Mogliśmy także się przekonać, że talentów w Polsce nie brakuje. Co skrzętnie wykorzystują inni. A polska nauka? Nasi naukowcy publikują w europejskich pismach eksperckich tyle samo artykułów naukowych przypadających na głowę badacza, co Niemcy – przy czterokrotnie mniejszych nakładach. Bo nakłady na badania i rozwój plasują nas w ogonie Unii Europejskiej, sięgają ledwie 3% średniej unijnej! A przecież złotówka zainwestowana w B+R przynosi 7-13 zł zysku... Więc? Nawet jeżeli politycy, zajęci swoimi wojenkami, sprawy nauki odsuwają na dalszy plan, to Polacy są innego zdania. Dzięki transmisji online i promocji w mediach nagrania z kongresu dotarły do 2 585 105 rodaków (dane z 29 maja). My patrzymy do przodu.

Tomasz Czajka, Polak z Doliny Krzemowej i gość specjalny kongresu, opowiedział Agnieszce Mosór o swojej karierze zawodowej, o współpracy z Elonem Muskem i o tym, że stoimy u progu wielkiej rewolucji, którą wprowadzi AI. Podkreślił zarazem, że dzisiejsze czasy otwierają zupełnie nowe możliwości dla Polski i polskich informatyków.

TOMASZ CZAJKA

– dwukrotny zwycięzca Międzynarodowej Olimpiady Informatycznej, mistrz świata w programowaniu zespołowym, srebrny medalista Międzynarodowej Olimpiady Matematycznej. Pracował w Google’u i SpaceX przy najważniejszych projektach.



Prof. Henryk Skarżyński i Tomasz Czajka na Kongresie Nauka dla Społeczeństwa. Warszawa, 25-26 maja 2025 r.

Rozmawia Agnieszka Mosór

Ze Stalowej Woli w kosmos! Ale zanim poszybujemy w przestworza, opowiedz, co zdecydowało o tym, gdzie jesteś dzisiaj.

– Bardzo szybko znalazłem się w środowisku naukowym. Już w podstawówce zostałem stypendystą Krajowego Funduszu na rzecz Dzieci, który organizuje obozy naukowe dla zdolnych dzieci z całej Polski. Zacząłem startować w olimpiadzie matematycznej, potem w informatycznej. To zupełnie zmieniło mój sposób myślenia. Zacząłem się uczyć algorytmiki.

W twoim CV jest Dolina Krzemowa, Google, SpaceX. Jak wspominasz pierwszy dzień pracy u Elona Muska?

– Moja rekrutacja do SpaceX była trochę dziwna, bo nie miałem żadnego doświadczenia w inżynierii lotniczo-kosmicznej, w lotach kosmicznych, w programowaniu systemów real time. To zupełnie nie moja działka – bardziej interesowałem się algorytmiką teoretyczną, robiłem wcześniej doktorat z algorytmów grafowych – a to jest zupełnie inny temat. Ale jakoś łatwo

się wpasowałem. Wszedłem bardzo dobrze w pewną niszę, programowałem komputer pokładowy pojazdu załogowego Crew Dragon. Musiałem dużo się nauczyć o fizyce, o mechanice orbitalnej. Ale też nie musiałem wiedzieć wszystkiego – ważne było, że orientowałem się, jak optymalizować komputer, by dobrze działał, by odpowiednio szybko wykonywał obliczenia, aby loty były bezpieczne.

Sześć lat współpracowałeś z Elonem Muskem. Jakim jest szefem?

– Nie miałem z nim bliskiego kontaktu na co dzień, zajmowałem się software’em, nie funkcjonowałem na najwyższych poziomach decyzyjnych. Raz na jakiś czas szykowałem prezentację opisującą to, co robimy, co planujemy, co nas blokuje itd. A on podejmował decyzje, w jakim kierunku iść. I naprawdę byłem pod wrażeniem tego, jak dobrze rozumiał temat i jak szybko potrafił podjąć trafną decyzję.

Jak to się zaczęło?

– Programowałem swój kawałek kodu. Pierwszy lot załogowy Crew

Dragon był wyznaczony za 12 miesięcy i trzeba było zrobić bardzo dużo rzeczy w softwarze przez najbliższe sześć miesięcy. Szefowi działu software'u powiedziałem, że się nie wyrobię w tym czasie. A on na to: „Więc musimy iść do Elona Muska, musimy mu to powiedzieć”. Poszliśmy do Muska i szef raportuje: „Tomek mówi, że się nie wyrobi i musimy wziąć większą grupę ludzi do tego projektu”. Elon na to: „Dobra, ilu ludzi potrzebujecie?”. Bardzo pozytywnie do tego podszedł i w tym momencie zmieniła się moja rola. Zacząłem zarządzać grupą ludzi.

Byłem się tego, bo jestem introvertym i nigdy wcześniej tego nie robiłem. Bardziej lubiłem samotne programowanie. A od tego momentu zacząłem zarządzać całym zespołem programistów – dlatego też raportowałem do Elona o tym, co się u nas dzieje. Interesował się naszą pracą, nie chciał, by projekt się opóźnił. Potem okazało się, że nasz projekt bardzo dobrze zmieścił się w czasie.

I nadszedł 2019 r., start kapsuły. Na pokładzie są ludzie, ty jesteś odpowiedzialny za system bezpieczeństwa, bo go tworzyłeś. Co czujesz?

– W ten pierwszy lot poleciali astronauta, których znałem osobiście: Bob Behnken i Doug Hurley. Byli pilotami testowymi, którzy lecieli w pierwszym locie i mieli sprawdzić różne systemy. Razem ze mną trenowali to, jak ma działać komputer pokładowy, jak mają obsługiwać różne w nim rzeczy. To było dla mnie bardzo osobiste wydarzenie. No i rzeczywiście częściowo ode mnie zależało ich bezpieczeństwo. Było więc trochę nerwowo... Kiedy lecieli, byłem w centrum kontroli. Lot trwał ponad 24 godziny, obserwowałem przez większość tego czasu, czy wszystko dobrze działa – szczególnie podejście do stacji kosmicznej. Byłem odpowiedzialny za część kodu, która mierzyła pozycję względem stacji kosmicznej w chwili, kiedy dokowali. To był dla mnie nerwowy moment. Bo, po pierwsze, to niebezpieczna część misji, a po drugie, gdyby coś poszło nie tak, musielibyśmy wszystko anulować, a oni musieliby wrócić na Ziemię.

Niezwyczajnie stresujący moment...

– Ale to nie znaczy, że musiałem coś w tym czasie robić. Pracowaliśmy nad całym systemem i bardzo dobrze go przetestowaliśmy przez poprzednie pięć lat. Trzymałem więc kciuki, żeby nic się nie popsuło. I byłem w gotowości, żeby naprawić, gdyby coś jednak wymagało naprawy.

W Dolinie Krzemowej pracuje dużo Polaków. Co ich tam ciągnie?

– Tym, co ich ciągnie, są inwestycje na olbrzymią skalę, rozmach – to trochę ciężko zreplikować w Polsce. Tam też jest całe środowisko. W Polsce mamy niezwykle utalentowanych studentów, z wiedzą teoretyczną na najwyższym światowym poziomie. Są bardzo cenieni w Dolinie Krzemowej. Myślę, że teraz jest taki moment, technologia tak szybko się zmienia, że przez najbliższe kilka lat i w Polsce pojawią się spore możliwości, by coś stworzyć.

Dużo takich perspektyw jest w technologiach związanych ze sztuczną inteligencją. Polegają nie tylko na tym, że trzeba inwestować duże pieniądze w centra obliczeniowe – wartość mają rzeczy teoretyczne, aby np. zoptymalizować algorytmy w taki sposób, by zrobić to samo 100 razy taniej. Jestem pewny, że da się to zrobić. Bo, z jednej strony, w tej chwili inwestuje się na coraz większą skalę w rozwój sztucznej inteligencji, a z drugiej – przez ostatnie kilka lat dokonał się istotny postęp w matematyce, w algorytmice. I tutaj widzę naszą szansę.

Czyli widzisz niszę dla Polaków, by w wyścigu technologicznym nie tylko się znaleźć, ale jeszcze coś wygrać?

– Możemy stworzyć wiele rzeczy jako pierwsi w świecie. To samo można osiągnąć, albo inwestując 100 razy większe pieniądze w centra danych, albo wymyślając nowe algorytmy, które robią to samo 100 razy wydajniej. Te rzeczy dzieją się tak naprawdę równolegle. Myślę, że nasza nisza powinna być bardziej nakierowana na algorytmikę. Mamy ludzi, a tym, czego nam trzeba, jest współpraca z zagranicznymi ośrodkami, z firmami z USA. W Polsce są osoby, które mają dobre pomysły, ale nie

mogą ich przetestować, bo nie mają dostępu do komputerów o dużych mocach obliczeniowych, brakuje im funduszy. Natomiast w Dolinie Krzemowej bardzo łatwo pozyskać finansowanie. Teoretycznie nie ma przeszkód, żeby tak samo inwestować na polskich uczelniach czy w start-upach – trzeba tylko nawiązać kontakty z amerykańskimi inwestorami. No i trzeba odwagi. Choć myślę, że ją mamy, że Polacy są bardzo otwarci i tworzą duże rzeczy.

Masz też bardzo zdolnego syna, który wygrywa olimpiady: informatyczne, matematyczne. Co musiałoby się stać, żeby został w Polsce, żeby nie wyjechał?

– Samo wyjeżdżanie do USA albo do innych zachodnich krajów ma dużą wartość. W ten sposób nawiązują się kontakty międzynarodowe. Na pewno trzeba wykreować takie warunki, by w Polsce opłacało się inwestować w start-upy. Postęp obecnie przyspiesza i w pewnym sensie mamy pewien reset – nie ma dziś znaczenia, że gdzieś w Dolinie Krzemowej przez ostatnie 50 lat było dużo inwestycji, bo teraz można bardzo szybko stworzyć coś nowego, choćby z wykorzystaniem narzędzi sztucznej inteligencji. Polecam nauczyć się używania sztucznej inteligencji, bo dzięki temu można stworzyć jednoosobowo lub w kilka osób rzeczy, które wcześniej wymagały pracy kilkudziesięciu osób.

Jesteś przekonany, że za pięć lat sztuczna inteligencja przewyższy nas, ludzi, i będzie lepsza. Jak się na to przygotować?

– To, co będzie za 10, 15, 20 lat, może być przerażające, bo bardzo dużo się zmieni. Ale też nie musimy wybiegać aż 20 lat w przyszłość, możemy myśleć o tym, co będzie za dwa, trzy lata. Jako programista do tej pory lubiłem programować sam. Ale teraz wiem, że pewne rzeczy, w których jestem dobry, zostaną zautomatyzowane. Nie ma sensu, bym tych nowych narzędzi nie używał. Staram się więc zrozumieć, co już teraz umieją narzędzia, co będą umiały w ciągu najbliższego roku i jak to wykorzystać w jak najlepszym zakresie. Bo technologia będzie się rozwijać coraz szybciej. ■

Po co nam czołgi?

Miliardy dolarów wydane za oceanem na zakup uzbrojenia nie zapewnią nam bezpieczeństwa

Grzegorz Rudnik

6 czerwca 2023 r. w rejonie wsi Nowodariwka, leżącej na drodze do Zaporozża, rosyjski czołg T-80BV znalazł się pod zmasowanym ostrzałem artyleryjskim wroga. Dowódca załogi, por. Aleksander Lewakow, wydał rozkaz do ataku, mając przeciw sobie dwa ukraińskie czołgi i sześć transporterów opancerzonych. Według oficjalnej wersji w 10-minutowym boju czołg o kodowej nazwie „Alosza” zniszczył ukraińską kolumnę. Film z tej akcji zyskał ogromną popularność w internecie, a załoga otrzymała wysokie odznaczenia bojowe, w tym order Bohatera

Polska kupiła i nadal ma zamiar kupić tysiące czołgów, za które zapłacimy dziesiątki miliardów dolarów. Czy przypadkiem nie wyrzucimy tych pieniędzy w błoto?

Ambitne plany bez sensu

Plany, przyjęte jeszcze w czasach, gdy ministrem obrony był Mariusz Błaszczak, zakładały zakup w Korei Południowej łącznie 1 tys. czołgów K2 Black Panther, z coraz większym udziałem polskiej produkcji w kolejnych dostawach. Zamówienie zostało podzielone na dwa etapy: w pierwszym mieliśmy kupić 180 sztuk, w drugim – ponad 800 czołgów w standardzie K2PL

jak sprawdziłyby się w przyszłości na zdominowanym przez drony polu walki. Doświadczenia z ukraińskiego frontu są, delikatnie mówiąc, niezbyt zachęcające.

Amerykańskie czołgi stały się dla Ukraińców jednym z ważniejszych symboli zachodniego wsparcia. Jakież było ich rozczarowanie, gdy Rosjanom udało się zniszczyć 20 z 31 dostarczonych Abramsów. Reszta na życzenie Amerykanów została wycofana z pierwszej linii. Chodziło o uniknięcie wrażenia, że te pojazdy do niczego się nie nadają, zwłaszcza że część z nich przejęli Rosjanie, którzy obwozili je jako trofea po większych miastach Federacji Rosyjskiej i demonstrowali w roli symbolu zwycięstwa nad znieprawidzonymi „Pindosami” (wulgarnie określenie Amerykanów w języku rosyjskim).

W Moskwie równie wielkie emocje wywołały niemieckie czołgi Leopard 1A5 i Leopard 2A6. Tamtejsza propaganda przypominała, jak w czasie II wojny światowej Armia Czerwona skutecznie walczyła z panterami i tygrysami, podkreślając, że jest okazja tamto doświadczenie powtórzyć. Z 77 leopardów dostarczonych armii ukraińskiej do lipca 2024 r., zniszczonych lub utraconych zostało 20% maszyn. Część została zaprezentowana mieszkańcom Moskwy i Petersburga jako trofea wojenne.

Także Brytyjczykom nie poszło najlepiej. W latach 2023-2024 Londyn przekazał Kijowowi 14 czołgów Challenger 2, które miały opinię niezniszczalnych. Pierwszy trafiony został 5 września 2023 r. pod Robotyne w obwodzie zaporoskim i spłonął. Tak chwalony kompozytowy pancierz Chobham/Dorchester nie wytrzymał ataku rosyjskiego drona kamikadze.

Masowe użycie przez obie strony dronów zmieniło obraz walki. Czołg przestał być groźnym pojazdem pancernym, stał się dużym, łatwym celem dla względnie tanich dronów.

Federacji Rosyjskiej. Był to jeden z nielicznych przypadków, gdy doszło do starcia czołgów w klasycznym stylu, znanym z filmów o II wojnie światowej.

Wojna w Ukrainie radykalnie zmieniła rolę i znaczenie broni pancernych. Dawna, opracowana w latach 30. XX w. przez gen. Heinza Guderiana taktyka skoncentrowanych ataków grup czołgów, które przy wsparciu lotnictwa i artylerii przerywały linie obrony przeciwnika i wychodziły na jego tyły, bezpowrotnie odeszła w przeszłość.

Masowe użycie dronów przez obie strony konfliktu sprawiło, że czołg stał się względnie łatwym do zniszczenia celem. Pojawiły się głosy, że to kosztowny przeżytek, którego znaczenie na współczesnym polu walki jest marginalne. Tymczasem

(czyli przystosowanych do walki w warunkach Europy Środkowo-Wschodniej), a w 2026 r. ruszyłaby ich produkcja w naszym kraju.

W Stanach Zjednoczonych zamówiliśmy łącznie 366 czołgów Abrams: 250 w wersji M1A2 SEPv3 oraz 116 w wersji M1A1. Łączna wartość obu kontraktów miała wynieść 6,1 mld dol. W lutym br. Robert O'Brien, były doradca prezydenta Trumpa ds. bezpieczeństwa, wspominał o możliwej sprzedaży Polsce dodatkowych 800 Abramsów.

Jeśli plany te zostałyby zrealizowane, za kilka lat Polska dysponowałaby 2 tys. czołgów. W Europie tylko Rosja miałaby ich więcej. Rzecz w tym, że zarówno koreański K2 Black Panther, jak i amerykański M1 Abrams to konstrukcje mające swoją historię. I nie wiadomo,



W USA zamówiliśmy łącznie 366 czołgów Abrams. Wartość wszystkich kontraktów miała wynieść 6,1 mld dol. Nz. A1M1 Abrams na wystawie sprzętu wojskowego z okazji Defence24 Days. Warszawa, 7 maja 2025 r.

W sierpniu 2024 r. challengery wzięły udział w ukraińskiej ofensywie w obwodzie kurskim. Według raportów co najmniej jeden brytyjski czołg został zniszczony przez rosyjski dron Lancet. Ukraińskie źródła podawały, że na polu walki challengery odgrywały rolę ruchomych punktów ogniowych. Innymi słowy, stały się artylerią mobilną. Dziennik „The Guardian” zamieścił zdjęcie jednego z brytyjskich czołgów, który na ukraińskim poligonie dosłownie utonął w błocie. Okazało się, że masa challengera, wynosząca 75 ton, utrudnia tym maszynom manewrowanie na grząskim terenie. Do czerwca br. bilans był taki: z 14 przekazanych Ukraińcom brytyjskich czołgów dwa zostały zniszczone, a trzy uszkodzone. Resztę wycofano z pierwszej linii.

Sytuacja Wojska Polskiego nie jest najlepsza. Z przeprowadzonych w lutym 2021 r. ćwiczeń sztabowych „Zima-20”, w których wzięło udział kilka tysięcy oficerów, wynikało, że już w czwartej dobie wojska nieprzyjaciela ze Wschodu okrążyłyby Warszawę, zablokowały lub zajęły nasze strategiczne porty, a lotnictwo

i Marynarka Wojenna, mimo wsparcia NATO, przestałyby istnieć. Stacjonujące we wschodniej części kraju jednostki podczas symulacji ćwiczeń sztabowych zostały rozgromione, tracąc 60-80% zasobów. Klęska byłaby większa i nastąpiłaby szybciej niż we wrześniu 1939 r.

W ćwiczeniach tych założono, że Wojsko Polskie dysponuje zestawami przeciwlotniczymi Patriot, artylerią raketową HIMARS i wielozadaniowymi samolotami F-35! Co oznacza, że nawet kosztowna zachodnia technika by nie pomogła. Opinia publiczna jednak nie zdaje sobie z tego sprawy.

Technologia, głupcy

Wojny zawsze wygrywano dzięki przewadze technologicznej. Konflikt w Ukrainie w roku 2025 wygląda zupełnie inaczej niż trzy lata temu. Gdy 24 lutego 2022 r. rosyjskie kolumny pancerne przekroczyły granicę i ruszyły w stronę Kijowa, Czernihowa, Sum i Konotopu, a desant z powietrza miał zająć lotnisko Hostomel, Ukraińcy przepuścili je i systematycznie zaczęli niszczyć pociskami z wyrzutni raketowych Javelin oraz

innej lekkiej broni. Swoje robiła też ukraińska artyleria – rozciągnięte na dziesiątki kilometrów kolumny pojazdów były łatwym celem. Odciętym od dostaw amunicji i żywności Rosjanom nie pozostało nic innego, jak się zatrzymać, a następnie wycofać, unikając okrążenia. Tak zakończyła się ofensywa na Kijów, który miał upaść po kilku dniach.

W ciągu trzech lat na polu walki zmieniło się prawie wszystko. Słynna, przeprowadzona na południu kraju ukraińska wiosenno-letnia kontrofensywa z 2023 r., której celem było dotarcie do granic Krymu, a którą tradycyjnie prowadzono z użyciem czołgów i transporterów opancerzonych, zakończyła się klęską. Nie dysponując przewagą w powietrzu, w ciągu pięciu miesięcy Ukraińcy posunęli się do przodu zaledwie o 17 km. Od tego czasu to Armia Rosyjska ma inicjatywę strategiczną i dziś w Moskwie zapadają decyzje, gdzie i kiedy atakować. Masowe użycie przez obie strony dronów radykalnie zmieniło obraz walki. Czołg przestał być groźnym pojazdem pancernym, zredukowany do dużego, łatwego celu dla względnie ▶

▶ tanich dronów. Podobnie jest z transporterami opancerzonymi.

Można się śmiać z rosyjskich żołnierzy atakujących pozycje ukraińskie na motocyklach, a nawet hulajnogach elektrycznych, lecz ma to sens, gdyż pojedynczy, szybko poruszający się cel jest trudniejszy do trafienia – w przeciwieństwie do czołgu czy transportera opancerzonego.

Do kwietnia br. Ukraina straciła łącznie 168 amerykańskich transporterów Bradley. Czołgi stały się kosztownymi ruchomymi punktami artyleryjskimi. Armatohaubice samobieżne, takie jak polskie kraby, mają nad nimi przewagę – mogą prowadzić skuteczny ostrzał z odległości ponad 20 km. Ukryty w głębokim okopie pojazd tego nie potrafi.

W tym roku w Rosji ma zostać wyprodukowanych ponad 1,5 mln dronów. Na Białorusi powstanie fabryka, która będzie wypuszczała 100 tys. dronów rocznie.

Nowoczesny zachodni czołg to dziś wydatek rzędu 18 mln dol. Rosyjski T-90 po modernizacji kosztuje 4,6 mln dol., a najnowsza wersja czołgu T-72 kosztuje tylko 2 mln dol. Amerykanie, Francuzi, Niemcy, Brytyjczycy, Turcy, Chińczycy i inne kraje gorączkowo pracują nad nowymi konstrukcjami, które wytrzymałyby starcie z dronami. Budowane są systemy pozwalające na ich zwalczanie – od laserów po szybkostrzelne, naprowadzane radarem działka i wielkokalibrowe karabiny maszynowe. Projektowane są różnego rodzaju urządzenia zagłuszające czy pozwalające na wyłączenie elektroniki dronów.

Polska armia dysponuje dziś 368 bezzałogowymi systemami rozpoznawczymi klasy mini FlyEye 3.6, 100 sztukami amunicji krążącej Warmate, 24 tureckimi dronami rozpoznawczymi Bayraktar TB2 i kilkoma leasingowanymi amerykańskimi dronami rozpoznawczymi MQ-9A Reaper. W realizacji jest dostawa 25 zestawów obserwacyjnych Wizjer, a do 2035 r. dostarczonych ma być jeszcze 10 tys. sztuk amunicji krążącej Warmate.

Dla porównania, w tym roku w Rosji ma zostać wyprodukowanych ponad 1,5 mln dronów. Na Białorusi powstanie fabryka, która będzie wypuszczała 100 tys. dronów rocznie. Plany Ukrainy są jeszcze bardziej ambitne – w roku bieżącym produkcja ma wynieść od 2,5 mln do 4,5 mln dronów, plus 30 tys. dronów dalekiego zasięgu.

Łatwo przewidzieć, że zakupione przez nas za miliardy dolarów czołgi, nawet jeśli byłoby ich kilka tysięcy, będą miały niewielkie szanse w starciu z setkami tysięcy dronów. Podobnie jak zwykli żołnierze. Internet pełen jest filmów przedstawiających atak drona na człowieka. Można opisać to tak: wybuch – i w powietrze lecą strzępy ciała. Ci, którzy

uczestniczyli w walkach w Ukrainie, opowiadają, jaki lęk budzi w nich odgłos unoszących się w powietrzu i polujących na ludzi dronów.

Jeśli chcemy poważnie myśleć o odstraszaniu potencjalnych przeciwników, to nie liczbą czołgów, transporterów opancerzonych i samobieżnych armatohaubic, lecz zaawansowaniem technologicznym licznych systemów broni, w tym dronów.

Już wkrótce na polu walki zobaczymy drony wykorzystujące sztuczną inteligencję, działające autonomicznie, które same będą wypatrywały celów i je atakowały, poza tym będą mniej wrażliwe na urządzenia zakłócające.

Rosjanie i Ukraińcy w warunkach wojennych testują obecnie drony mogące zastąpić żołnierzy piechoty – wyposażone w karabin maszynowy i znaczny zapas amunicji autonomiczne pojazdy.

Czy polska armia prowadzi prace nad takimi projektami? Słuchając wypowiedzi naszych generałów, łatwo można się zorientować, że mają oni dość mętne pojęcie o najnowszych trendach w uzbrojeniu. Wątpliwe

także jest to, by polski przemysł był w stanie masowo produkować zaawansowane technicznie rodzaje uzbrojenia. Technologicznie wlecemy się w ogonie Europy. A rządzący nie chcą wyciągać z tego wniosków i szukać rozwiązań.

Ciszej nad tą trumną

Wśród polskich polityków panuje mylne przekonanie, że gdyby wydarzyło się coś złego, Stany Zjednoczone przyjdą nam z pomocą. Dlatego za oceanem kupujemy samoloty, czołgi, gaz ziemny i co tylko się da, by „przywiązać” Waszyngton do siebie. Ale płacąc miliardy za czołgi i inne uzbrojenie, kupujemy sobie jedynie złudzenie bezpieczeństwa. Wierzymy, że jeśli wydamy dziesiątki miliardów dolarów, to Amerykanie nas obronią. Nie obronią. Jeśli Rosja wygra wojnę w Ukrainie i podyktuje Kijowowi oraz stolicom państw zachodnich swoje warunki, politycy w Waszyngtonie, jak to nieraz bywało, machną ręką i zajmą się innymi sprawami.

Amerykanie wycofali się z Afganistanu, zostawiając swoich tamtejszych sojuszników na pastwę losu. Wcześniej wycofali się z Wietnamu Południowego. Wycofali się też z Iraku. Jeśli im się to opłaci, wycofają się z Ukrainy.

Od 1945 r. Stany Zjednoczone zakończyły wojnę w Korei w 1953 r. i zajęły Grenadę w 1983 r. Wygrały też zimną wojnę, lecz zafundowały sobie nowego potężnego przeciwnika – Chiny. Poza tym bilans interwencji Waszyngtonu wygląda źle.

Nasi politycy powinni o tym pamiętać. Tymczasem Polską rządzą ludzie mało zainteresowani tym, co naprawdę jej zagraża i z czym przyjdzie jej mierzyć w nadchodzących latach. Zdumiewa milczenie przedstawicieli świata nauki, których nie stać na krytyczną ocenę tego, co się dzieje w przemyśle obronnym. Czy naprawdę tak trudno wyartykułować, że czołgi, samoloty F-35, wyrzutnie HIMARS, śmigłowce Apache i inne rodzaje uzbrojenia, na które wydamy dziesiątki, jeśli nie setki miliardów dolarów, kompletnie niczego nam nie gwarantują?

Grzegorz Rudnik

Refleksje pesymisty



Andrzej Romanowski

Mocz Karola Nawrockiego

Ta kampania, rozpoczęta jako konkurs piękności 13 kandydatów, zakończyła się moczem Karola Nawrockiego. Dziwne: wobec wojny za wschodnią granicą, wobec zachwiania filarów polskiego bezpieczeństwa, dano nam do oglądania wynik moczu, którego nikt nie wymagał i nikt nie oczekiwał. A przecież nie sposób było uciec od wątków niezwiązanych z urzędem prezydenta, bo o człowieku z moczem nie wiadomo niczego pewnego, a to, co stopniowo się ujawniało, budziło raz niesmak, raz przerażenie. Ukazywało się przecież i wyłudzenie mieszkania, i kibolskie ustawki, i niejasne związki ze światem przestępczym, i wreszcie okoliczność zupełnie już nieprawdopodobna: sutenerstwo. Wynik moczu nic do tego nie miał, ciekawe natomiast, czy promujący „obywatelskiego kandydata” Jarosław Kaczyński znał wszystkie powyższe okoliczności. Może znał, ale działał jak Kaligula, mianujący konsulem swego konia, a może nie znał, bo Nawrocki także jego wykiwał? Pewne jest jedno: dla sztabu „obywatelskiego kandydata” wszystko, co wychodziło na wierzch, było nowe.

Zawsze opowiadałem się przeciw lustracji, przeciw grzebaniu ludziom w życiorysach, tu jednak chodziło o wybór głowy państwa, o to, komu na pięć lat powierzmy swe bezpieczeństwo i swój los. Gdyby o trupach, które ma w szafie, Nawrocki powiedział choćby nawet dopiero w kampanii, nie zmieniłoby to mego doń nastawienia, ale przynajmniej umożliwiłoby zachowanie cienia szacunku. Dla takiego człowieka można mieć tylko pogardę. Złapany na kłamstwie o posiadaniu jednego mieszkania kręcił i przedstawiał kolejne sprzeczne wersje, na zarzut sutenerstwa nie tylko nie oddał sprawy do sądu w trybie wyborczym, ale – jak słychać – żadnego pozwu w ogóle nie złożył. Co znaczy, że wszystkie afery milcząco potwierdził. Oto dobry uczeń polskich biskupów, których postawę streszcza słynna już formuła „przeczekamy i prosimy o przeczekanie”.

Tymczasem to właśnie polski Kościół skompromitował się w tych wyborach najbardziej. Istniało przecież domniemanie, że Nawrocki zgrzeszył przeciw drugiemu, szóstemu, siódmemu i ósmemu przykazaniu. I co Kościół na to? A nic. Naprzeciw Nawrockiego stanął zaś Rafał Trzaskowski, człowiek nieposzlakowanej uczciwości, przykładowy mąż i ojciec, ba! nawet osobisty przeciwnik aborcji, bo w poruszającym wywiadzie rzece wyznający:

„Mnie miało nie być”. I co Kościół na to? A nic. Kościół klepie swe vademecum wyborcze katolika, które na nikim nie robi już wrażenia, koniec końców zaś wskazuje i tak Nawrockiego.

A dr Duda? Przed pięciu laty, na krytyczną wypowiedź o sobie w dzienniku „Fakt”, krzyczał ni w pięć, ni w dziewięć: „Niemcy chcą wybierać w Polsce prezydenta? To jest podłość!”. Dziś nawet nie bąknie o Kristi Noem, amerykańskiej sekretarz bezpieczeństwa krajowego, która najzupełniej otwarcie wezwała Polaków do głosowania na Nawrockiego. Fakt ten jakoś utonął w ferworze kampanii, a przecież takiego skandalu dotąd w Polsce nie było – nawet „radzieccy” nie ukazywali publicznie swych preferencji. Ale dziesięć i pół miliona „dumnego narodu” posłuchało tej obcej podpowiedzi. Dziesięć i pół miliona! To więcej niż cała ludność Węgier. Werdykt tych milionów trzeba przyjąć do wiadomości, ale godzić się z nim nie sposób.

Tylko co teraz? Wydawało się, że nie może być gorszej kohabitacji niż Tuska z Dudą, tymczasem już widać, że ta nadciągająca będzie jeszcze gorsza. Duda zakładał rękawiczki aksamitne, Nawrocki założy rękawice bokserkie. W polityce jest dyletanem, ale swe zadanie zna: jako prezydent ma służyć PiS do walki z rządem Tuska. A zatem będzie nadal odmawiał nominacji ambasadorów? I nadal

nie podpisywał nominacji profesorskich – tyle że nie jednostkowo już, lecz hurtowo? Czekają nas nieustanna wojna na górze. Gdzie w tym powaga państwa? To furda – liczy się dobro PiS.

Wchodzimy w erę samych niewiadomych. Bo niby jak dr Nawrocki, ze swymi knajackimi manierami i snusem w zębach, będzie funkcjonował w Europie? Kto z rządzących – poza Orbánem i Ficą – będzie chciał z nim się spotkać? Kto zaryzykuje przekazanie polskiemu prezydentowi poufnych informacji, skoro mogą one trafić w ręce niepowołane – w świat kontaktów, z których Nawrocki nigdy się wiarygodnie nie wytlumaczył? A gdy nowy prezydent uda się do Waszyngtonu, by złożyć hołd lenny Trumpowi – to czy będzie to także wyjazd po instrukcje? Oraz po to, by obsmarować polski rząd? Nieśmiertelne lokajstwo PiS! Istnieje na nie jedna nazwa: targowica. Dziś dodatkowo jeszcze doprawiona wynikiem badania moczu.

**Duda zakładał rękawiczki aksamitne,
Nawrocki założy rękawice bokserkie.**

a.romanowski@tygodnikprzeklad.pl



OSIEDLA GROZY

Polityka mieszkaniowa jest odbiciem systemu wartości, jakim kieruje się każda władza

Maciej Ostrowski

Przez każde większe polskie miasto biegą niewidzialne granice odgradzające coraz szczelniej bogatych od biednych. Nieformalne, ale odczuwalne dla tysięcy ludzi linie podziałów często są kreślone rękami polityków i samorządowców, kierujących się jak najbardziej ideologicznymi pobudkami. Powstawanie tzw. osiedli grozy to często efekt traktowania lokatorów komunalnych jako grupy, którą z zasady należy zakwaterować w miejscach, gdzie nie zamieszkałby nikt, kto nie został do tego zmuszony.

W Polsce nie brakuje miast, których władze alergicznie reagują na takie hasła jak odpowiedzialność społeczna czy interes społeczny. Przykładem myślenia o społecznej polityce mieszkaniowej jako o narzędziu represjonowania najuboższych lokatorów było opuszczone już osiedle grozy Dudziarska na obrzeżach Warszawy. Kilkanaście lat temu, tuż przed Euro 2012, o krok dalej posunęły się władze Gdańska, oddając do użytku budynek mieszkalny kojarzący się z więzieniem i gettem.

Ulica Ubocze. Blok ufundowany dzięki partnerstwu publiczno-prywatnemu ulokowano na obrzeżach – tak jakby samo istnienie lokali socjalnych było plamą na obrazie miasta. Z zewnątrz budynek łatwo pomylić z hotelem robotniczym z końca lat 60. Ci, którzy stają przed nim po raz pierwszy, często nie mogą uwierzyć, że budowla powstała zaledwie 12 lat temu. Wybite szyby licznych opuszczonych lokali, zabezpieczone jedynie folią, kojarzą się z mrocznymi ulicami nowojorskiego Bronksu z końca lat 70. Jednak w przeciwieństwie do metropolii zza oceanu Gdańsk nie zmaga się z ostrym kryzysem finansowym, a nawet znajduje się w czołówce najlepszych miejsc do życia i pracy w Polsce.

Bloku nie zbudowano w ramach oszczędności, założeniem porozumienia między władzami miejskimi a dużą firmą deweloperską było pokazanie, że rozwijające się miasto może łączyć interesy prywatnych podmiotów deweloperskich z wrażliwością społeczną. W zamian za przekazanie gruntów pod budowę nowoczesnego kompleksu wieżowców Olivia Centre deweloper w ciągu półtora roku postawił blok

mieszkalny z prefabrykatów, przeznaczony dla lokatorów oczekujących na przydział mieszkania komunalnego. Inwestor miał w tym przypadku wolną rękę. Każde jego działanie prezentowano w mediach jako dowód niestychanej hojności. Firma deweloperska jako podmiot prywatny ma przede wszystkim generować przychód i utrzymywać się na rynku nieruchomości. Jej funkcją nie jest realizowanie polityki społecznej. Zaspokojenie potrzeb mieszkaniowych to konstytucyjny obowiązek każdego samorządu terytorialnego.

Hojność to waluta chętnie wydawana przed kamerami, na konferencjach prasowych. Jednak deweloper, kierując się czysto wolnorynkową logiką, najwyraźniej po cichu postanowił z nią nie przesadzać, oszczędzając zarówno włożone w inwestycję pieniądze, jak i materiały budowlane.

Zbudowana tanim kosztem konstrukcja dość szybko zaczęła ulegać dewastacji, a brak udogodnień dla osób z niepełnosprawnościami uwięził w mieszkaniach najstarszych i zniedołężniałych lokatorów.

Młotkiem trudno pomalować ścianę, do realizacji określonych zadań służą odpowiednie narzędzia.

Budynek komunalny przy ulicy Ubocze w Gdańsku, nawet gdy był jeszcze nowy i w dobrym stanie technicznym, wyglądał jak hotel robotniczy.

Podobnie sytuacja wygląda w przypadku zadań miasta i firm prywatnych. W Gdańsku miejska polityka upychania ubogich i niekiedy problematycznych lokatorów w jednym budynku, w połączeniu z powierzaniem nienadzorowanej firmie prywatnej zadań należących do obowiązków gminy stała się potwierdzeniem neoliberalnej tezy o patologiach cechujących państwowe i komunalne inwestycje mieszkaniowe.

Ruina w prezencie

Plecy około dwudziestoletniego chłopaka pokryły się bąblami po jednej nocy we własnym łóżku. To ślady po ugryzieniach pluskiew. W kuchni dość regularnie można zobaczyć sporych rozmiarów karaluchy. By ograniczyć inwazję, mieszkańcy zapieją kratki przewodów wentylacyjnych, jednak niewiele to pomaga. Latem, gdy temperatura dochodzi do 30 st. C, pani Bożena woli duchotę szczelnie zamkniętego mieszkania niż niechciane towarzystwo. Karaluchy łatwo znaleźć w zmywarce i kuchence mikrofalowej, która w środku nocy włącza się samoczynnie w wyniku takich odwiedzin.

– Pamiętam, kiedy wprowadziłam się do bloku przy ulicy Ubocze. Jechałam samochodem pod wówczas jeszcze ogrodzony budynek. Byłam przerażona. Co prawda, blok był wówczas nowy i w dobrym stanie technicznym, ale z zewnątrz wyglądał jak hotel robotniczy. Chciało mi się płakać. Moja sąsiadka mieszkała z nastoletnią córką. Sąsiedzi potrafili co tydzień urządzać huczne imprezy. W 2011 r. w same Świąta Wielkanocne podpalili jeden bok budynku. Pożar stopił styropianową izolację aż do połowy ściany. Uciekliśmy całą rodziną z klatki schodowej, baliśmy się zaczadzenia, bo dym sunął drogami wentylacyjnymi – opowiada pani Anna, lokatorka. Zagrożeniu pożarowemu sprzyjały wąskie i pozabawione okien korytarze.

– Robactwo po raz pierwszy zaczęło stanowić problem po dwóch latach, około roku 2015. Wówczas na krótko pojawiły się prusaki. Jednak ta plaga szybko zniknęła. Dopiero dwa lata temu insekty na dobre zagnieździły się w całym budynku. Z powodu pluskiew musiały już dwukrotnie wymienić kanapę do spania. Jak dotychczas zapłaciłam w dwóch ratach 296 zł, a czeka mnie jeszcze spłata 16 rat. Ostatnim razem pasożyty pokąsały nas w lutym tego roku – dodaje.

Na ostatnim piętrze bloku mieszkała starsza kobieta z demencją. Jej mieszkanie tonęło w śmieciach. Przez otwarte okno regularnie wchodziły gołębie. Ale dopiero gdy starsza pani zmarła, pozostali lokatorzy zobaczyli, co tam się działo. Prokurator towarzyszący ekipie

W Polsce nie brakuje miast, których władarze reagują alergicznie na takie hasła jak odpowiedzialność społeczna czy społeczny interes.

przedstawicieli miasta znalazł rozkładające się zwłoki. Na miejskie wysypisko trafiło pięć kontenerów śmieci. Ekipa sprzątająca musiała się poruszać wąskim tunelem, pozostałe 40 m kw. przestrzeni lokalu wypełniały wszelkiego rodzaju odpady.

– Mieszkanie, które zajmuję, jest zawilgocone. Mimo kupna energooszczędnego piecyka nie stać mnie na ogrzewanie prądem zawilgoczonej łazienki. W łazience wisi stary piec dostarczony przez biuro obsługi mieszkańców (BOM). Dolne żebra tego grzejnika są wygaszone i nieużyteczne. Zimą w mieszkaniu panuje przenikliwy chłód. Listwę naokoło brodzika od prysznica muszę nieustannie wymieniać. Jest czarna od grzyba. Nawet kominiarze podczas przeglądu przymknęli oko na zaklejone kratki wentylacyjne. Pewnie już wiedzą o wszechobecnym robactwie – mówi pani Ania.

A ono jest uciążliwe zwłaszcza dla lokatorów z niepełnosprawnościami. Starsza i sparaliżowana kobieta mieszkająca z synem pod nr. 26 jest praktycznie więźniem swojego zarobzonego lokalu.

Jej stan nie interesuje nikogo ani w MOPS, ani w BOM.

Jedna z lokatorek za ostatnie oczyszczenie mieszkania z insektów zapłaciła 2 tys. zł. – Z jakiej racji mam płacić za odrobaczanie z własnej kieszeni, skoro sama „przyjemność” mieszkania z insektami co miesiąc kosztuje mnie 999 zł płaconych w ramach czynszu za mieszkanie komunalne? – wytyka, bo w krótkim czasie wysokość czynszu wraz z opłatami wzrosła z ok. 10 zł do ponad 14 zł za metr kwadratowy.

Historie mieszanek bloku potwierdzają zdanie wielu lokatorów mieszkań komunalnych: skierowanie do takiego lokalu otrzymują osoby niezbyt zamożne, jednak życie w takim miejscu wymaga przeznaczania na jego utrzymanie niemałych środków z własnej kieszeni.

– Jedynym rozwiązaniem, jakie widzę, jest wysiedlenie wszystkich mieszkańców do innych miejskich lokali (nawet wymagających niewielkiego remontu) i natychmiastowe wyburzenie tego budynku. Sama złożyłam już podanie o zmianę mieszkania – przynajmniej jedna z rozmówczyń. – Mogę mieszkać w jakimkolwiek innym miejscu. Godzę się na mniejszy metraż, byle już tu nie mieszkać. Jeśli miasto nie zgodzi się na przesiedlenie nas do innych lokali, to niech przynajmniej obniży nam czynsze. Walką z robactwem zajmujemy się sami.

Czyścić dla ubogich

– Popieram pomysł, by deweloper w ramach rekompensaty dał coś dla mieszkańców w zamian za możliwość zarobku, którą uzyskał dzięki naszemu miastu. Jednak w Gdańsku zawiodło wykonanie. Deweloper otrzymał grunt w bardzo atrakcyjnym punkcie. Oliwa jest dobrze skomunikowaną dzielnicą o dobrej infrastrukturze. Funkcjonowanie takiego obszaru jest możliwe tylko dzięki podatkom. ▶

► Mieszkańcy miasta pośrednio zrzucają się na zarobek dewelopera. Miasto miało prawo domagać się rekompensaty. Cały problem polega na tym, że deweloper poszedł po linii najmniejszego oporu, tworząc getto na obrzeżach miasta – tłumaczy Adam Szczepański, członek stowarzyszenia Pomorska Akcja Lokatorska.

– Miasto postanowiło udowodnić, że potrafi negocjować z wielkim biznesem. Tylko szkoda, że negocjowali na kolanach. Dlatego nie postawiono żadnych dodatkowych kryteriów, przyjmując zapisy umowy jedynie jako wyraz dobrej woli. W tej samej Oliwie inny inwestor zobowiązał się do wykonania ronda koło kampusu Uniwersytetu Gdańskiego. Hołdujące tej filozofii władze z radością przyjęły prezent, nie skarżąc się, że przez rondo nie mogły przejeżdżać autobusy

Panuje przeświadczenie, że jeśli lokal jest na wynajem socjalny lub komunalny, to musi być niskiej jakości, w miejscu przypominającym zestanie.

komunikacji miejskiej. Zadziałał tu dokładnie ten sam mechanizm, co w przypadku budowy lokali mieszkalnych – punktuje działacz lokatorski.

Mieszkańcy bloku przy ulicy Ubocznej nie mieszczą się w kanonie neoliberalnych cnót – trudno ich nazwać bogatymi albo uprzywilejowanymi. A jednocześnie daleko im do dominującego w propagandzie obrazu lokatora komunalnego jako przedstawiciela patologii czy marginesu społecznego. Wielu pracuje od rana do wieczora, by związać koniec z końcem.

– Dodatkowo lokatorzy wykazują się inicjatywą społeczną. Założona przez nich rada mieszkańców i klub sąsiedzki są przykładami tego, że starają się, aby blok w jakikolwiek sposób był znośnym miejscem do życia – podkreśla Adam Szczepański. Rada mieszkańców działająca od ponad dwóch lat w oruńskim bloku jest próbą samoupodmiotowienia. Współpracuje z władzami miasta w zakresie poprawy warunków życia.

– Póki co blok jest przeludniony, na jedną kłatkę przypada zbyt duża liczba lokatorów. Wielu z nich to

starsi ludzie, wymagający opieki MOPS. Nie wiem, czy w takich warunkach będziemy w stanie utrzymać czystość i dobry stan elewacji oraz odczarować złą opinię, jaką cieszy się nasz blok i ulica. Głównym problemem jest ogromne zadłużenie, które utrudnia nam negocjacje z władzami miasta w zakresie napraw, systematycznego sprzątnięcia czy remontów. Lokatorzy, którzy chcieli urządzić sobie w bloku życie na przyzwoitym poziomie, odeszli sfrustrowani brakiem wyników. Na ich miejsce niejednokrotnie przychodziły osoby starsze, nieradzące sobie z funkcjonowaniem czy niekiedy nawet z wychodzeniem z domu. Z małych emerytur z trudem można zapłacić za jedzenie i leki. Na dezynfekcję budynku nie starcza już środków. W rezultacie blok zapuszcza się, bo na każdą decyzję czy działanie

musimy bardzo długo czekać – mówi pani Agnieszka z rady mieszkańców ulicy Ubocznej.

Priorytetem przedstawicielstwa mieszkańców jest walka z plagą robactwa. Miasto zobowiązało się przed radą do odrobaczenia części wspólnych oraz dezynfekcji pustostanów.

– Lokale są remontowane, a ich stan się poprawia. Spotykamy się z seniorami w działającej od niedawna lokalnej kawiarence. Forma organizacji, jaką obraliśmy, w dość krótkim czasie pozwoliła nam poprawić relacje z urzędnikami i MOPR. Radę w pierwszej kolejności tworzą mieszkańcy, którzy dokładnie znają potrzeby swoje i reszty lokatorów budynku. Dlatego uważam, że model, który przyjął się u nas na Oruni, można z powodzeniem zastosować także w innych skupiskach mieszkań socjalnych i komunalnych, których lokatorzy zmagają się z problemami bardzo podobnymi do naszych – wskazuje pani Agnieszka.

W tym kontekście nie dziwi, że Adrian Zandberg, organizując konferencję prasową poświęconą polskiemu mieszkalnictwu, mówił właśnie

o stołecznym osiedlu Dudziarska, gdzie ludzi z problemami finansowymi zapędzono do pozbawionego infrastruktury komunikacyjnej, depresyjnego osiedla wiele kilometrów od centrum.

Panowie i słudzy?

Nie tylko w Gdańsku, ale i w całej Polsce panuje przeświadczenie, że jeśli lokal jest przeznaczony na wynajem socjalny lub komunalny, to musi być niskiej jakości, usytuowany w miejscu przypominającym zestanie. Samo przyjęcie takiego lokalu wypala mieszkańcowi stygmat społeczny na czole. Tymczasem u sąsiadów z Odrą mieszkania komunalne nie są ani lepsze, ani gorsze od lokali dostępnych na rynku komercyjnym.

Zdaniem działacza lokatorskiego instytucje miejskie postrzegają lokatorów komunalnych nie jako stroną umowy, tylko jako gorszy sort – ludzi, których trzeba dodatkowo ukarać za to, że nie są na tyle bogaci, aby zaciągnąć kredyt na 30 lat.

– Zamiast jednego bloku należało zrealizować inwestycje rozproszone. Mieszkania powinny powstawać w różnych częściach miasta, zarówno w jego starszych częściach, jak i na nowych osiedlach. Władze gminy mogłyby tworzyć sieć rozproszonych mieszkań, wykupując potrzebne w tym celu grunty i nieruchomości na rynku wtórnym lub poprzez porozumienie z podmiotami przystępującymi do inwestycji. W ten sposób wynajmujący mieszkania od gminy żyliby obok lokatorów z mieszkań własnościowych. Na PRL-owskich osiedlach profesorowie mieszkali obok ludzi z wykształceniem podstawowym, a osoby niezamożne obok lepiej sytuowanych. Z dotychczasowej praktyki wynika, że właśnie te części miasta funkcjonują najlepiej. Skupianie w jednym, odizolowanym punkcie ludzi z problemami, często zalegających z czynszem, to przepis na stworzenie miejsca zaniedbanego, zmagającego się dokładnie z takimi problemami, jakim codziennie stawiają czoła mieszkańcy bloku przy ulicy Ubocznej – podsumowuje członek Pomorskiej Akcji Lokatorskiej.

Maciej Ostrowski

Głos Bruce'a Springsteena

Piotr Kimla

To jest tekst o polityce, nie o kondycji wokalne amerykańskiej gwiazdy rocka. Bruce Springsteen jest bowiem artystą politycznie zaangażowanym. W tekstach piosenek poruszał sprawy tzw. małej polityki – związane z sytuacją weteranów wojennych, biedą wśród amerykańskich obywateli, robotników i migrantów, kwestie niesprawiedliwości, której wszyscy ci ludzie doświadczają w codziennym życiu w Stanach Zjednoczonych. Wielki przebój „Born in the USA” (Urodzony w USA) nie jest bynajmniej patriotycznym hymnem pochwalnym, ale gorzką refleksją nad losem amerykańskiego żołnierza, który wraca z Wietnamu do kraju. Jeśli zaś chodzi o politykę przez duże P, to Springsteen angażował się w nią, popierając w kampaniach wyborczych demokratów Baracka Obamę, z którym notabene prowadził podcast, Hillary Clinton, Johna Kerry'ego, a ostatnio Kamalę Harris.

W politykę przez duże P wkroczył jednak także już poza kampanią wyborczą, ściślej 14 maja br. podczas koncertu w Manchesterze. Powiedział tam: „W moim domu, w Ameryce, którą kocham, w Ameryce, o której pisałem, że przez 250 lat była symbolem nadziei i wolności – otóż jest ona obecnie w rękach skorumpowanej, niekompetentnej i zdradzieckiej administracji. Dziś wieczorem prosimy wszystkich, którzy wierzą w demokrację i w amerykańskiego ducha, aby razem z nami wstali, wznieśli swój głos, sprzeciwili się autorytaryzmowi i pozwolili wybrzmieć wolności. Ostatnim wędzidłem nałożonym na władzę, kiedy zasady równowagi władz zawodzą, są ludzie. Wy i ja. Jedność ludzi zgromadzonych wokół wspólnego systemu wartości – oto, co stoi pomiędzy demokracją a autorytaryzmem. Na samym końcu wszystko, co naprawdę mamy, to siebie nawzajem.

Upiorne, dziwne i niebezpieczne szambo rozlewa się tam teraz. W Ameryce prześladowuje się ludzi za korzystanie z prawa do wolności słowa i wyrażania sprzeciwu. W Ameryce najbogatsi ludzie czerpią satysfakcję z porzucenia najbiedniejszych dzieci na świecie, rzucenia ich na pastwę choroby i śmierci. To się dzieje teraz. W moim kraju ci ludzie znajdują sadystyczną przyjemność w bólu, który zadają lojalnym, amerykańskim robotnikom, wycofują historyczne ustawodawstwo dotyczące praw obywatelskich, które doprowadziło do powstania sprawiedliwego i pluralistycznego społeczeństwa, opuszczają naszych wielkich sojuszników i bratają się z dyktatorami przeciwko tym, którzy walczą o swoją wolność. Pozbawiają funduszy amerykańskie

W 1989 r. dobrze zaczęliśmy. Ale domyślamy się już wszyscy, gdzie skończymy.

uniwersytety, bo one nie chcą się podporządkować ich ideologicznym żądaniom. Usuwają mieszkańców z amerykańskich ulic bez należącego procesu i wysyłają do zagranicznych ośrodków jako więźniów. To wszystko dzieje się teraz.

Większość wybranych przez nas przedstawicieli kompletnie zawiodła, jeśli chodzi o ochronę Amerykanów przed nadużyciami ze strony nieodpowiedniego prezydenta i nieuczciwego rządu. Nie kłopotczą się bądź nie mają pojęcia, co znaczy być prawdziwie amerykańskim.

Ameryka, o której śpiewam wam od 50 lat, jest czymś prawdziwym i niezależnym od jej błędów jest to wielki kraj ze wspaniałymi ludźmi. Zatem przetrwamy ten moment. Dzielę się teraz nadzieją, ponieważ wierzę w prawdę słów znakomitego amerykańskiego pisarza Jamesa Baldwina, który powiedział: »Ten świat nie jest tak bardzo ludzki, jak byśmy chcieli. Ale jest wystarczająco ludzki«.

Springsteen zakończył koncert w Manchesterze utworem „Chimes of Freedom” (Dzwony wolności) napisanym przez laureata literackiego Nobla Boba Dylana w 1964 r. i wykonanym przez Springsteena podczas trasy Amnesty International Human Rights Now! w 1988 r. Utwór opisuje przejście od ciemności do światła, a dzwony są symbolem lepszego jutra dla ludzi złaknionych wolności. „Dla biednych, dla nagich, dla zmiażdżonych przez władzę / Dla ofiar, dla zapomnianych w więzieniach / Dla samotnych, dla wygnanych, dla przestraszonych i cichych / Biją dzwony wolności”.

Springsteenowi odpowiedział Donald Trump w serwisie Truth Social, stwierdzając, że jest on „wysoce przereklamowany”, „głupi jak but”, jest „nachalnym, irytującym bucem”, „wyschniętym jak śliwka (cała jego skóra znikła)”. Pełen elokwencji amerykański prezydent obiecał też wyszczenie dochodzenia mającego ustalić, czy pieniądze, które Springsteen otrzymał za występ podczas kampanii Kamali Harris, nie naruszają zasady, że za udzielone poparcie kandydat nie może płacić. Zdaniem prezydenta Trumpa Harris właśnie to zrobiła w stosunku do Bossa (przydomek Springsteena) pod przykrywką zapłaty za koncert.

Nie muszę tłumaczyć, że wszystko, co napisałem i przytoczyłem, dotyczy polskiego kontekstu, nie amerykańskiego. Dotyczy tego, co się stanie u nas. I jeszcze refleksja historyzoficzna. Dobrze zaczęliśmy w 1918 r. Od postępowej konstytucji, rządów Daszyńskiego i Moraczewskiego, praw wyborczych dla kobiet. Po ośmiu latach mieliśmy już rządy autorytarne Józefa Piłsudskiego. Nie to jeszcze było najgorsze. Najgorsze było to, że po śmierci Piłsudskiego obóz piłsudczykowski kompletnie skapitulował przed endecją. Jak nazwać ustrój, który mieliśmy pod koniec istnienia II Rzeczypospolitej? Także w 1989 r. dobrze zaczęliśmy. Ale domyślamy się już wszyscy, gdzie skończymy. ■

Przekleństwo drugiej tury

Największe partie od 20 lat zwykle wystawiają kandydatów z drugiego szeregu, takich, którzy mogą się spodobać przeciętnemu wyborcy

Paweł Siergiejczyk

Powszechne wybory prezydenckie to bez wątpienia jedno z najmniej rozsądnych rozwiązań, jakie przyjęto u początków III Rzeczypospolitej. Mimo to, a może właśnie dlatego, polscy politycy i wyborcy tak bardzo je polubili, że trudno dziś sobie wyobrazić naszą politykę bez tego „cyrku prezydenckiego”, który odbywa się regularnie co pięć lat. Właśnie przeżywamy ten cyrk po raz ósmy i nic nie wskazuje na to, by jego efekty skłaniały do jakiegokolwiek poważnej refleksji.

Za każdym razem jest tak samo: na początku pojawiają się dziesiątki chętnych, wychodzących z prawdziwego skądinąd założenia, że skoro prezydent może nie mieć żadnego wykształcenia (jak Wałęsa) ani powagi politycznej (jak Duda), to znaczy, że już każdy może objąć ten najwyższy urząd w państwie, więc oni także. Potem przychodzi sito w postaci zbierania 100 tys. podpisów, z czym mają problem tylko ci, za którymi w ogóle nikt ani nic nie stoi. Pozostali, a więc zwykle kilkanaście osób, podpisy w taki czy inny sposób zdobywają, dzięki czemu otrzymują oficjalny status zarejestrowanego kandydata i wielotygodniowy dostęp do mediów, o jakim wcześniej nawet nie marzyli.

Cała perwersyjność tej zabawy polega na tym, że zwycięzca i tak może być tylko jeden, więc realną szansę na zostanie prezydentem mają wyłącznie ci, za którymi stoją największe obozy polityczne. Od 20 lat przywilej ten należy wyłącznie do kandydatów PiS i Platformy, cała reszta stanowi zatem tylko barwne

tło dla powtarzających się w każdych wyborach zmagani między Kaczyńskim a Tuskiem, nawet jeśli reprezentują ich znacznie młodszy kandydaci z nieporównanie mniejszym doświadczeniem i niższą pozycją polityczną.

Wbrew pozorom nasze wybory prezydenckie nie są wzorowane na tych najbardziej znanych, w USA, lecz stanowią kopię wyborów francuskich, które gen. de Gaulle wprowadził do systemu V Republiki dopiero w latach 60. XX w. We Francji co pięć lat również startuje kilkunastu kandydatów, z których do drugiej tury przechodzi dwóch najsilniejszych i to spośród nich jest wyłaniany prezydent.

Powszechne wybory prezydenckie w III RP zawsze służyły prawicy, a nie siłom umiarkowanym i odpowiedzialnym.

Model ten w 1990 r. postanowili przenieść na grunt polski politycy Ruchu Obywatelskiego – Akcji Demokratycznej (ROAD), czyli partii popierającej wówczas premiera Tadeusza Mazowieckiego w rywalizacji z Lechem Wałęsą, który nie krył swoich prezydenckich ambicji. Pomysł ten spodobał się też samemu Wałęsie, liczącemu na łatwe zwycięstwo nad coraz mniej popularnym szefem rządu. Ani jedna, ani druga strona solidarnościowej wojny na górze nie była w stanie przewidzieć, że pierwsze wybory prezydenckie w historii Polski okażą się wielkim zaskoczeniem: Mazowiecki zajął dopiero trzecie miejsce, pokonany przez „człowieka znikąd”, czyli polonijnego biznesmena Stanisława Tyimińskiego, którego prymitywny populizm

okazał się dla niemal jednej czwartej wyborców bardziej wiarygodny niż hasło „przyspieszenia” głoszone przez gdańskiego noblistę i „siła spokoju” inteligenckiego premiera.

Zjednoczony front

To, że ostatecznie Wałęsa bez trudu pokonał Tyimińskiego, a w żadnych następnych wyborach do drugiej tury nie wszedł nikt równie nieprzewidywalny, sprawiło, że lekcja z 1990 r. została w Polsce zignorowana. Na tyle skutecznie, że gdy tworzono konstytucję III RP, zapísano w niej powszechne wybory prezydenckie, choć większość partii popierających nową ustawę zasadni-

czą (PSL, Unia Wolności, Unia Pracy) nie miała żadnego interesu w utrzymaniu takiego modelu wyłaniania głowy państwa, bo ich kandydaci nigdy nie mieli realnych szans na wygranie wyborów. Był to jednak czas początków prezydentury Aleksandra Kwaśniewskiego, który w wyborach z 1995 r. pokonał Wałęsę, a pięć lat później zdeklasował wszystkich rywali, wygrywając już w pierwszej turze. Lewica mogła wtedy żyć w przekonaniu, że już zawsze będzie największym, a w każdym razie najstabilniejszym obozem politycznym w III RP, dysponując wiernym, wielomilionowym elektoratem. Temu dobremu samopoczuciu liderów SLD śmiertelny cios zadały wydarzenia pierwszych lat XXI w., gdy środowiska prawicowe skonsolidowały się

wokół dwóch nowych ugrupowań stworzonych przez Kaczyńskiego i Tuska, którzy wcześniej wydawali się już politykami przegranymi.

Zjednoczony jeszcze wtedy „front antykomunistyczny” PO-PiS, intensywnie wspierany przez większość mediów, elit intelektualnych i nowo powstały IPN, doprowadził do moralnej i politycznej delegitimacji lewicy, która w podwójnych wyborach z 2005 r. nie tylko straciła władzę, ale w ogóle została wypchnięta poza główny nurt polskiej polityki. Bo choć przez następne lata jej szcząt-

klerykalizmie i coraz mniej skrywanym nacjonalizmie.

Powszechne wybory prezydenckie w III RP zawsze zresztą służyły prawicy, a nie siłom umiarkowanym i odpowiedzialnym. Co prawda, polski prezydent może tylko pomarzyć o realnej władzy, jaką ma wybierany w taki sam sposób jego francuski odpowiednik, lecz nie na tym polega ogromne znaczenie tych wyborów. Każde wybory prezydenckie, a właściwie ich najważniejsza część, czyli druga tura, stanowią bowiem rodzaj plebiscytu, w którym obaj

bardziej okazywana wrogość i pogarda wobec innych krajów i narodów (do Rosji – obowiązkowo, do Niemiec czy Francji – w coraz większym stopniu) – tak wygląda u nas każda kampania prezydencka i nic nie wskazuje, aby szybko miało to się zmienić. Ostatnio fatalny przykład idzie też zza oceanu – sukcesy wyborcze Trumpa umacniają naszych polityków i ich „sztabowców” w przekonaniu, że im większa arogancja, bezczelność, a nawet chamstwo, tym łatwiej pozyskać głosy milionów Polaków.

Wybory prezydenckie stanowią kumulację tak agresywnego i zarazem bezmyślnego modelu walki politycznej nie pomimo słabej pozycji ustrojowej głowy państwa, ale właśnie ze względu na nią. Bo prezydent w gruncie rzeczy za nic konkretnego nie odpowiada, strażnikiem konstytucji i gwarantem ciągłości władzy państwowej jest tylko w teorii, a w praktyce służy najczęściej własnej partii (i rzecz jasna osobistej próżności). Za swoje weta, ułaskawienia, ordery i nominacje nie ponosi żadnej odpowiedzialności – ani w czasie urzędowania, ani później. Nic dziwnego, że największe partie od 20 lat zwykle wystawiają w tych wyborach kandydatów z drugiego szeregu, za to takich, którzy mogą się spodobać przeciętnemu wyborcy. A przeciętny wyborca nadzwyczaj chętnie bierze udział w tym plebiscycie, który już dawno przestał być „konkurem piękności”, a stał się targowiskiem próżności, narodowej megalomanii, uświęconej ksenofobii i niebywałej ignorancji, gdzie każda bzdura i każde kłamstwo może liczyć na poklask i masowe upowszechnienie, oczywiście w imię „wolności słowa”.

Z 35-letniej historii III RP należy wyciągać prawdziwe wnioski, nie ulegając złudzeniom. Dwa zwycięstwa wyborcze Aleksandra Kwaśniewskiego to wyjątki, które już nigdy się nie powtórzą. Nie tylko dlatego, że wyjątkowy był sam Kwaśniewski – bez wątpienia najwybitniejszy talent polityczny w demokratycznej Polsce. Wyjątkowe były też czasy, w jakich zwyciężał: epoka szybkiej kompromitacji elit



kowa reprezentacja nadal zasiadała w Sejmie (z wyjątkiem kadencji w latach 2015-2019, gdy znalazła się poza parlamentem), to żadna z dwóch dominujących partii nie traktowała lewicy jako partnera, z którym należy się liczyć.

Niewiele zmieniło nawet utworzenie w 2023 r. obecnej koalicji rządowej, zdominowanej przez siły centroprawicowe, przy których lewica odgrywa rolę ledwie tolerowanego młodszego brata. A tegoroczne wybory prezydenckie, z trójką niezbyt poważnych, za to rywalizujących kandydatów lewicowych, jedynie potwierdziły tę oczywistą prawdę, że polska scena polityczna została trwale zdominowana przez środowiska prawicowe, a więc oparte na antykomunizmie,

kandydaci muszą się licytować na takim poziomie, jaki jest zrozumiały dla przeciętnego wyborcy, kształtowanego od ćwierćwiecza przez stabloidyzowane media, upolityczniony Kościół i skrajnie tendencyjny IPN. W tej licytacji nie ma już zagrożenia nowym Tymieńskim, bo obaj główni kandydaci z wyborów na wybory obniżają swój poziom agitacji nawet poniżej poziomu tego tajemniczego biznesmena z Kanady.

Przykład Trumpa

Wymachiwanie białą-czerwoną flagą, odmienianie przymiotników polski i narodowy przez wszystkie przypadki, buńczuczne deklarowanie własnego patriotyzmu przy od-mawianiu go rywalowi, mniej czy

► solidarnościowych, czego symbolami stali się rywale Kwaśniewskiego – najpierw Wąłęsa, potem Marian Krzaklewski (co ciekawe, dwaj kolejni przewodniczący NSZZ Solidarność). Inne było wówczas polskie społeczeństwo, wprost wyrosłe z PRL, a mimo to – a może właśnie dlatego – nie tak antykomunistyczne, klerykalne i ogólnie prawicowe jak to dzisiejsze. Bo dzisiejsza Polska to kraj, w którym PiS, nawet jak nie rządzi, i tak sprawuje rząd dusz większości jego mieszkańców, młode pokolenie podbija skrajnie prawicowa Konfederacja, antypisowska koalicja rządowa zaś raczej przejmując pisowsko-konfederacką ideologię, niż proponuje alternatywę wobec niej.

Niewielka przewaga

Spośród czterech elekcji prezydenckich, które odbyły się w XXI w., trzy wygrali kandydaci PiS: Lech Kaczyński w 2005 r. oraz Andrzej Duda w 2015 r. i 2020 r. Zwycięstwo w 2010 r. Bronisława Komorowskiego – dodajmy, że również polityka pracwicowego i antykomunistycznego,

tyle że z PO – stanowiło wyjątek, wynikający głównie z faktu, że jego rywalem był sam Jarosław Kaczyński. Bo już pięć lat później tenże Komorowski przegrał z Dudą, pogrążając nie tylko siebie, ale i całą Platformę, która, nawiasem mówiąc, niewiele zrobiła, by bronić urzędu prezydenckiego przed ponownym zagarnięciem przez PiS.

Tamte wybory nie mogły zresztą skończyć się inaczej, skoro trzecie miejsce z 20-procentowym poparciem zajęł w nich Paweł Kukiz, kompletny ignorant i amator polityczny, stanowiący znacznie gorszą wersję Tymińskiego. Tacy kandydaci, najmocniej szermujący prostacką, hurrapatriotyczną retoryką, pojawiają się zawsze, lecz w kilku ostatnich elekcjach było ich wyjątkowo wielu i nawet jeśli ich ostateczne wyniki są nieznaczące, to oni w debatach telewizyjnych nadają ton, który jeszcze bardziej przesuwając całą kampanię wyborczą w prawo. W tym roku było nawet gorzej niż zwykle, gdyż prawica w opozycji zawsze jest bardziej agresywna, niż będąc u władzy (choć wtedy również uprawia

taką propagandę, jakby była w opozycji, a jej rywale rządzą Polską i światem).

Każde wybory prezydenckie w ostatnich 20 latach rozstrzygały się niewielką przewagą głosów w drugiej turze. W 2020 r. było to zaledwie 400 tys. głosów na 20 mln głosujących. Ale ta niewielka przewaga arytmetyczna daje zwycięzcy gigantyczną przewagę psychologiczną, bo przegrana „mniejsza połowa” społeczeństwa łatwo się zniechęca i demobilizuje, co ma istotny wpływ na kolejne wybory parlamentarne, których wymiar praktyczny jest przecież o wiele istotniejszy. Dlatego powszechne wybory prezydenckie stanowią prawdziwe przekleństwo polskiej polityki. Niestety, trudno sobie wyobrazić, by zdominowana przez prawicę III RP miała z nich zrezygnować i wrócić do znacznie rozsądniejszego (a przy tym tańszego) sposobu wyboru głowy państwa przez parlament. I to nie tylko dlatego, że taki sposób wyboru mają Niemcy, których nasza prawica nie nawidzi za wszystko.

Paweł Siergiejczyk

KSIĄŻKI

Polityka przełomu wieków

Rozmowy o Polsce i świecie

Fundacja Aleksandra Kwaśniewskiego Amicus Europae

Warszawa 2024



Zbiór wywiadów i esejów byłych człowiek polskich i zagranicznych polityków oraz ludzi nauki zaproszonych przez byłego prezydenta Aleksandra Kwaśniewskiego do podzielenia się swoimi refleksjami na temat wyzwań i procesów towarzyszących Polsce i Europie u schyłku XX w. i w pierwszych latach XXI w. Zaproszenie do podzielenia się swoimi wspomnieniami i refleksjami przyjął m.in.: George W. Bush, Horst Köhler, Valdas Adamkus, Leonid Kuczma,

Julia Tymoszenko, Javier Solana, Bronisław Komorowski, Hanna Suchocka, Ewa Łętowska i Adam Daniel Rotfeld. Zebrane refleksje i wspomnienia świadków historii pokazują konieczność ponownego przemyślenia kluczowych momentów polskiej, europejskiej i światowej polityki na przełomie wieków, a wiele pytań stało się z jeszcze większą ostrością.

Romuald Karaś

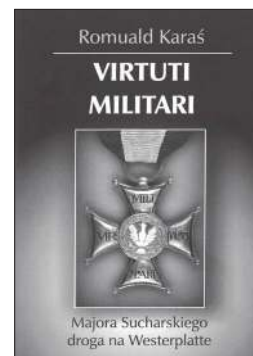
Virtuti Militari

Majora Sucharskiego droga na Westerplatte

Oficina Literatów i Dziennikarzy POD WIATR

Warszawa 2023

Czwarty tom biografii mjr. Henryka Sucharskiego rozpoczyna się od powrotu bohatera z Wielkiej Wojny w mundurze gefrajtera armii austriackiej, do której został powołany jako poddany cesarza. Wkrótce zakłada polski mundur. Autor na bogatym tle społecznym i politycznym kilku epok naszych dziejów ukazuje sylwetki osób, które miały wpływ na bohatera książki. Odkrywa nieznaną pamiętniki, listy, fotografie sprzed ponad wieku. Przedstawia wojskową historię kawalera dwóch Krzyży Walecznych i Orderu Virtuti Militari, w tym jego udział w randze podporucznika w wojnie polsko-bolszewickiej 1920 r. na froncie lwowskim. Najważniejszym celem obszernej pracy pisarza jest obalenie mitu o wywieszeniu 2 września 1939 r. białej flagi na Westerplatte.



(es)

Lewomyślniej



Roman Kurkiewicz

Pył bitewny opada, emocje cichną, choć w najbliższych latach nie będzie nam ich brakowało. Tych politycznych. Oswojenie się z postacią Karola Nawrockiego jako prezydenta RP będzie musiało potrwać. Jeśli nastąpi. Bo trudno wynik wyborczy, mimo że się go respektuje, uznać za czynnik wymazujący życiorys elekta. Pytań zresztą będzie przybywać, taka biografia nie znika w efekcie porażki Rafała Trzaskowskiego, Koalicji 15 Października, obozu rządowego. Tylko że Nawrocki, tak jak stał się niewidzialno-nietykalny w ostatnich tygodniach kampanii, był od lat i szczególnie w ostatnich miesiącach niewidzialny dla wymiaru sprawiedliwości, schowany za nieformalnym immunitetem. Na pytanie, jak to jest, że nic, żadne przesłuchanie, żadna indagacja czy zainteresowanie prokuratorskie nie grozi człowiekowi, na którym

całą pulę, nawet przy wygranej stosunkowo niewielką różnicą głosów. Te ponad 10 mln, które na niego nie głosowało, winno teraz całym sercem uznać, że to również ich prezydent, prezydent „wszystkich Polaków”, że majestat państwa ponad wszystko. Przecież to opowieść do włożenia między bajki.

W ostatnich dekadach właściwie tylko dwóch prezydentów udatnie wypełniało swoją funkcję, chociaż raczej nie spodziewano się tego po nich z racji historycznych zaszczości. Myślę tu o Wojciechu Jaruzelskim i Aleksandrze Kwaśniewskim, wszyscy pozostali byli wiernymi sługami, zakładnikami swoich formacji politycznych. Andrzej Duda domknął tę linię służalczej zależności prezydenta od partii, rozdał do rozmiarów karykaturalnych, opowiadanych memami.

Krajobraz po, horyzont przed

ciążą podejrzenia o malwersacje 30 mln zł podczas pełnienia funkcji publicznych i udział w kibolskich ustawkach, których inni uczestnicy byli skazywani na więzienie – przyjdzie czas odpowiedzieć.

Na razie jednak chciałbym się pochylić nad czymś innym niż brudnawa biografia Nawrockiego – nad politycznym wymiarem jego poglądów, które są skrajnie pravicowym miksem nacjonalizmu z elementami sympatii faszystowskich. Nie jest to figura hołubionego w Polsce konserwatyźmu spod znaku antysemitę Dmowskiego, to raczej konstrukcja oenerowskiego bojówkarza. Wszystko to może oznaczać, że nie tyle PiS usadowiło w Pałacu Prezydenckim przedłużenie swojego wiernopoddańczego „długopisa”, ile skrajna, naprawdę skrajna prawica, wciąż jeszcze nie sięgnąwszy po władzę, bez wielkiego wysiłku własnego (geniusz Kaczyńskiego...) ma swojego człowieka w roli prezydenta. I to nadaje dynamice sprawiowania polskiej sceny politycznej, i tak powszechnego i niepodważalnego, nowy impuls i znaczenie.

Rzecz jasna, Nawrocki z uwagi na przeszłość może być emisariuszem nie tylko skrajnej prawicy, ale także półświatka przestępczego. A za tym idą kolejne warianty osiągnięcia realnego wpływu na jego działania, decyzje i sprawczość polityczną. Nie podzielał polskiej fobii antyrosyjskiej ani nie znam się na robocie wywiadów, ale zdziwiłbym się, gdyby krążenie wokół przyjaciół okofustawkowych nowego prezydenta jeszcze nie ruszyło pełną parą. A polskie państwo sterczy oniemiałe. I się gapi. I nic.

Porzucam na razie postać nowo wybranej głowy (pięści?) państwa. Myślałem trochę o samym wymiarze tak zorganizowanych wyborów, gdzie zwycięzca zgarnia

Zastanawiam się więc, czy nie mogłoby to być zorganizowane inaczej, bardziej sprawiedliwie? Na przykład tak, że głosy w wyborach przekładają się na podział czasu prezydentowania. Wybieralibyśmy czas dla prezydenta, a nie jedynowładztwo. Czyli w tym wypadku pięć lat, te 1826 dni, dzielilibyśmy wedle wyniku: 929 dni rządzi Nawrocki, a 897 Trzaskowski. Obie wielkie, przeszło 10-milionowe społeczności zostałyby potraktowane reprezentatywnie, sprawiedliwie, a może i uczciwiej. W końcu w parlamencie nie zasiadają wyłącznie posłowie zwycięskiej partii, głosy zostają przeliczone na mandaty.

Demokracja i jej konkretne reguły nie są dane raz na zawsze, nie są nienaruszalne ani niezmiennalne. Czy podobny pomysł uznałbym za wart uwagi, gdyby to nie Nawrocki wygrał? A owszem. Na szali leży jednak gigantyczna frustracja pokonanych. Może zasługuje ona na jakiś rodzaj zagospodarowania? Może to gra warta świeczki, może przyspawanie do stołków w kancelarii z wielomilionowym budżetem też nabrałoby innego wymiaru? Jak wiele kwestii wyglądałoby wówczas inaczej? Po- puścić państwo wodze wyobraźni.

Nasz system polityczny bywa krytykowany za wiele schematów, które go betonują i utrwalają duopol władzy. Może czas o tym rozmawiać i szukać nowych rozwiązań? Może innowacyjnym wysiłkiem byłoby rozpetanie burzy projektowej w kwestii przyszłości demokracji? Może te 36 lat doświadczeń to już wystarczająco dużo, by zacząć przy niej konstruktywnie gmerać? Może nie trzeba czekać aż do jej nudnego końca czy inercyjnego zamierania i rytualnych gestów, takich jak spektakle wyborcze? Aż dojdziemy do wniosku, że czas demokracji minął? To mogłaby być zajmująca przygoda polityczna. ■



GRAND PRESS PHOTO





Fotoreportaż Marcina Górzyńskiego z agencji prasowej Fotonova, który w konkursie Grand Press Photo 2025 zajął II miejsce w kategorii People – Stories.

Fentanyl, opioid 50 razy silniejszy od heroiny, łatwo uzależnia i niesie wysokie ryzyko przedawkowania. Tylko w 2023 r. w USA zmarło przez niego ponad 70 tys. osób, często bezdomnych. Problem dotyczy wielu dużych miast w Stanach Zjednoczonych, m.in. Filadelfii, Los Angeles czy San Francisco.



Mgła wojny, czyli o Gazie wiemy za mało

Strefa Gazy cierpi na brak żywności, problemem są utrudnienia w raportowaniu wydarzeń międzynarodowej opinii publicznej

Jakub Katulski

Jak podają Ministerstwo Zdrowia Strefy Gazy, Międzynarodowy Komitet Czerwonego Krzyża i Lekarze bez Granic, w punktach wydawania żywności w Strefie Gazy w pierwszych dniach czerwca doszło do strzelanin. Zdaniem Palestyńczyków winowajcami są izraelscy żołnierze, którzy trzy dni z rzędu mieli otwierać ogień do cywilów, zabijając kilkadziesiąt osób. Izrael wraz z uruchomioną niedawno Gaza Humanitarian Foundation zaprzeczają, by w ogóle doszło do strzelanin w niedzielę 1 czerwca i we wtorek 3 czerwca. W przypadku

Kryzys humanitarny czy brak ćwiczeń?

Strefa znalazła się w ogromnym kryzysie humanitarnym, co potwierdzają międzynarodowe organizacje pomocowe, od Światowego Programu Żywnościowego, przez Międzynarodowy Komitet Czerwonego Krzyża i World Central Kitchen, po Lekarzy bez Granic czy Polską Misję Medyczną. Fakt, że ta mała enklawa od lat pozostaje pod izraelską okupacją (lub, jak wolą sami Izraelczycy, jest poddana blokadzie i oblężeniu, co brzmi jeszcze gorzej), do której swoje trzy grosze dorzuca Egipt blokujący jej

Hamas. Izraelscy ministrowie, politycy i dyplomaci idą jednak w zaparte i przekonują, że za sytuację humanitarną odpowiedzialny jest Hamas. Mimo to powoli narracja zaczyna się zmieniać, co wyraźnie było widać na konferencji Międzynarodowego Sojuszu na rzecz Pamięci o Holokauście (IHRA) w Jerozolimie. Warto zaznaczyć, że o IHRA zrobiło się głośno przede wszystkim za sprawą roboczej definicji antysemityzmu, za której przyjęciem przez organizacje, państwa i samorządy (w tym w Polsce) lobbują liczni naukowcy i aktywiści.

W przemówieniu premier Benjamin Netanjahu oznajmił, że wśród „tysięcy więźniów” przejętych przez Izrael nie było żadnego wychudzonego, co oznaczałoby, że dostają oni jedzenie, ale za mało ćwiczą.

Te oburzające słowa wpisują się w obowiązujący w Izraelu trend promowania braku empatii.

Deficyt empatii

Na początku maja minister dzieciństwa narodowego Amichai Eliahu, reprezentujący kierowaną przez Itamara Ben Gwira skrajnie prawicową partię Ocma Jehudit (Żydowska Siła), przekonywał w Kanale 7, że obowiązkiem Izraela powinno być bombardowanie pomocy humanitarnej i zagłodzenie Strefy Gazy. Kiedy polityk opozycji Jair Golan skrytykował postawę izraelskiego rządu i powiedział, że „zabijanie dzieci stało się hobby”, w sprzyjającym władzy Netanjahu Kanale 14 były parlamentarzysta Likudu, a obecnie przewodniczący partii Zehut, Mosze Zalman Feiglin, gardłował, że to nie Hamas

Przepływ towarów jest dla mieszkańców Strefy Gazy kluczowy.

poniedziałkowej strzelaniny izraelskie wojsko informuje, że otworzyło ogień, ale do osób zagrażających izraelskim żołnierzom.

Sekretarz generalny ONZ António Guterres domaga się niezależnego międzynarodowego śledztwa w tej sprawie. Liczne organizacje humanitarne protestują zresztą przeciwko istnieniu Gaza Humanitarian Foundation, twierdząc, że jest upolitycznionym oszustwem łamiącym podstawowe założenia misji humanitarnych. Dyrektor wykonawczy GHF Jake Wood zrezygnował z pracy w fundacji dzień przed rozpoczęciem dystrybucji żywności. Wiele wskazuje na to, że projekt udzielania pomocy Strefie Gazy, wynikający w dużej mierze z amerykańskich nacisków na Izrael, przynosi więcej szkody niż pożytku.

południowe granice, stanowił podwaliny kryzysu. A spotęgowała go trwająca już półtora roku izraelska ofensywa, która kosztowała życie 54 tys. Palestyńczyków.

Nie pomaga też fakt, że Izrael uniemożliwia dostawy pomocy humanitarnej do Strefy Gazy, instrumentalizując ją i czyniąc bronią w konflikcie, niemal na równi z amunicją. Izraelscy politycy i wojskowi przekonują jednak, że ciężarówki z pomocą są rozkradane przez Hamas i nie trafiają do adresatów.

Zarzuty te zostały odparte przez Światowy Program Żywnościowy, ale także inne organizacje. Draginja Nadażdin, dyrektorka polskiego biura Lekarzy bez Granic, 21 maja w podcaście Dariusza Rosiaka „Raport o stanie świata” zaznaczyła, że jej organizacja nie zetknęła się z sytuacją, by dostawy były przejmowane przez



Palestyńczycy oczekujący na przydział jedzenia w punkcie dystrybucyjnym w Chan Junus, 25 maja 2025 r.

jest wrogiem Izraela, ale „wrogie jest każde dziecko w Gazie. Musimy okupować Gazę i zasiedlić ją. Nie pozostanie tam ani jedno dziecko. Nie ma innego zwycięstwa”.

Na początku maja minister finansów Becael Smotricz na konferencji dotyczącej osadnictwa zorganizowanej w osiedlu Ofra na Zachodnim

Zapowiedzi Smotricza idą w parze z obecnym celem wznowionej ofensywy militarnej w Strefie Gazy, mającej objąć kontrolą 75% obszaru. Wciąż jednak Izrael i Palestyńczycy poddawani są zewnętrznym naciskom, by doprowadzić do zawieszenia broni. Pracuje nad tym choćby specjalny wysłannik USA Steve

będą mogli bez ograniczeń przekraczać przejście graniczne z Egiptem w Rafah, a przepływ towarów zostanie wznowiony. Witkoff nazwał te oczekiwania „nieakceptowalnymi”.

Instrumentalizacja pomocy humanitarnej

Dla mieszkańców Strefy Gazy przepływ towarów jest jednak kluczowy. Obecnie, kiedy dystrybucją pomocy zawiaduje Gaza Humanitarian Foundation, powołana w lutym w Delaware (ten stan zapewnia wyjątkowo przyjazne przepisy podatkowe i korporacyjne instytucjom, które chciałyby zachować anonimowość, m.in. nie ujawniając nazwisk osób zasiadających w radach czy zarządach) i w Genewie, rozdzielanie odbywa się jedynie w trzech punktach zabezpieczanych przez izraelską armię (według GHF z odległości) i przez prywatnych najemników. Problem w tym, że zmniejszenie liczby punktów dystrybucji – choć wcześniej pomoc humanitarna przekazywana

Odrzucanie współpracy przy niezależnym śledztwie powoduje, że informacje, które docierają poza Gazę, są coraz trudniejsze do weryfikowania.

Brzegu zapowiedział, że w ciągu pół roku Strefa Gazy zostanie całkowicie zniszczona, a cała jej populacja zamieszka na niewielkim skrawku ziemi.

Trudno traktować te opinie jako wypowiedzi odosobnione albo nic nieznaczące, skoro padają z ust ministrów czy samego premiera, a ich autorzy nie spotykają się z żadnymi reperkusjami ani z krytyką we własnym środowisku.

Witkoff. Niedawno Witkoff zaproponował 60-dniowe zawieszenie broni i uwolnienie pozostających w Strefie Gazy zakładników. Ponadto to prezydent Donald Trump ma gwarantować, że Izrael dotrzyma swojej części zobowiązań. Hamas domaga się jednak zmian w dokumencie negocjacyjnym, m.in. uwzględnienia zapisu, że zakładnicy będą zwalniani w transzach oraz że mieszkańcy Strefy Gazy

► była bezpośrednio Palestyńczykiem w Gazie – jak również scedowanie jej na podmiot wspierany przez rządy Izraela i Stanów Zjednoczonych powoduje chaos.

Już 26 maja, kiedy Gaza Humanitarian Foundation rozpoczęła działania w punkcie dystrybucji w Tal as-Sultan w pobliżu Rafah, po pomoc zgłosiło się tylu potrzebujących, że następnego dnia fundacja chwilowo utraciła kontrolę nad sytuacją. Równocześnie fundacja pochwaliła się, że w ciągu jednego dnia rozdzieliła 8 tys. skrzynek z żywnością, która starczy na pół tygodnia dla 44 tys. osób. Położenie punktów sprawia jednak, że niektórzy potrzebujący muszą odbywać daleką podróż po ciężkie skrzynki dla swoich rodzin, w punktach dystrybucji pojawiają się więc głównie mężczyźni, co zresztą miało odzwierciedlenie podczas ataków 1, 2 i 3 czerwca.

Lekarze bez Granic i Międzynarodowy Czerwony Krzyż poinformowały wówczas, że szpitale, w których działają, przyjęły krytyczną liczbę rannych. Pracownicy tych organizacji podkreślili, że tym razem większość ofiar stanowią mężczyźni. Łącznie według danych Ministerstwa Zdrowia Strefy Gazy zabite zostały 102 osoby, a raniono ponad 560. Siły Obrony Izraela i Gaza

Humanitarian Foundation odrzucają część oskarżeń, przekonując, że to jedynie propaganda Hamasu. Amerykańska agencja prasowa Associated Press, która na podstawie relacji świadków donosiła nie tylko o wydarzeniach z tego tygodnia, ale także o początkach operacji GHF, przekonuje, że do otwarcia ognia doszło w niedzielę 1 czerwca około godz. 3.

Co wiemy o wydarzeniach w Rafah

Według Associated Press powołującej się na doniesienia naocznych świadków Izraelczycy oddali strzały ostrzegawcze w kierunku osób zmierzających wyznaczoną przez GHF drogą przez rondo oddalone o kilkaset metrów od punktu odbioru żywności. Według świadków Izraelczycy nadali komunikaty, by ludzie wrócili do Tal as-Sultan, gdy punkt zostanie otwarty po godz. 5. Tymczasem do godz. 3

obu stron. Uniemożliwienie dziennikarzom dostępu do takich miejsc sprawia, że nie można liczyć na bezstronne i bezpośrednie informacje, trudno zatem weryfikować podobne ataki. Sekretarz generalny ONZ wezwał do uruchomienia międzynarodowego śledztwa w sprawie tego, co się dzieje w Tal as-Sultan, ale Izraelczycy zapewniają, że prowadzą śledztwo sami. Ministerstwo Spraw Zagranicznych hańbą nazwało post, w którym António Guterres wezwał do śledztwa i przypomniał o zobowiązaniach Izraela wynikających z międzynarodowego prawa humanitarnego.

Praca organizacji międzynarodowych staje się coraz trudniejsza, ponadto uniemożliwia się im wykonywanie obowiązków w sposób niezależny od żadnej z walczących stron, czy to Izraela, czy Hamasu. Łatwo wobec tego zauważyć, dlaczego działania GHF uważane są za pogwałcenie podstawowych zasad pomocy

Poparcie dla Izraela w Europie Zachodniej jest rekordowo niskie.

na rondzie zgromadziły się już tłumy. Według świadków izraelscy żołnierze otworzyli wówczas ogień z karabinów, czołgów i dronów. Associated Press zaznacza również, że do strzelaniny doszło na obszarze kontrolowanym przez izraelskie wojsko, a dziennikarze nie mają tam wstępu.

Serwis factcheckingowy BBC Verify starał się określić, w których miejscach doszło do strzelaniny, przy zastrzeżeniu, że dostępny materiał audiowizualny jest skąpy. Na jednym z nagrań widać ludzi leżących na ziemi i słysząc eksplozję – może to być amunicja wystrzelona z czołgu lub pocisk artyleryjski. UK-Med, organizacja prowadząca szpital polowy ok. 3 km od miejsca zdarzenia, dostarczyła BBC Verify nagrania audio, na których zarejestrowano eksplozję i odgłosy trwającego ok. 5 minut ostrzału. Podobnie film opublikowany o godz. 6.08 pokazywał leżący tłum, słysząc było także wystrzały z broni automatycznej. BBC Verify nie było jednak w stanie dokonać geolokalizacji tych nagrań.

Ten brak jasności daje podstawy do podważania doniesień i oświadczeń

humanitarnej, chociażby zasady bezstronności. Taki był też powód rezygnacji Jake'a Wooda, byłego żołnierza US Marines i dyrektora wykonawczego Gaza Humanitarian Foundation, który oświadczył, że nie jest w stanie pogodzić zasady niezależności z misją fundacji. Wood podał się do dymisji 25 maja.

Kontrowersje wokół wypowiedzi izraelskich polityków, sposobu działania GHF i umożliwienia organizacjom humanitarnym pracy zgodnej z prawem międzynarodowym czy odrzucanie współpracy przy niezależnym śledztwie powodują, że informacje, które wychodzą poza Strefę Gazy, są coraz trudniejsze do weryfikowania. Nie przysparzają też Izraelczykom popularności. Serwis YouGov zauważa, że poparcie dla Izraela w Europie Zachodniej jest rekordowo niskie. Brak transparentności działań i próba kontroli nad przekazem za pomocą ograniczania pracy dziennikarzy i organizacji międzynarodowych jedynie do tego się dokładają.

Jakub Katulski



Sprostowanie

W dniu 12 maja 2025 r. w Tygodniku „Przeгляд” ukazał się artykuł „Szkoła demokracji” na temat Szkoły Podstawowej nr 57 w Gdańsku, a raczej na temat dyrektorki Anny Listewnik. Mateusz Cieślak żongluje treściami i faktami w sposób nierzetelny i manipulacyjny.

Skandaliczne jest porównanie publicznej szkoły, kierowanej zgodnie z przepisami prawa oświatowego i zasadami etyki zawodowej, do sytuacji z kawalerką pana Jerzego. To nieuczciwość, będąca nadużyciem wolności słowa, niemająca nic wspólnego z rzetelnym dziennikarstwem.

Manipulacją jest opis wizyty w szkole Przemysława Czarnka w maju 2022 r. Dziennikarz słowem nie wspominał, że placówka przyjęła ponad 100 uczniów – uchodźców z Ukrainy. Utworzono oddziały przygotowawcze, zapewniono uczniom pomoc psychologiczną, wsparcie socjalne oraz edukację dostosowaną do ich potrzeb i możliwości językowych. Celem wizyty ministra edukacji oraz pomorskiej kurator oświaty było wyrażenie uznania dla tych działań i zapewnienie uchodźców o bezpieczeństwie i wsparciu ze strony państwa.

Autor artykułu ponadto sugeruje, że nadanie Annie Listewnik tytułu Honorowego Profesora Oświaty miało charakter polityczny, co jest całkowicie nieprawdziwe i stanowi próbę zdyskredytowania zarówno osoby dyrektora, jak i całej instytucji oświatowej. Mateusz Cieślak nie zadał sobie trudu, by sprawdzić, w jaki sposób nadaje się tytuł Honorowego Profesora Oświaty. Wniosek o nadanie tytułu opiniuje Kapituła do Spraw Profesorów Oświaty, a jego przyznanie nie ma żadnego związku z bieżącą polityką – jest decyzją merytoryczną, niezależną i uwarunkowaną wyłącznie dorobkiem zawodowym kandydata. Tak było zawsze, co warto podkreślić.

Kolejna manipulacja faktami: w pierwszej połowie 2024 r. Wojewódzki Sąd Administracyjny w Gdańsku nie ukarał dyrektorki grzywną z powodu nieudzielenia informacji publicznej. Jedyna grzywna, jaka

została orzeczona, dotyczyła opóźnienia w przekazaniu dokumentów przez kancelarię prawną obsługującą szkołę, a nie zaniechania lub zaniedbania ze strony dyrektora. Anna Listewnik wskazywała na możliwość odmowy udostępnienia informacji z uwagi na podejrzenie nadużywania tego prawa. Sąd w swoich uzasadnieniach jednoznacznie wskazywał, że uchybienia nie miały charakteru celowego naruszenia prawa, a wynikały z błędnej – choć uzasadnionej – interpretacji przepisów dotyczących granic prawa dostępu do informacji publicznej i instytucji jego nadużycia.

Nieprawdą jest także, że „w zeszłym roku wyniki egzaminu z matematyki plasowały SP nr 57 na drugim miejscu w Gdańsku – od końca”. Tymczasem zgodnie z oficjalnymi danymi Okręgowej Komisji Egzaminacyjnej: średni wynik egzaminu ósmoklasisty z języka polskiego wyniósł 70%, z matematyki – 41,78%, z języka angielskiego – 58,41%, szkoła zajęła 70. miejsce na 87 szkół, co plasuje ją w dolnej, ale nie najniższej części zestawienia.

Dziennikarz omawianego artykułu mija się z prawdą, pisząc, że dyrektorka szkoły nie wyraziła zgody na wejście na teren szkoły rodziców ucznia wraz z przedstawicielami MOPR. Owszem, pracownik Miejskiego Ośrodka Pomocy Rodzinie kontaktował się telefonicznie ze szkołą nie w celu zapowiedzenia wizyty, lecz aby zapytać, czy szkoła widzi potrzebę obecności pracownika MOPR w czasie spotkania

rodziców z dyrektorem szkoły. Szkoła odpowiedziała, że nie widzi takiej konieczności.

Kolejną manipulacją jest stwierdzenie, że szkoła nie ustosunkowała się do zarzutu, dlatego „chce się pozbyć uczennicy” – to czysta insynuacja – skoro oceniła jej zachowanie jako dobre. Otóż wychowawczyni uczennicy zapraszała rodziców na spotkania, na których miała być omówiona kwestia oceny zachowania oraz inne sprawy wychowawcze. Rodzice jednak nie stawili się na nie i nie podjęli próby bezpośredniego dialogu. Uczennica była oceniana zgodnie z obowiązującym statutem szkoły i zasadami oceniania, a decyzje podejmowane przez wychowawcę były podyktowane rzeczywistą obserwacją zachowań, a nie pobudkami personalnymi. Pomówieniem jest, że uczennica została ukarana za krytykę statutu.

Niezgodne z faktami są dziennikarskie opisy ukazujące okoliczności zmiany statutu szkoły. Wbrew temu, co stwierdza Mateusz Cieślak, projekt statutu został udostępniony nauczycielom przed posiedzeniem rady pedagogicznej poprzez wystanie wiadomości przez Gdańską Platformę Edukacyjną. Członkowie rady mieli możliwość zapoznania się z dokumentem, zgłoszenia uwag i przygotowania się do głosowania. Oszczerstwem jest stwierdzenie, że nauczyciele głosowali bez znajomości treści dokumentu.

Anna Listewnik,
dyrektor SP nr 57 w Gdańsku

LIST

Z Polski do Polski

Z satysfakcją przeczytałem felieton Wojciecha Kuczoka. Ale muszę tu wnieść moje osobiste uwagi, niespełnione pomysły i zalecenia. Otóż ja już w 2016 r. zacząłem lansować tezę, że powinny być dwie Polski. Jedna na wschód od Wisły, druga na zachód od tej rzeki, pomniejszona może o Świętokrzyskie, ale żeby była równowaga powierzchniowa, powiększona np. o Warmię i Mazury. Jak cudownie by było, gdyby we wschodniej Polsce Jarosław Kaczyński mógł panować jako prawdziwy i umiłowany król Jar Wielki, oczywiście dożyłotnio, a pan Karol Nawrocki był premierem Rządu Jedności Narodowej w Lublinie. Byłaby to kraina prawdziwej szczęśliwości. A my mieszkalibyśmy w Polsce Zachodniej, w zwykłej demokracji. Ale na linii Wisły powinny być pobudowane zasięki, aby „nielegalni migranci” z Królestwa Polski Wschodniej nie starali się o azyl w tej demokratycznej Polsce.

Marek Dankowski



Anna Wyrwik

Korespondencja z Irlandii Północnej

Jest dziewiąta, poranny zgiełk. Słońce nieśmiało zaczyna oświetlać czerwoną cegłę domów. Nieśmiało, bo nie bywa tu często. Normalnie to deszcz. A tymczasem od kilku dni lato. Tu, we wschodnim Belfaście, w dzielnicy Cregagh, w okolicy ulicy Woodstock, dzieci w zielonych sweterkach idą do szkoły, a ojcowie witają się z tym irlandzko-angielskim akcentem, tak że trudno cokolwiek zrozumieć. Starsza pani w odblaskowej kurtce i ze znakiem „stop” w ręce przepuszcza przechodniów, a chodnikiem na hulajnodze jedzie dziewczynka z dyndającym z tyłu warkoczem.



Belfast – uporządkowany chaos

Ogromne pieniądze wydano na to, by przyciągnąć do miasta turystów

Jakbym znalazła się w filmie „Belfast” Kennetha Branagha.

Mijam ceglane budynki i kolejne murale, np. taki: „Love. Hope. Peace”. Dzielnica Short Strand, w oddali widać jeden z symboli miasta – Samsona i Goliata, czyli dwa żółte żurawie portowe, profesjonalnie zwane suwnicami bramowymi. Dalej, za rzeką, jest centrum. Uporządkowany chaos, tu cegła, tu beton. A budynki wokół rosną w górę, bo Belfast to pionowe miasto.

Idę jednak tam, gdzie wszystko rozłoży się bardziej horyzontalnie. Dalej od centrum, do zachodniego Belfastu. Szerokie ulice, niższe budynki, ludzie wystawiają brzuchy na słońce i popijają zimne piwo.

Przy Shankill Road rządzi his majesty król, her majesty królowa; brytyjskie flagi, wszechobecne plakaty i murale przypominające o zwycięstwie Wielkiej Brytanii w II wojnie światowej. W barze Rex leje się guinness i siedzą spoceni z gorąca mężczyźni. Na ulicach są tureccy barberzy i sporo symboli pamięci zabitych

w wojnie domowej Brytyjczyków, lojalistów, protestantów.

Przy Falls Road rządzi Irlandia, Nelson Mandela, Abdullah Öcalan z Partii Pracujących Kurdystanu, wolna Katalonia i przede wszystkim Palestyna. Na jednym z murali ktoś napisał: „Is this our city?”. W barze Hawthorn leje się guinness i siedzą spoceni z gorąca mężczyźni. Na ulicach są kurdyjscy barberzy i sporo symboli pamięci zabitych w wojnie domowej Irlandczyków, republikanów, katolików.

– Gdy wprowadziłam się do Belfastu, zaskoczyło mnie wszystko – wspomina Aleksandra Łojek, autorka książki „Belfast. 99 ścian pokoju” (Czarne 2015), która mieszka tu od 2008 r. – Znajoma wzięła mnie na wycieczkę i pokazała ściany pokoju. Było ich 99, obecnie jest 96. Są w całym mieście. Oddzielają dzielnice brytyjskie od irlandzkich. Zaczęłam pracę w fundacji i poznawałam kolejnych ludzi, którzy opowiadali mi swoje historie. Wtedy dotarło do mnie, jak wyglądały ich dzieciństwo

i młodość. Ja pamiętam zwyczajną drogę do szkoły, a oni widzieli strzelających żołnierzy, którzy rozpieprzali czyjąś głowę.

Konflikt w Irlandii Północnej, zwany tu Kłopotami, The Troubles, trwał od lat 60. XX w. do porozumienia wielokpiątkowego podpisanego w Belfaście 10 kwietnia 1998 r. Po jednej stronie stali Irlandczycy, czyli republikanie, w większości wyznania katolickiego, chcący zjednoczyć Irlandię Północną z Irlandią. Po drugiej byli Brytyjczycy, czyli lojaliści, w większości wyznania protestanckiego, którzy chcieli, by Irlandia Północna została w granicach Zjednoczonego Królestwa. Każda strona miała swoje bojówki paramilitarne. Najstynniejsza to rzecz jasna Irlandzka Armia Republikańska, czyli IRA. W konflikcie zginęło 3,5 tys. osób, ponad połowa to cywile.

Oficjalnie Kłopotów już nie ma. Ale wciąż są. Na przykład w zachodnim Belfaście przy ścianie pokoju, która oddziela rejon Shankill Road od Falls Road. To jeden z tzw.



Muzeum Titanica w 2024 r. odwiedziło ok. 880 tys. osób.

Budynki rosną w górę, bo Belfast to pionowe miasto.

interfejsów, czyli miejsc, gdzie dzielnice irlandzkie łączą się z brytyjskimi. Ścianę można przejść przez naszpikowane elektroniką bramy otwarte tylko za dnia. W nocy nie przejedzie tędy nawet karetka na sygnale. Idziemy z dwójką przyjaciół z Polski wzdłuż ściany po stronie brytyjskiej i patrzymy, jak grupka nastoletnich chłopaków rzuca workami z wodą w samochody. A potem w nas, dopóki nie wydrze się na nich kobieta pchająca chodnikiem wózek.

– W tej dzielnicy Kłopoty trwają i takie zachowania wciąż mają miejsce – tłumaczy Aleksandra Łojek. – Wielu ludzi, jak ta kobieta, stara się im przeciwstawić. Niestety, problemów jest dużo, a to najbiedniejsza dzielnica w Belfaście, z dużym wskaźnikiem samobójstw i uzależnień.

Kłopoty trwają też w Derry. To drugie co do wielkości miasto Irlandii Północnej. Jak zaznacza Aleksandra Łojek, dzięki temu, czy ktoś nazywa je Derry, czy Londonderry, można poznać, po której stronie konfliktu stoi. Pierwszej nazwy używają Irlandczycy, drugiej Brytyjczycy. W Derry 30 stycznia 1972 r. podczas krwawej niedzieli żołnierze brytyjscy zabili 14 uczestników pokojowego marszu protestacyjnego. Dziś wszystko tu jest w krwawej niedzieli i Kłopotach. Po mieście porozrzucane są sklepiki prowadzone przez starych mężczyzn z bujnymi wąsami i bakami, jakby

żywcem wyjętych z tamtych wydarzeń. Na zakurzonych półkach leżą książki o rewolucji, magnesy ze zdjęciami bojowników i czapki wojskowe. W ratuszu można obejrzeć film o procesie żołnierzy z krwawej niedzieli, najdroższym i najdłuższym (wciąż trwa!) w historii Wielkiej Brytanii.

Nie ma w Derry ściany bez muralu, nie ma ściany bez napisu. „Civil rights”, „IRA”, „Join IRA”, „Fuck the king”. Nie ma latarni nieowiniętej taśmą w kolorach flagi Palestyny lub Irlandii. Bo jak głosi jeden z murali: „Dwa narody. Jedna walka”. Nie ma domu bez irlandzkiej flagi. W miejscu nazwanym Free Derry Corner stoi ściana z napisem: „Wchodzisz do wolnego Derry”, a ja pytam mężczyzn siedzącego na krześle ogrodowym przed domem obok:

– Czyli tu jest wolne Derry?

– Tak!

– Wolne od czego?

– Od żołnierzy.

Do tego dochodzą wszystkie znane na świecie symbole rewolucji, od Che Guevary, przez Martina Luthera Kinga i streetartową wariację na temat „Rozstrzelania powstańców madryckich” Francisca Goi, aż po napis „Zwycięstwo dla mas”. Chodząc po Derry, zastanawiam się, jak tu można żyć. Jak można wytrzymać ciężar tej tragedii. I jak młodzi ludzie znoszą taki terror przeszłości.

– Wielu młodych chce wyjechać z Irlandii Północnej ze względu na

przeszłość – przytakuje mi Aleksandra Łojek. – Są zmęczeni Kłopotami. Chcą uciec od ciągłego mówienia o konflikcie, od opowieści rodziców, od swojej dzielnicy. Mowa oczywiście głównie o klasie średniej, bo to ona ma pieniądze na wystanie dzieci na studia do Londynu czy Manchesteru. Jeśli tylko mają możliwość, wyjeżdżają.

Na muralu w Derry widzę napis: „Marzenia nastoletników są trudne od pobicia”.

Tymczasem w Belfaście słońce już zachodzi, robi się chłodniej, ale wszyscy i tak trwają w szortach i sukienkach, bo dla nich to szczyt upałów. Młodzi chodzą po mieście swoimi ścieżkami. Pomalowane tenisówki, znoszone spodnie, pełny luz, a wokół nich H&M-y, Starbucks, vintage, garbage. Wieczorem wychodzą na ulice tłumniej niż za dnia. Siedzą w barach, w klubach, a raczej stoją z piwami i drinkami, palą papierosy, rozmawiają.

Aleksandra Łojek wspomina, że gdy zamieszkała w Belfaście, było to martwe miasto, w którym wszystko zamykało się o piątę po południu. Dziś tętni życiem. – Ogromne pieniądze zostały wydane na to, by zmienić Belfast i uczynić go miastem dla turystów. To działa.

Faktycznie. Z roku na rok jego popularność rośnie. „Changing Belfast”, głosi jeden z murali. W 2018 r. ▶

► przewodnik „Lonely Planet” nazwał miasto oraz Causeway Coast na północy kraju najlepszym regionem do odwiedzenia. To wielka zmiana w porównaniu z sytuacją z czasów Kłopotów, gdy Belfast był zaliczany do tzw. grupy B, obok Bejrutu, Bagdadu i Bośni. NISRA (w Irlandii Północnej odpowiednik GUS) informuje, że w 2023 r. w kraju odbyło się 5,4 mln podróży z noclegiem, a turyści wydali rekordowe 1,4 mld funtów. Belfast oczywiście przoduje.

W roku 2024 ok. 880 tys. osób odwiedziło Muzeum Titanica. To jeden z symboli tego „changing”. Otwarte w 2012 r. muzeum w disneyowskim klimacie opowiada o marzeniu budowanym rękoma robotników. Jesteśmy na Wyspach, więc są palacze, stewardesy, pracownice przędzalni lnu, wymienieni z imion i nazwisk, jest opowieść o ciężkich warunkach pracy i biedzie rodzin robotniczych. A kierunek zwiedzania prowadzi od marzenia bogaczy do legendarnej tragedii, którą w popkulturze spopularyzował James Cameron. Choć tu go prawie nie ma. I dobrze. Następnie idziemy do kolejnego marzenia, tym razem spełnionego. Robert Ballard odnalazł wrak. A na końcu turyści strzelają sobie foty na dziobie.

– Turyści przyjeżdżają i to dobrze wpływa na mieszkańców, ponieważ widzą, że nie kojarzą się już tylko z Kłopotami – potwierdza Aleksandra Łojek.

A Kłopoty też stają się turystyką. Podczas gdy jedni są przeciwni turystom gapiącym się na ściany pokoju, drudzy zarabiają na swoich historiach. Jeżdżą po mieście czarnymi taksówkami i prócz podwózki proponują opowieści z czasu konfliktu i odsiadki w więzieniu. Zresztą to właśnie więzienie Crumlin Road Gaol jest kolejną atrakcją turystyczną miasta. Odbywają się tu m.in. koncerty i konferencje.

•
Ja zaś, już po zmroku, wracam w okolice ulicy Woodstock, by nocne

życie poznać od tej strony. Akurat jest to strona brytyjska, o czym nie dają zapomnieć liczne flagi i murale, jak ten z hasłem: „Nasza brytyjska tożsamość nie może i nie będzie poświęcona, by uspokoić Republikę Irlandii”.

Jest The Cosy Bar, The Longfellow Bar, My Lady Inn. Są stali bywalcy, przychodzą tu pewnie od kilkudziesięciu lat. Jest guinness, bo „There’s nothing like a Guinness”, jak zapewniają reklamy, albo harp, taki ich lager. Zlejmy wszystko w jedną całość, bo miejsca i ludzie podobni.



Jeden z tzw. interfejsów, czyli miejsc, gdzie dzielnice irlandzkie łączą się z brytyjskimi.

Bary obite drewnem, stoły bilardowe, automaty do gier, a w telewizorach mecze piłki nożnej. Choć jeden z klientów tłumaczy mi, że futbolu nie ogląda, tylko rugby, bo rugby jest – tu się napina i prezentuje mięśnie, a futbol – tu się krzywi, pajacuje i mówi, że dla aktorów.

Wychodzimy przed bar na papierosy.

– Ech! Afryka – rzuca ze złością ten od rugby, gdy się zaciąga, a obok przechodzi czarnoskóry mężczyzna. Potem rusza ramionami jak przed bokserską walką i krzywi się na przechodnia, wreszcie patrzy na mnie, szukając nici porozumienia.

– Nie lubimy tych z Afryki – przyznaje drugi mężczyzna. – Oni nie płacą podatków i to my musimy płacić za nich. Wszystko chcą za darmo – też się zaciąga, a na jego czerwonej twarzy wykwita uśmiech na wieść, że

jesteśmy z Polski. – Polaków lubię – mówi. – Polacy pracują nawet ciężiej niż my. I płacą podatki.

– Gdy tu przyjechałam, był problem z imigrantami z Europy Środkowo-Wschodniej, w tym z Polakami, którzy nie szanowali lokalnych zwyczajów – wyjaśnia Aleksandra Łojek. – Zrodziło to wiele zachowań nazywanych tu rasistowskimi. Sytuację poprawiła praca u podstaw. Niestety, ostatnio znowu się zaczęło. Europa Środkowo-Wschodnia już się adaptowała, ale przyjechali imigranci z Afryki i Bliskiego Wschodu. To denerwuje tutejszych. Nie pomagają antyimigranckie wypowiedzi premiera Keira Starmera. Coraz większe znaczenie ma skrajna prawica. Na szczęście są też ludzie, którzy co tydzień organizują demonstracje antyrasistowskie. Przychodzi na nie bardzo dużo młodych.

Przed barem dyskusja dotarła w rejony pochwał dla Orbána i krytyki pod adresem Rumunów, a tak naprawdę Romów, a jeszcze większe niezadowolenie budzą ceny, szczególnie biletów na transport publiczny, w tym na pociągi. Bo, jak mówi ktoś

z bywalców, wcześniej Irlandia Północna była najgorzej traktowana w całej Unii Europejskiej, a teraz jest najgorzej traktowana w całej Wielkiej Brytanii. I tu następuje narzekanie na brexit.

Te bary są jak z opowiadań Charlesa Bukowskiego. Są w nich typy postaci. Barmani w koszulkach polo i adidasach. Tacy, że w razie potrzeby bary obronią. Na hokerach siedzą mężczyźni i kobiety o twarzach, na których zmarszczki piszą setki trudnych historii. Mam wrażenie, że wszyscy codziennie robią to samo. Grają w tych barach swoje role. A o pierwszej w nocy barmani mówią „dość” i każą im wracać do domów. Bez dyskusji. Więc wracają. Jutro dzieci znów pójdą do szkoły, a oni się wyśpią i wrócą do barów robić swoje.

Anna Wyrwik

Oko w oko



Tomasz Jastrun

Dwa narody

Pierwszego prezydenta Polski, która odzyskała niepodległość, Gabriela Narutowicza, naukowca, szlachetnego człowieka, zamordowano w 1922 r., po dzikiej nagonce endecji (odpowiednik Konfederacji i partii Brauna). W Piłsudskim, który Narutowicza „wymyślił”, coś wtedy pękło i uznał, że Polską nie da się rządzić bez bata. Stąd zamach majowy, Bereza, a po śmierci marszałka droga do rządów autorytarnych (czy Hitler nie „uratował” nas przed polskim faszyzmem?).

O polskiej prawicy Piłsudski pisał tak: „Zapluty karzeł na krzywych nóżkach, wypluwający swą brudną duszę, opluwający mnie zewsząd”. Wyrzekania marszałka na Polskę są liczne i mocne: „Naród wspaniały, tylko ludzie kurwy”. Czytam wspomnienia żony Piłsudskiego. Jest dzień zaprzysiężenia Gabriela Narutowicza: „Byłam wtedy na mieście. W ścisku nie mogłam prawie się ruszać. Z jednej strony parła na mnie stara, przygłupia chłopka, która bez przerwy pytała, o co chodzi, z drugiej – gruba, wielka służąca. Ta ostatnia, z czerwoną twarzą, podrygiwała całym ciałem, wymachując pięściami i krzycząc: »Precz z Narutowiczem! Precz z Żydem!«. Gdy jej zabrakło oddechu, powiedziałam, że znam dobrze rodzinę Narutowiczów, nikt z nich nie pochodzi od Żydów, ale to był groch o ścianę. Za chwilę znowu zaczęła wrzeszczeć: »Żydzi nie będą nami rządzili!«. Skończyło się na tym, że wszyscy dookoła mnie krzyczeli i przeklinali w podobny sposób”. No tak, ale co to za pomysł, pani Aleksandro, by w dzikim tłumie dowodzić, że Narutowicz jest czysty rasowo? A gdyby miał żydowskie korzenie, to co?

A dzisiaj? Nawet bliscy mi ludzie mówili, że Sikorski odpada jako kandydat z powodu żony. Ukraińcom jakoś nie przeszkadza, że Żelenski ma „złe” pochodzenie. Eligiusz Niewiadomski dzisiaj byłby w partii Brauna. Malarz i historyk sztuki, za mord na pierwszym prezydencie został skazany na śmierć; wyrok wykonano w roku 1923. Mój ojciec opowiadał, że gdy jako młody nauczyciel przyszedł tego dnia do szkoły, zobaczył, że większość pedagogów nosi czarne wstążki. Nie była to żałoba po śmierci prezydenta, tylko po jego mordercy. Na pogrzeb Niewiadomskiego na Powązkach stawili się 10 tys. ludzi. Wańkowicz, którego trudno posądzać o lewicowe lub liberalne poglądy, wspominał, co zobaczył 17 lat po śmierci Niewiadomskiego: „Grób na Powązkach spiętrzony gnijącymi kwiatami. Naręcza kwiatów, tony kwiatów. To tu pochowano zabójcę prezydenta. Wtedy zrozumiałem,

że istnieje jeszcze straszniejsza rzecz niż błoto, niż plwocina, które przecie mogą być silniejsze nad stal: to ta zgnita woń hołdu dla obłąkania, dla zbrodni”.

Kiedyś spotkałem się z Ryszardem Kapuścińskim i zapytałem go: „Piszesz o Afryce, o Rosji, a czemu nic o Polsce, choćby czasami?”. Odparł: „Boję się tego, co mam tu do napisania”. Dawał jednak w swoich tekstach znaki, choćby cytując Marię Dąbrowską, gdy ta po zamordowaniu Narutowicza i po wykonaniu wyroku na mordercy była wstrząśnięta, że na grób Niewiadomskiego pielgrzymuje nie mniej osób niż na grób prezydenta. Napisała: „Naród nasz składa się z dwu narodów, które język ust mają wspólny, ale nie język ducha”. Za znamienne Kapuściński uważał także słowa Elizy Orzeszkowej z jej listu: „W Polsce było zawsze tak, jak jest dzisiaj. Pomyje i plwociny dla wielkich i szlachetnych, uznanie i entuzjazm dla bałwanów lub zgoła nędzników”.

Polacy, wspaniali w rewolcie i w czasie klęski, stają się nikczemni i nędzni w chwili zwycięstwa.

Wertując stare książki, w notatkach Jerzego Zawieyskiego znajduję cytat z pism Churchilla: „Historia Europy ma swoją tragiczną tajemnicę, właśnie Polaków, którzy indywidualnie są zdolni do heroizmu i posiadają cnoty waleczności i wdzięku, a którzy wykazują w swoim życiu państwowym niedostatki nieuleczalne. Wspaniali w rewolcie i w czasie klęski, stają się nikczemni i nędzni w chwili zwycięstwa. Odważni z odważnych są często kierowani przez podłych pomiędzy najpodlejszymi. Ciężko mówić o arogancji i błędach ich polityki, o straszliwych rzeziach i nieszczęściach, na które zostali skazani przez wariactwa swej polityki”.

Czytam też refleksje Tadeusza Kościuszki, im bliżej go poznaję, tym bardziej go lubię jako człowieka. „Polakom dlatego brakuje na stałości umysłu w przeciwnościach, że mało myśleli, mało się zastanawiali nad obrotami losów i czynności ludzkich”.

To przeszłość. A kim jesteśmy dzisiaj jako naród, z tak marnym człowiekiem w roli prezydenta? W ukropie emocji tracimy z oczu to, że bardzo prawdopodobne, iż za dwa i pół roku rządzić będą PiS, Konfederacja i Braun. Na szczęście jedno tylko jest pewne wobec przyszłości – będzie inaczej, niż myślimy, że będzie. ■



Désiré Doué z PSG (po lewej) walczy o piłkę z Alessandrem Bastonim z Interu podczas finałowego meczu Ligi Mistrzów na Allianz Arenie w Monachium, 31 maja 2025 r.

Rzeź winiątek

Wojciech Kuczek

Finał Ligi Mistrzów to była rzeź. Winiątek, bo trudno kadrze Interu, niejako tradycyjnie jednej z najstarszych w rozgrywkach, przypisywać jakieś znamiona niewinności. Starzy wyjadacze pod wodzą zasłużonego trenera zostali sponiewierani w Monachium jak nikt nigdy dotąd w prawie 70-letniej historii finałów Pucharu Europy. Pięciobramkowa przewaga ekipy ze stolicy Francji z przebiegu gry i tak wydaje się wynikiem polubownym. Trofeum po raz pierwszy powędrowało do Paryża po meczu, w którym Nerazzurri byli objani jak worek treningowy i skrajnie bezradni wobec szalonej ofensywnej swobody PSG. Różnica klas była druzgocąca, nagła zapaść Interu dojmująca – należy przypomnieć, że podopieczni Simone Inzaghiego przez całą jesień w Champions League stracili zaledwie jedną (!) bramkę, a w poważne defensywne tarapaty wpadli dopiero

w niezapomnianym, epickim dwumeczu z Barceloną. Być może zresztą po takich dwóch spektaklach ekipa z Mediolanu poczuła, że futbolowy Święty Graal został odnaleziony, piłkarska Mona Lisa namalowana, sportowa Sagrada Familia zbudowana – niczego piękniejszego ani bardziej dramatycznego niż półfinały przeciw FC Barcelonie już się nie da w piłce klubowej wymyślić, opus magnum drużyna miała za sobą, więc w monachijskim finale zabrakło motywacji.

Miał to być dla Interu sezon bajeczny, a skończył się nieciekawie, w dodatku lada moment może się okazać, że klub wpadnie w znacznie poważniejsze tarapaty. Simone Inzaghi żegna się z Mediolanem po czterech sezonach i choć na pierwszy rzut oka był to czas umajony triumfami, dla kibiców bardziej niż jedno scudetto liczy się fakt, że Inter dwukrotnie przegrał wyścig o trofeum z Neapolem. Podobnie w Lidze Mistrzów – inny klub za dwa finały w ciągu dwóch lat dałby się pokroić,

ale w Mediolanie liczy się tyle, że były to dwie finałowe klęski, w tym jedna bezprzykładna, kompromitująca. Do tego zaczynają wypadać trupy z szafy: afera z „widmowym sponsoringiem”, nieprzejrzystym finansowaniem klubu. Nagle wyłynął raport, z którego wynika, że Inter byłby już właściwie bankrutem, gdyby nie szemrane dotacje – „zmowa finansowa, instytucjonalna i polityczna, która pozwoliła gigantowi włoskiej piłki tamać zasady bez ponoszenia konsekwencji”.

Groźba wykluczenia z pucharów to nic, szepcze się o tym, że Inter może zostać karnie relegowany o kilka lig niżej. Być może piłkarze już w Paryżu coś przeczuwali i wpadli w depresję, ale wynik 0:5 wziął się nie tylko z niemrawości Lombardczyków, lecz nade wszystko z apogeum młodszej werwy drużyny paryskiej, przebudowanej wreszcie z galerii sytych kotów w team gwiazd dopiero wschodzących. Stanowczo zbyt długo trwało w PSG zachłystywanie się katarskimi petrodolarami i skupowanie najgłośniejszych nazwisk współczesnej piłki nożnej – przez wiele lat jedyną strategią transferową było hasło „kto bogatemu zabroni”. Nawet z Messim,

Neymarem i Mbappé w składzie paryżanie nie byli zdolni ugrać niczego poza Francją, a kolejne mistrzostwa kraju kibice traktowali jako realizację planu minimum.

Kiedy przed sezonem odszedł do Realu Kylian Mbappé, nic nie zwiastowało, że drużyna może zejść daleko, ale gdy francuska ofensywa (Dembélé, Doué, Barcola, Zaire-Emery) została w styczniu uzupełniona ściągniętym z Napoli „Kvaradoną”, fenomenalnym Gruzinem Chwiczą Kwaracchelią, PSG odzyskało furję, ferwor i techniczne fajerwerki. Brest dostał 10 goli w lutym i pożegnał się z Champions League, a potem w kolejnych fazach rozgrywek paryżanie eliminowali jedną po drugiej ekipy z najbogatszej ligi świata: Liverpool, Aston Villę i Arsenal. Kluczową robotą było okiełznanie Ousmane’a Dembélé, wcześniej piłkarza tyleż zjawiskowego, co chimerycznego – przez sześć sezonów w Barcelonie częściej irytował, niż zachwycał, ale pod pieczęcią Luisa Enrique w Paryżu ustabilizował formę i uporządkował sobie wreszcie wszystko w głowie.

Objawieniem meczu finałowego był jednak 20-letni Désiré Doué. Od czasów George’a Besta żaden piłkarz nie nazywał się tak bezczelnie – jak masz na nazwisko Zdolny, do tego na imię Pożądany, żadnej ksywki ci nie trzeba, jesteś skazany na sukces przez los i rodziców. Dla kibiców niedzielnych dwa gole i asysta w najważniejszym meczu sezonu były wydarzeniem z gatunku „star is born”, ale dla wnikliwych obserwatorów to było tylko potwierdzenie stanu rzeczy i zwieńczenie świetnego sezonu młodego Francuza.

Luis Enrique, hiszpański trener PSG, już po raz drugi sięgnął po Puchar Mistrzów, 10 lat po wygranej z Barceloną. Udało mu się to, co było poza zasięgiem całej galerii trenerskich gwiazd, ściąganych do Paryża przez katarskiego prezesa – pierwszą był pod koniec 2011 r. Carlo Ancelotti, kolejny wielki przegrany tej wiosny. Real zakończył rozgrywki bez żadnego trofeum, przegrał pięć Gran Derbi z rzędu – takie wyniki w Madrycie musiały poskutkować zwolnieniem, ale też takie nazwiska nie pozostają na bezrobociu: Ancelotti w nocy

z czwartku na piątek debiutował w roli pierwszego w historii zagranicznego selekcjonera reprezentacji Brazylii.

My mamy swoje problemy bliżej ziemi, trenerem wciąż jest Michał Probierz, protegowany prezesa PZPN Cezarego Kuleszy, ten zaś pozostanie na swoim stanowisku przez kolejne cztery lata, bo w nadchodzących wyborach związkowych będzie... jedynym kandydatem. Taki stan rzeczy nie wszystkim się podoba, np. 10 czerwca gramy w Finlandii kluczowy mecz eliminacji do przyszłorocznego mundialu (zakładając, że z Holandią szanse mamy iluzoryczne, to z Finami bezpośrednio rywalizujemy o drugie miejsce w grupie) bez Roberta Lewandowskiego. Nasz kapitan uznał, że potrzebuje wytchnienia po sezonie, i nie zechciał przyjechać na zgrupowanie. Każdy inny zawodnik za taki gest zostałby wykluczony z kadry i nie byłoby mu łatwo do niej wrócić, a naród zapamiętałby to sobie jako zdradę, obelgę i co tam

Czy Lewy nie chce już grać w kadrze narodowej, czy ma dość grania dla Michała Probierza? Obstawiałbym tę drugą opcję.

jeszcze. Tymczasem decyzję Lewego przyjmuje się w Polsce z łagodną krytyką, ale i ze zrozumieniem, by nie rzec pobłażaniem – przecież to Lewy, żywa legenda, już tyle dla nas zrobił, metryki nie oszukasz, niech sobie odpocznie. Tyle że w reprezentacji Portugalii 40-letni Cristiano Ronaldo wciąż wychodzi w podstawowym składzie i zdobywa decydujące gole (ostatnio w Lidze Narodów), z boiska trzeba go wołami ściągać. Czy Lewy nie chce już grać w kadrze narodowej, czy ma dość grania dla Michała Probierza? Obstawiałbym tę drugą opcję. Pytanie, kto z tych dwóch panów jest polskiej piłce bardziej potrzebny, pozostawiam bez odpowiedzi.

W finale Ligi Mistrzów mieliśmy polski akcent – Nicola Zalewski zagrał pół godziny, z murawą przywitał się żółtą kartką, potem nawet coś tam próbował rozruszać, widać, że zyskał zaufanie trenera, aż szkoda, że przyjdzie nowy i nie wiadomo, jak to wpłynie na status największej

nadziei naszej kadry. To na barkach Zalewskiego i Zielińskiego, dwóch Polaków grających w Interze, spocznie teraz odpowiedzialność za wyniki reprezentacji, to oni mają największe predyspozycje do tego, by zastąpić lidera. Niestety, nie byli oni graczami pierwszego wyboru trenera Inzaghiego.

O tym, jak wiele znaczy nieregularna gra w lidze, najboleśniej przekonał się Kacper Urbański – w zeszłym roku uznawany za największe odkrycie Probierza, trudno było sobie bez niego wyobrazić reprezentację, teraz nie dostał powołania nawet do młodzieżówki, szykującej się do mistrzostw Europy na Słowacji. Probierz postanowił dać szansę czterem wyróżniającym się graczom z naszej Ekstraklasy, ale na pierwszy skład szanse ma chyba tylko Mateusz Skrzypczak, ograny w Europie stoper Jagiellonii, bo defensywa naszej kadry wysoko poprzeczki nie ustawiała. W meczu z Mołdawią kadrę pożegnał Kamil

Grosicki, choć akurat on spośród naszych ligowców to właśnie „turbo Grosik”, pomimo metryki wciąż gwarantuje reprezentacyjną jakość na skrzydle. Finom trzeba będzie coś strzelić, a akurat najlepszego gracza mają w bramce – Lukáš Hrádecký jest topowym golkipierem Bundesligi, na co dzień stoi między słupkami Bayeru Leverkusen.

Bez Lewandowskiego nasz napad nie wygląda imponująco – Krzysztof Piątek co prawda zakończył sezon w Turcji jako wicekról strzelców i wytransferował się do Arabii, ale w kadrze nic nie strzelił od roku, Adam Buksa i Karol Świdorski także już prochu nie wymyślą. To zawodnicy, którzy nogę i głowę (Buksa) dołożył potrafią, ale w pojedynkę nam meczu nie wygrają, a takich zdolności wielokrotnie dowodził Lewandowski, zwłaszcza w meczach przeciw rywalom z niższej półki, kiedy nasza drużyna dostosowywała się do nich poziomem indolencji. ■

Tęsknić za domem

45. Warszawskie Spotkania Teatralne rozbudziły tęsknotę za teatrem



Wesele

Tomasz Miłkowski

Aktorzy często powtarzają, że teatr to ich dom. Trochę to trąci banałem albo bywa wygodną maską rzeczywistości teatralnej, niekiedy nie przypominającej idealizowany dom. Tak czy owak, tegoroczne 45. Warszawskie Spotkania Teatralne, tradycyjnie organizowane przez Teatr Dramatyczny, rozbudziły tęsknotę za teatrem. Paradoksalnie za teatrem dramatycznym, w którego istnienie (przynajmniej festiwalowe) zaczęto powątpiewać. W programie tegorocznych spotkań znalazły się bowiem zaledwie dwa dramaty – klasyczne „Wesele” Stanisława Wyspiańskiego w reżyserii Mai Kleczewskiej z Teatru im. Juliusza Słowackiego w Krakowie i „Tęsknię za domem”, współczesny dramat Radosława Maciąga, wyróżniony w ubiegłym roku Gdyńską

Nagrodą Dramaturgiczną. Ale to właśnie one wzbudziły największe emocje, przypominając, że teatr bliżej ma do serca niż do rozumu.

Inne spektakle oparte były na scenariuszach korzystających z rozmaitych źródeł (powieści, faktografii) imitujących dramaty. Jedyne „Susan Sontag” z Teatru im. Stefana Jaracza w Olsztynie zbliżyła się temperaturą emocjonalną do tej wytworzonej przez „Wesele” czy „Tęsknię za domem”, a to za sprawą wyrazistego finału. Nie chcę powiedzieć, że nie było w tych wystudzonych spektaklach ciekawych myśli czy frapujących rozwiązań scenicznych, ale w zderzeniu z „prawdziwymi” dramataми ujawniały pewną bezradność.

Przewaga Wyspiańskiego nad teatralnymi dramaturgami nie budzi zdumienia, niewielu mieliśmy w historii takich wizjonerów. Może bardziej zaskakuje zwycięska siła

zwykłego dramatu Maciąga. Jeden z młodszych kolegów recenzentów trafnie zauważył, że ludzie wstydzą się przyznać, że taki teatr im się podoba. Może za wcześniej został (?) złożony do grobu.

Najsmutniejsze „Wesele”

Nie tak źle jednak z tym dramatem, skoro królem warszawskiego przeglądu okazał się Wyspiański. Co to za demoniczne teksty! Wciąż aktualne, jakby pisane wczoraj. „Wesele” i „Wyzwolenie” zdają się idealnie przylegać do rytmu polskiego życia w każdych okolicznościach. Zwłaszcza kiedy tekst interpretują aktorzy tak wyborni jak w Słowackim. Wtedy nie ma lepszego komentarza do gorączki wyborczej od „Wesela”. Aktorzy potrafią jeszcze dorzucić od siebie aktualne akcenty – jak charakterystyczny oziębiały sposób mówienia jednego

z kandydatów na prezydenta, wydo-
były przez Dziennikarza, czy gest ze
snusem przywołujący uzależnienie
innego kandydata. Wywołuje to zro-
zumiętą wesołość widowni. Ale są
ku temu poważniejsze impulsy. Po
wizycie Wernyhory Kuba powiada
w zachwycie: „Jak żyje / jesczmem
takiego Polaka nie użoż”. Na co
z godnością i przechwałką w gło-
sie odpowiada Gospodarz (wyśmieni-
ty Juliusz Chrzastowski): „Bo żyjesz
mało; / jesczme duża takich Polaków
ostało, / co są piękni”. Kuba nie daje
za wygraną i pyta dociekliwie: „A kaz
się to wszycko kryje?”. I to dość, aby
publiczność zareagowała śmiechem
zaprawionym gorczycą.

Czasem to tylko spostrzeżenie,
którego nie można unikać. Kiedy
Czepiec (kreacja Marcina Kalisza) ob-
darza Radczynię (niezawodna Lidia
Bogaczówna) siarczystem całusem,
ta, gdy tylko chłop się oddali, staran-
nie wyciera usta, nie kryjąc odrazy.

Więcej tu jednak powodów do
smutku niż śmiechu. „Wesele” Mai
Kleczewskiej to bodaj najsmutniejsza
inscenizacja tego dramatu – przepojo-
ne poczuciem lęku i rozpacz, mimo
że początek zapowiada się malow-
niczo bujnym roztańczeniem, które
trwać będzie przez cały akt pierwszy.
Tańcownicy nie będą znikać ze sceny,
aby wybrzmiały dialogi poszczegól-

Nie tak źle jest z dramatem, skoro królem warszawskiego przeglądu okazał się Wyspiański.

nych par, one przedzierać się będą
do uszu przez dźwięki muzyki, gwar.
To zaledwie fragmenty toczonych
rozmów, co może nawet irytować,
ale zabieg wydaje się celowy. Reży-
serce zależy na wywołaniu wrażenia
tumultu w gruncie rzeczy nieznośne-
go w swojej formie zdarzenia. Niby
wesoło, a już smutno.

Dopiero jednak zrobi się smutno,
kiedy pojawią się osoby dramatu.
Tym razem będą to lęki, obsesje,
koszmary. Wszystkie zjawy nawie-
dzające bohaterów niosą albo ból,
albo strach, albo poczucie zagroże-
nia. Stańczyk już nie jest mędrce-
m – w kabaretowym ujęciu Krzyszto-
fa Głuchowskiego to zblazowany



Pan Tadeusz

błażen. Hetman to chodzący jak
bomba zdrajca. Rycerz okaże się żoł-
nierzem wyklętym – to on urzędzi na
scenie egzekucję Żydów. Nawet Wer-
nyhora będzie kimś innym – to żaden
lirnik łączy dawne i nowe czasy, ale
wysłanniczka udręczona wojną Ukra-
iny Anna Syrbu śpiewająca „Pływe
kacza po Tysyni”, pieśń pamięci ofiar
Majdanu. Gospodarz jej przybyciem
jest nie tyle zaskoczony, ile osaczony,
wyczuwa groźbę sytuacji i nie potrafi
jej sprostać.

(jak w obrzędzie Dziadów). Tyle że
słoma się nie zapala, a wątyły płomyk
gaśnie. Tym razem udało się unik-
nąć najgorszego. To „Wesele” łatwej
pociechy nie przynosi, choć otwiera
furtkę przejścia polonezem do krainy
„Pana Tadeusza”. Kto wie, może jest
jakaś szansa? Mocne przedstawienie,
którego sifa udziela się widzom. Aż
dreszcz przechodzi.

Obraz rodziny we wnętrzu

Tymczasem „Pan Tadeusz” przy-
wieszony przez Teatr Polski z Pozna-
nia, nowy, bo rapowy, w reżyserii
i wedle scenariusza Kamila Białaszka,
nie okazał się wytęsknioną ostoją ła-
du. Przeciwnie, to spektakl wywro-
towy. Bo kto wie, może ten ostatni
zajazd na Litwie to była ustawka? Przy-
jmuję to do wiadomości, ale się
nie zachwyam, jak to czynili niemal
chóralnie recenzenci premierowych
pokazów w Poznaniu. Owszem, ja-
ko jednorazowe „wywrócenie este-
tycznego stolika” może to się okazać
przydatne do otrzeźwienia. W końcu
jest o czymś. Do tego jeszcze przykre
odkrycie, że polski prowincjonalizm
ma głębokie korzenie, że blockersi jak-
by wczoraj wyszli z zaścianka.

A jednak nie jest to w moim
przekonaniu droga do wyzwolenia
z krępujących więzów. Wiadra
bluzgów, narodowy kicz, rapowy
bit i hałas mieszają się tu z dość ▶



Tęsknię za domem

► powierzchownym obrazem świata i ludzi wypchniętych na margines, a postaci i epizody z epopei Mickiewicza służą jako rusztowanie do słabo kontrolowanych wariacji na współczesne tematy. Największe wrażenie robi finałowy, rzeczywiście złowieszczy polonez i poprzedzająca go pieśń Jankiela. Reszta jest przygotowaniem, dość ryzykownym dla widzów oczekujących większej dyscypliny intelektualnej, choć – odnotowuję dla porządku – odbieranym z entuzjazmem przez młodą i bardzo młodą część widzów.

Emocjonalne, ale nie wywrotowe, okazało się „Tęsknię za domem” z Teatru Powszechnego w Radomiu, reżyserowane przez autora. Aktorzy potwierdzili regułę, że dobra literatura pozostaje podstawą sukcesu. A spektakl daje obraz polskiego społeczeństwa z perspektywy życia rodzinnego. Daleko tu do kapitalistycznego raj.

Na scenie parter domu urządzonego w stylu późnej PRL. Meblistka w wysoki połysk z nowoczesną wieżą radiową, stół fornirowany z tapicerowanymi krzesłami, w drugim pokoju kanapa z kapą, fotel i ława, wejście do kuchni i łazienki, na ścianie święty obraz. Typowe tło rodzinnego dramatu.

Ojciec tydzień temu próbował się powiesić. Z Warszawy nadciąga na odsiecz młodszy syn po studiach w ASP, z misją przywrócenia ładu w rodzinie. Ale nie zapowiada się,

że będzie to łatwe. Lata wspólnego pomieszkiwania rodziców z rodziną starszego brata, zajmującą piętro, emerytura zgorzkniałego ojca, który nie umie sobie znaleźć miejsca, Babcia z postępującym alzheimerem oraz wiecznie urągająca światu i najbliższemu Matka to nie najlepszy akompaniament do prostowania życia innym. Zwłaszcza kiedy i w swoim ma się spory bałagan. Historia jest na pozór banalna, ale przenikliwa, doskonale rozpisana na dialogi, zakotwiczona w języku prowincji. Budzi gorzkie rozbawienie i wzrusza. Przeraża i pozbawia nadziei, choć tkwi w niej tytułowa „tęsknota za domem”.

Aktorzy wykorzystują szansę, jaką daje im tekst – wybory dzięki zawartej w nim prawdzie. Ojciec (Piotr Kondrat), od pierwszego kroku ociężały i lekko zamroczone nadużywaniem piwa, sprawia wrażenie człowieka, któremu brakuje motywacji, aby rano wstać z łóżka. Gderliwa i podminowana Matka (wybitna rola Izabeli Brejtkop) nie może usiedzieć na miejscu. Starszy brat jak granat, który musi wybuchnąć, i jego na pozór potulna żona, Babcia oderwana od rzeczywistości i wreszcie wracający do domu syn Maciek (Filip Łanicki) z trudem tłumiący sprzeciw wobec rodzinnych kleszczy.

Obraz rodziny we wnętrzu wywieziony z osobistych obserwacji autora tchnie prawdą i przytrzymuje uwagę widzów tak dalece, że reżyser nie

boi się przerwy, po której w mgnieniu oka odbudowuje gęstą atmosferę pierwszej części. Ten tradycyjny teatr, z opowiadaną historią, postaciami, autentyzmem miejsca (rodzinne Pionki autora), wychodzi zwycięsko z konfrontacji z mglistymi migawkami postnowoczesnych narracji.

Prowokacje

Co nie znaczy, że nie było miejsca na eksperymenty czy prowokacje. Na ich brak na tym festiwalu nie można było narzekać. Jeszcze przed oficjalnym otwarciem Teatr Dramatyczny dał na scenie Przodownik mocno osadzony w realiach, ale formalnie wyrafinowany, spektakl o wojnie w Ukrainie, „Będzie trzeba, to pójdę na wojnę” Magdy Szpecht. Bohaterka, pisarka, a dzisiaj żołnierka, jeszcze niedawno mieszkając w Polsce i innych krajach europejskich, informowała ludzi, co dzieje się w jej kraju. Wreszcie postanowiła sama wkroczyć na pole walki o wolność i zostać żołnierką. Gorąca opowieść ukazana w zaskakujący sposób.

Charakter artystycznej prowokacji miały też spektakle zaproszone z zagranicy: gruziński bezpruderyjny „Liberté [trigger warning]” w reżyserii Daty Tavadzego i „Medea’s Children” (Dzieci Medei) szwajcarskiego reżysera Milo Raua, w której to inscenizacji litry krwi (cukierniczej) nikogo jednak nie wystraszyły, ale otworzyły pole skojarzeń z przemocą, okrucieństwem oraz wciąż budzącą trwogę zbrodnią Medei i jej współczesnych naśladowczyń. Datę Tavadzego otacza nim twórcy niezależnego, Milo Rau uchodzi za jednego z najbardziej kontrowersyjnych reżyserów europejskich. Obecność ich przedstawień na tegorocznych WST to znak, że dyrekcja Dramatycznego szuka szerszego kontekstu dla pokazywanych w Warszawie spektakli z całej Polski.

Na koniec jeszcze jedna godna podkreślenia zdobycz 45. WST. Wyszły one poza strefę teatralnych VIP-ów. Bohaterami stały się spektakle z Radomia i Olsztyna (aż dwa), a więc z teatrów, które nie bywały na przeglądzie warszawskie zapraszane.

Tomasz Miłkowski

NA EKRANACH

Fenicki układ,

reż. Wes Anderson, prod. USA/Niemcy, już w kinach



Wes Anderson powraca z prawdopodobnie najlepszym tytułem od czasów „Grand Budapest Hotel” z 2014 r. Jego „Fenicki układ”, komediodramat, który zadebiutował na festiwalu filmowym w Cannes, opowiada historię szemranego handlarza bronią. Anatole „Zsa-zsa” Korda nagrał sobie u wrogów i wygląda na to, że wszyscy pragną go ukatrupić. W Korde wciela się Benicio del Toro i jest to casting nie tylko idealny, ale też zaskakujący – dawno, a może nawet wcale, nie widzieliśmy tego aktora w tak ironicznej i groteskowej roli. „Zsa-zsa”, bojąc się o własne życie, kontaktuje się z córką (Mia Threapleton), by następnie przepisać na nią cały majątek. Oboje mimo licznych nieporozumień będą musieli połączyć siły, aby zrealizować swoje cele. Kino Andersona to zabawa formą i treścią. W tle zaś zobaczymy m.in. Toma Hanksa i Bryana Cranstona. Naprawdę warto, rok 2025 potrzebował tak luźnego i niewymuszonego filmu.

Jan Tracz

MIĘDZY OKŁADKAMI

Liane Moriarty

Zaledwie moment

tłum. Dominika Kardaś

Znak Literanova, Kraków 2025

Pomysł najpierw wydaje się zbyt odjechany, w stylu „Oszukać przeznaczenie”: na pokładzie skandalicznie już opóźnionego samolotu z Hobart do Sydney wymęczonym współpasażerom starsza pani zaczyna po kolei przepowiadać, w jakim wieku i od czego umrą. Jedni dowiadują się, że dożyją późnej starości, drugim śmierć grozi lada moment. Pechowcom i ich bliskim będziecie oczywiście zależało na odmienieniu losu, ale Moriarty nie pisze horroru o daremnej ucieczce przed kostuchą. Pokazuje, jak mylący bywa powierzchowny osąd, dając swoim bohaterom życiorysy niezwykle, poruszające, zabawne. A przeznaczenie? Przewidywanie przyszłości to kwestia rachunku prawdopodobieństwa, znajomości ludzkiej natury, szybkiego kojarzenia faktów. Ale w życiu jest też miejsce na fascynujące zbiegi okoliczności. A gdy pod koniec lektury wszystkie elementy zaczynają dopasowywać się do siebie, daje to satysfakcję podobną do rozwiązania sudoku albo ułożenia puzzli.

Aleksandra Pańko



KURTYNA W GÓRĘ

ABORTIONStories

Trójka performerów wyrusza do Polski, aby przyrzeć się z bliska sytuacji kobiet, naznaczonej tabu i wstydem, o wysoce politycznym aspekcie. Okazuje się ona bardziej wielowymiarowa, niż mogłoby się wydawać. Punktem wyjścia dla „ABORTIONStories” jest komiks „Opowieści aborcyjne” Beaty Rojek i Soni Sobiech, który maluje wielowarstwowy obraz oparty na wziętych z życia historiach będących dowodem, że zakazy nigdy nie zapobiegają aborcji, a co najwyżej pogarszają okoliczności, w których do niej dochodzi. Aktorzy wcielają się w różne role i pokazują, że każdy rodzaj ekstremizmu pomija złożoność problemu, za to nakłada niedopuszczalne piętno na kobiety i naraża je na niepotrzebne niebezpieczeństwo.

(bdo)



„ABORTIONStories”, inscenizacja Agnieszka Salamon, Archivum XX we współpracy z Theater am Werk Petersplatz w Wiedniu, Centrum na Przedmieściu we Wrocławiu, spektakle 20, 21, 22 czerwca 2025

A jak poszła dziewczyna na wojnę...

Wyzuta z wszelkiego romantyzmu i patosu korespondencja dwóch dziewczyn, jednej walczącej w szeregach armii ukraińskiej, drugiej żyjącej w normalnym, spokojnym mieście, złożyła się na teatralny monodram. Listy i fragmenty rozmów telefonicznych wsparte są ciekawą oprawą dźwiękową i wizualną. Wszystkie elementy i rekwizyty trzyma w rękach jedna osoba, Agata Różycka. Jej narrację śledzimy z zapartym tchem.

Bronisław Tumitowicz



„Będzie trzeba, to pójdę na wojnę,” reżyseria i scenariusz Magda Szepecht, Szymon Adamczak, Teatr Dramatyczny m.st. Warszawy, Scena Przdownik, premiera 16 maja 2025

Kolumnę przygotowała Agata Gogolkiewicz

Rewolucja oczami dziecka

Bujna wyobraźnia pomaga przetrwać nawet najtrudniejszy okres życia

Rozmawia Jan Tracz

Twój film powstał na bazie powieści Christophe'a Boltanskiego „La Cache”. Autor opowiada o dziejach swojej artystycznej rodziny w trakcie wydarzeń paryskich z maja 1968 r. On sam był wtedy dzieckiem, dlatego w filmie przyjmujesz perspektywę dziewięcioletka. Bajkowa otoczka przypominała mi serię książek o Mikołajku.

– Nie były one moim źródłem inspiracji, ale podoba mi się to porównanie. Mamy ten sam czas i miejsce akcji, do tego mówimy o małym chłopcu jako głównym bohaterze. Mnie samemu chyba bliżej było do postaci Gastona Lagaffe'a z belgijskich komiksów „Gaston”. Tak czy siak nie mogę powiedzieć, że „W ukryciu” można zestawiać z „Mikołajkiem” na zasadzie 1:1, ale to takie opowieści o Francji w krzywym zwierciadle.

Pod koniec filmu pada zdanie: „Arogancją jest nie mieć żadnej wyobraźni”. Twój film w głównej mierze opiera się na dziecięcej imaginacji. Ten cytat stał się motywem przewodnim?

– Bardzo możliwe. Dziś wierzę, że bujna wyobraźnia pomaga przetrwać nawet najtrudniejszy okres życia. Sam mam polskie korzenie (wszyscy w mojej rodzinie pochodzą z różnych miejsc na świecie) i wiem, że w tamtych czasach pochodzenie wiązało się z pewnymi wyzwaniem.

Jakimi?

– Kiedy mój dziadek przyjechał do Szwajcarii, musiał kłamać, udawać, że jest kimś innym. Do tego potrzebował wyobraźni! Dziadek nieustannie zmyślał i tym samym wymyślał siebie na nowo: w papierach zmieniał swoje pochodzenie i kombinował, aby móc zostać



LIONEL BAIER

– szwajcarski reżyser, w swoich filmach skupia się na problemach społeczno-politycznych, pokazując je najczęściej z perspektywy zwykłych ludzi. Najnowszy dramat „W ukryciu” opowiada o wydarzeniach z maja 1968 r. w Paryżu, widzianych przez dziewięcioletniego chłopca.

w Szwajcarii i rozpocząć nowe życie. Prawda została jednak utraczona, dziadek stał się tą osobą, którą sam sobie wykreował. Kiedy pojechałem do Polski, aby poznać jego przeszłość, dowiedziałem się o nim całkiem sporo, ale były to wyłącznie suche fakty. Nie wiedziałem, dlaczego musiał wyjechać ani w jaki sposób żydowskie korzenie wpłynęły na jego losy. Nie otrzymałem odpowiedzi na pytania „dlaczego?” albo „jak?”.

W Polsce znalazłeś informacje w stylu wpisów z Wikipedii.

– Dokładnie tak. Pozostaje wówczas jedno: zbudować coś na fundamencie prawdy, operując wyłącznie fikcją. Trzeba wyobrazić sobie jakieś rzeczy, wejść w umysł tych ludzi i zastanowić się, co myśleli i dlaczego podejmowali takie, a nie inne decyzje. Albo podjąć niektóre za nich. Dziadek pochodził z Polski, ale jego nazwisko Baier mówi nam, że miał też korzenie niemieckie. Dziś wiem również, że pradziadek był w Odesie jako żołnierz. Gdybyśmy spojrzeli na dzieje mojej rodziny z takiej

dokładnej, historycznej perspektywy, okazałoby się, że wcale nie pochodzę z Polski. Ale dziś nie da się tego inaczej określić, więc tak o sobie mówię. Postanowiłem, że ta Polska to punkt wyjścia dla mojej rodziny.

Dlaczego?

– Sam musiałem podjąć taki wybór, bo nikt inny tego nie zrobił. Jacques Lacan powiedział kiedyś, że tak naprawdę nie jest interesujące, czy widzimy taką zero-jedynkową prawdę. Bo to jest słowo, którego używamy, aby opowiedzieć naszą własną historię, naszą prawdę. Aby pokazać światu, kim jesteśmy. Jeśli czuję, że moje korzenie sięgają Polski, to przy tym zostanę. Wykorzystywanie fikcji w celu odszukania własnej tożsamości wciąż jest sposobem, aby wyrazić siebie i uporać się z swoją genealogią. Postanowiłem zekranizować „W ukryciu”, bo to książka, która mówi coś o tożsamości rodziny autora. Boltanski stara się ją zrozumieć, ale poprzez połączenie prawdy historycznej z fikcją, która wprowadza w książce konwencję powieści.

Lacan mówił też o fazie lustra, o momencie, w którym dziecko po raz pierwszy przegląda się w lustrze, widzi swoje odbicie i w ten sposób wytwarza swoją tożsamość (ego). Angielski tytuł filmu możemy przetłumaczyć jako „bezpieczny dom”. Miałem wrażenie, że ten dom rodzinny staje się dla bohatera czymś w rodzaju Lacanowskiego lustra.

– Taki też był mój zamiar.

Jak przestrzeń tego mieszkania wpłynęła na sposób prowadzenia narracji i kręcenia filmu?

– Raz jeszcze wracamy do tematu wyobraźni. To miejsce, które Boltanski opisuje w książce, wciąż istnieje. Można je zobaczyć, wejść do środka. Postanowiłem jednak, że pod żadnym pozorem nie mogę go odwiedzić. Ani razu nie przekroczyłem progu tego mieszkania.

Skąd taka decyzja?

– Nie chciałem, aby prawdziwe obrazy wpłynęły na wyobrażenie tego miejsca, które wytworzyła we mnie lektura książki. Ja to mieszkanie pamiętam wyłącznie oczami własnej imaginacji. Tym sposobem na potrzeby filmu zbudowaliśmy w studiu coś w rodzaju mieszkania z mojej głowy. W trakcie seansu ono chwilami wydaje się duże, bardzo przestrzenne – i takie miało być. To mieszkanie widziane oczami małego chłopca. W takich przypadkach perspektywa kompletnie się zmienia. Niektóre pokoje kojarzą mi się z ogniskiem domowym za dnia, a z kozmosem, kiedy zachodzi słońce. Pojawia się nawet miejsce, które dla chłopca staje się źródłem demonów i złych snów. Jego wyobrażenia szaleje – świat wokół zwariował, więc nasz bohater traktuje to mieszkanie jako coś w rodzaju bezpiecznej przystani. Ma tu rodzinę, która staje się dla niego oparciem.

Nawet kolory są ciepłe, sporo tu czerwonego i żółtego. Obraz bardzo kojący dla widza.

– Zależało mi, aby kadry w tym filmie były niczym obrazy francuskiego malarza Félixa Bellenota. Pojawiają się też niebieski, zielony czy biały. Jest w nich wiele ciepła i z tym kojarzy mi się dzieciństwo. Takie były samochody, wnętrza czy ulice miast, w tym Paryża.



W UKRYCIU



Ile tamtego siebie znajdziemy w najnowszym filmie?

– Na pewno bardzo dużo, ale nie potrafię powiedzieć, w których momentach dokładnie. Mogę natomiast zdradzić, że losy filmowej rodziny są podobne do tej mojej. Może dlatego chciałem nakręcić ten film? Aby w jakiś sposób wejść w dialog z przeszłością.

Po raz kolejny sięgasz do tematu rewolucji. W „Longwave” (2013) przyglądałeś się portugalskiej rewolucji goździków z 1974 r.

Co w niej widzisz?

– Traktuję ją jako moment w historii, kiedy możemy zobaczyć upływ czasu (upadek systemu), a także jako przełom, który wyznacza nowy nurt dla przyszłych pokoleń. Tego typu happening zmienia kompletnie wszystko dla ludzi, najczęściej tych zwyczajnych, z klasy niższej. To także jedyne takie wydarzenie, w którym ludzie potrafią w taki sposób

się zintegrować. Stać się jednością i walczyć o lepsze jutro. Rewolucja interesuje mnie zarówno jako człowieka, jak i twórcę filmowego. Uwzględniając ją w swoim filmie, składam rewolucji symboliczny hołd.

Muszę zarazem przyznać, że w 2025 r. coraz trudniej zachęcić widzów, aby wybrali się do kina. Zwłaszcza na tytuł, który niejako rozlicza się z historią XX w. i do niej nawiązuje. Nie masz kontroli nad tym, w jaki sposób widownia zareaguje na film. Wraz z końcem montażu jako reżyser tracisz władzę nad swoim dziełem.

I co dalej?

– Czekam, co się wydarzy wraz z premierą. Łącząc perspektywę dziecka z doniosłym wydarzeniem, proponuję nowy model narracji, taki, który ma szansę dotrzeć zarówno do młodszych, jak i do starszych widzów. I zachęcić ich do wspólnego uczęszczania na seanse. ■

W geście dla natury

Wprowadzenie systemu kaucyjnego ma zmniejszyć ilość odpadów komunalnych i zwiększyć poziom recyklingu

Bronisław Tumitowicz

Opakowania będzie można odnieść do automatu i otrzymać zwrot kaucji, która wyniesie 50 gr dla butelek PET i puszek oraz 1 zł dla szklanych butelek wielokrotnego użytku. Ministerstwo Klimatu i Środowiska wydało zezwolenia na obsługę systemu kaucyjnego pięciu różnym podmiotom. Jednak już teraz są firmy, które na własną rękę, nie czekając na ruch resortu, uruchomiły w swoich sklepach inteligentne butelkomaty.

Zmiana częściowo systemowa?

Firmy informatyczne przygotowały odpowiednie programy, które współpracują z maszynami RVM – recyklomatami – firm RVM Systems Polska, ReVend, Maas Loop oraz Tomra. Dzięki temu automaty do zbiórki opakowań zostały w pełni zintegrowane z aplikacją Kaucyjni.pl. Jednak aby uznać, że system kaucyjny jest gotowy, trzeba pokonać kilka barier.

Prace nad ustawą kaucyjną trwały kilka lat. Przepisy zostały ostatecznie przyjęte przez parlament i podpisane przez prezydenta w 2023 r. Część branży, interesariuszy systemu kaucyjnego, zwracała jednak uwagę, że regulacje wymagają uzupełnienia o kluczowe dla nich elementy. Po wyborach parlamentarnych nowe kierownictwo resortu klimatu i środowiska rozpoczęło prace nad nowelizacją ustawy. Jej ostatnia wersja została przyjęta przez parlament i podpisana przez prezydenta w grudniu 2024 r. Obligowały nas do tego dyrektywy unijne, a także chęć dogonienia pionierów gospodarki odpadami, takich jak kraje skandynawskie czy Niemcy. „To w końcu ogromne przedsięwzięcie

logistyczne i technologiczne. Dlatego kluczowe jest, aby proces ten był jak najlepiej zintegrowany z istniejącą infrastrukturą sklepów”, argumentowali przedstawiciele handlu.

System kaucyjny wystartuje w Polsce 1 października br., chociaż wcześniejsze przepisy zakładały jego start na początku 2025 r. Co to oznacza? Duże sklepy, o powierzchni powyżej 200 m kw., będą musiały odbierać puste opakowania i oddawać klientom kaucję. Z kolei mniejsze – będą pobierać kaucję, ale przystąpienie do systemu odbioru opakowań będzie w ich przypadku dobrowolne.

Koniec zgniatania

Uruchomienie systemu kaucyjnego przyniesie kilka pozytywnych zmian również dla klientów. Do ich kieszeni wpłyną drobne za zwrócone butelki i puszki, a przy tym zmniejszy się nieco przepełnienie śmietników, do których trafiają opakowania. Przystaniemy też zgniatać butelki – do tej pory robiliśmy to, by zmniejszyć objętość odpadów. W długofalowej perspektywie zaś odczujemy złagodzenie wpływu szkodliwych substancji na środowisko i będziemy się cieszyć z tego, że dzięki recyklingowi mniej tworzyw sztucznych zalega w ziemi, zanieczyszcza wodę i powietrze, bo wraca na rynek w postaci nowych wyrobów.

Inaczej sytuacja wygląda w branży handlowej, recyklingowej i przemysłowej opakowań. – Należy jasno zaznaczyć, że celem systemu kaucyjnego nie jest generowanie zysków dla punktów handlowych, lecz zapewnienie sprawnego obiegu opakowań w duchu tzw. gospodarki cyrkularnej. Ustawa nie przewiduje zysków dla handlu, ale rekompensaty. Koszty prowadzenia zbiórki

przez sklepy mają być pokrywane przez operatorów systemu kaucyjnego. W większości przypadków oznacza to zaproponowanie przez operatorów systemu stawek opłat za zbiórkę, w przeliczeniu na sztukę opakowania – tak prezentuje zalety i wyzwania nowego systemu Joanna Górecka, przedstawicielka Polskiego Systemu Kaucyjnego SA. Obecnie operatorzy próbują opracować i wyliczyć proponowane stawki dla poszczególnych rodzajów zbiórek opakowań. Nie jest to moment wyjątkowo kuszący dla handlowców, którzy muszą przygotować personel, zakupić nowe oprogramowania, a przede wszystkim przeznaczyć część przestrzeni własnych placówek na maszyny do opakowań i puste butelki.

W dużych sieciach zapewne znajdą się środki na wyposażenie sklepów w automaty i oprogramowanie. Mniejsze placówki handlowe i małe sklepiki mogą prowadzić manualną zbiórkę, ale wymaga to dostosowania przestrzeni sklepu do zbierania opakowań kaucyjnych w podziale na frakcje oraz do ich przechowywania w odpowiednio zaplombowanych workach aż do momentu odbioru. Jeśli zaś zdecydują się prowadzić zbiórkę automatyczną, wykorzystując maszyny RVM, muszą się liczyć z inwestycją w urządzenia do zbierania opakowań. Te nakłady zostaną rozliczone w stawce opłat za zbiórkę automatyczną.

Koszt maszyn zbierających zależy przede wszystkim od modelu, a te są różne, dostosowane do skali działalności sklepu i wybranego rozwiązania technologicznego. W pełni zautomatyzowane maszyny wiodących producentów, posiadające dobre zabezpieczenia przed nadużyciami i wyłudzeniami, to wydatek powyżej 45 tys. zł. W przypadku dużych



Automaty do zbierania opakowań już pojawiły się w wybranych sklepach.

ustawy, lecz pełnią funkcję testową i przygotowawczą. Zgodnie z przepisami już obowiązującej ustawy system kaucyjny w Polsce obejmie trzy główne typy opakowań po napojach:

- plastikowe butelki jednorazowego użytku – o pojemności do 3 litrów,
- szklane butelki wielokrotnego użytku – o pojemności do 1,5 litra,
- metalowe puszki (aluminiowe i stalowe) – o pojemności do 1 litra.

System nie będzie natomiast obejmował opakowań po mleku i napojach mlecznych. Praktyka szybko pokaże, jak dobrze lub jak słabo zmiana ta jest przygotowana i na ile technologia uwzględniła obyczaje klientów, wspiera handel oraz środowisko. A czy spółki, którym ministerstwo wydało zezwolenie na obsługę systemu kaucyjnego, są w stanie podołać wyzwaniom, przekonamy się już jesienią.

Polski System Kaucyjny SA (PSK) to firma założona przez trzy wiodące wytwórnie browarnicze działające w Polsce: Grupę Żywiec, Carlsberg Polska i Kompanię Piwowarską. Została powołana w celu organizacji i prowadzenia ogólnopolskiego systemu kaucyjnego, zgodnie z wymogami Ustawy o gospodarce opakowaniami i odpadami opakowaniowymi. Na jej czele stoi Jakub Ogórek, pełniący funkcję prezesa zarządu. To wysokiej klasy menedżer z wieloletnim doświadczeniem w dziedzinie logistyki, recyklingu i wdrażania modeli gospodarki o obiegu zamkniętym. PSK prowadzi intensywne przygotowania do uruchomienia systemu kaucyjnego. Spółka działa na zasadzie not for profit, co oznacza, że jej podstawowym celem jest realizacja misji publicznej, czyli stworzenie i prowadzenie efektywnego, bezpiecznego i stabilnego systemu kaucyjnego w Polsce.

Brzmi zachęcająco – wypada więc mieć nadzieję, że już wkrótce spełni się to, o czym czytamy w sloganie Lidla: mały gest – wielki zwrot dla natury.

Celem wprowadzenia systemu kaucyjnego jest zmniejszenie ilości zmieszanych odpadów komunalnych odbieranych przez gminy i zwiększenie poziomu recyklingu. Po stworzeniu systemu kaucja będzie pobierana od każdego wprowadzonego na rynek napoju w opakowaniu objętym tą procedurą. Zwrot kaucji użytkownikowi końcowemu będzie następował również za pomocą systemu, bez konieczności okazywania paragonu potwierdzającego nabycie napoju.

Nieodebrana kaucja zostanie przeznaczona na finansowanie i rozwój systemu kaucyjnego. Kaucja ma zachęcić do zwrotu opakowań i zwiększyć ilość ponownie wykorzystanych i przetwarzanych surowców służących do wytworzenia opakowań. System ma objąć trzy rodzaje opakowań: butelki plastikowe do 3 litrów, metalowe puszki do 1 litra, a także – od 1 stycznia 2026 r. – szklane butelki wielokrotnego użytku do 1,5 litra.

punktów handlowych lub centrów handlowych, które zdecydują się na zaawansowane, półprzemysłowe urządzenia o dużej pojemności i zintegrowanej infrastrukturze IT, inwestycja może sięgnąć nawet kilkudziesięciu tysięcy euro.

– Przystosowanie do nowego systemu wiąże się z wysokimi kosztami przebudowy sklepów: muszą one wydzielić odrębne pomieszczenia lub przestrzeń do zbiórki opakowań kaucyjnych, a także zakupić butelkomaty. Koszt dostosowania jednego sklepu do zbiórki opakowań oceniamy na ok. 1 mln zł. Szacujemy, że w perspektywie kilku lat wdrożenie rozwiązań umożliwiających zbiór opakowań we wszystkich sklepach naszej sieci w Polsce wyniesie 1 mld zł – poinformowała PAP Aleksandra Robaszkiewicz z Lidl Polska.

Analitycy branży utrzymują, że w perspektywie długoterminowej automatyzacja jest rozwiązaniem bardziej efektywnym i ekonomicznym. Maszynę można wziąć w leasing. Dodatkowo automaty zwiększają komfort konsumentów i szybkość obsługi. Zbiórka manualna, na początku tańsza, w rzeczywistości oznacza rosnące obciążenia związane z zaangażowaniem personelu i organizacją przestrzeni.

Butelkomaty już czekają

Wielu klientów z pewnością zauważyło, że automaty do zbierania opakowań już pojawiły się pilotażowo w wybranych sklepach, chociażby w sieci Lidl. Nie są jeszcze częścią oficjalnego systemu kaucyjnego w rozumieniu przepisów

b.tumilowicz@tygodnikprzeklad.pl

Tu podkrećamy swoje CV

Dla wielu z nas odsiadka to najlepsze, co mogło się nam przytrafić

Evin Cetin, Jens Liljestrand

1 czerwca 2021 r. policja regionu sztokholmskiego wydała komunikat prasowy dotyczący wyroków długoletniego więzienia, które zapadły na podstawie dowodów pochodzących z EncroChatu. Dotyczyły one głównie usiłowania zabójstwa lub podżegania do niego, prania pieniędzy, przestępstw narkotykowych oraz przestępstw związanych z użyciem lub posiadaniem broni.

Po zaledwie 12 miesiącach pracy nad pochodzącymi z EncroChatu materiałami w samym Sztokholmie wydano wyroki łącznie na 200 lat więzienia. W całym kraju sprawa objęła 176 osób, które w sumie miały odsiedzieć 1094 lata.

Kilka miesięcy później jestem w zakładzie karnym i odczytuję Mohtisarowi wydane przez policję oświadczenie (Evin Cetin to pochodząca z Kurdystanu adwokatka, która pomaga rodzinom ofiar strzelanin – przyp. red.). Słucha z uwagą. A potem wybucha rechotem. „I co, myślisz, że to koniec?”

Jesteśmy w sali widzeń, otoczeni gołymi ścianami z wydrapanymi inicjałami. Przed nami taca z termosem z gorącą wodą, torebkami herbaty i czekoladą w proszku, papierowymi kubkami i kostkami cukru. Mohtisar znów się śmieje. „Nie łapiecie, że dla wielu z nas odsiadka to najlepsze, co mogło się nam przytrafić? Warunki na zewnątrz zrobiły się takie, że ciężko przetrwać, za to tu jest jak na świetlicy, to złoty bilet na ucieczkę od stresu. Mam tu wszystko, czego mi trzeba, i mogę przy tym dalej prowadzić swoje interesy na zewnątrz”.

Wygładam przez okno. Wysoki, blisko 10-metrowy mur zwieńczony



Więzienie w szwedzkim Kalmar.

drutem kolczastym. Ma uniemożliwić ludziom wydostanie się na zewnątrz, lecz nie jest w stanie powstrzymać ruchu przedmiotów w przeciwną stronę. Od dawna wiadomo, że znajomi osadzonych rozcinają piłki tenisowe, wkładają do środka narkotyki czy inne pożądane w więzieniu rzeczy i przerzucają je ponad wysokim murem. Jak się dowiaduję, technika poszła do przodu, odstawiono już rakiety tenisowe, teraz wysyła się drony, które zrzucają piłki futbolowe. W nich umieszcza się narkotyki, telefony komórkowe i inne przedmioty. „Planuje się to zawsze tak, żeby drony nadleciały nocą, kiedy pracuje tu niewiele osób, więc jest najbezpieczniej. Poza tym chłopaki na zewnątrz dobrze wiedzą, że jak wypuszczają drona, to trzeba odwrócić od niego uwagę”.

Początkowo jestem w szoku, ale stopniowo dociera do mnie, że to dosyć oczywiste. Są zawsze o jeden

krok z przodu. W dniu, w którym służba więzienna znajdzie sposób na powstrzymanie dronów, oni już będą korzystać z innej, bardziej zaawansowanej technologii, dalej przemycając zakazane przedmioty.

Już w drodze do więzienia przekonałam się, jak łatwo, przy odrobinie determinacji, można obejść system zabezpieczeń. Wykrywacz metalu zaczął piszczeć, gdy przechodziłam przez kontrolę bezpieczeństwa, ale strażniczka rutynowo stwierdziła, że to mój biustonosz z fiszbinami, a następnie wzięła mniejszy, ręczny wykrywacz, sprawdziła, że uruchamia się po zbliżeniu do moich piersi i pozwoliła mi iść dalej.

Wzbudzenie reakcji wykrywacza przez niektóre rodzaje garderoby stanowi naturalnie część strategii więźniów. Z trudem przyjmuję fakt, że czymś powszechnym dla kobiet z półświatka jest przemykanie przedmiotów do więzień we własnych

narządach płciowych – nie tylko narkotyków, ale też mniejszych modeli telefonów. Szczególnie utkwiła mi w pamięci dziewczyna, która stwierdziła ze śmiechem: „Moja cipka to prawdziwa kopalnia złota!”.

Dziewczęta wsuwają przedmioty w waginy, a potem zakładają majtki z metalową sprzączką lub łańcuszkiem. Gdy nie przepuszcza ich wykrywacz metalu i strażniczka sprawdza je ręcznym detektorem, a sygnał odzywa się w okolicy krocza, śmieją się zawstydzone i pokazują swoje seksowne majtki. „Ojej, przepraszam, zapomniałam, idę się spotkać ze swoim chłopakiem, nie pomyślałam, że majtki mogą uruchomić alarm...” Strażniczka nie ma prawa kontrolować, czy coś znajduje się w narządach płciowych. Nie istnieje też żaden sprzęt, którym można to sprawdzić.

„Jedyny skuteczny sposób, żeby powstrzymać mnie przed zanieśieniem tam narkotyków w cipce, to te pieprzone psy”, opowiada mi jedna z dziewcząt. „Całe szczęście rzadko je mają”.

Powód jest prosty: do kontroli przemytu narkotyków w 46 szwedzkich więzieniach Służba Więzienna ma 22 specjalnie wyszkolone psy. Sprawdzają one nie tylko odwiedzających, ale również przychodzące przesyłki oraz wszystkie pomieszczenia, łącznie z celami.

Kontaktuję się z przewodnikiem psów ze Służby Więziennej. Jest świadomy tego, jak narkotyki docierają do więzień. Mówi, że gdy tylko stanie z psem, odwiedzający w popłochu zawracają już w drzwiach, podając różne wymówki.

„Bez psa nie ma możliwości przejęcia narkotyków”, wzdycha. Pytam go, czy w takim razie psów nie powinno być więcej. „Zgoda, z tym że to kwestia dostępnych środków. Ale powinno to być priorytetem. Bo jednym z naszych najważniejszych zadań jest dopilnowanie, żeby więźniowie mogli uwolnić się od nałogu, żeby go tutaj nie kontynuowali”. (...)

Niedługo po moich odwiedzinach Mohtisar chce mi pokazać – za pośrednictwem jednego ze swoich podwładnych – jak łatwo komunikuje się ze światem zewnętrznym.

Siedząc w więzieniu, nie ma prawa używać własnego telefonu. Może korzystać tylko z tego udostępnianego przez placówkę. Z prawnego punktu widzenia Służba Więzienna nie może jednak monitorować rozmów, jeśli wcześniej nie powiadomi jego oraz rozmówcy. Rozmowy Mohtisara z matką i siostrą nie są podsłuchiwane, żadna z nich nie figuruje w rejestrze karnym ani nie jest uznawana za powiązaną z działalnością przestępczą. Może więc spokojnie do nich dzwonić. Reszta jest prosta.

Siedzę w samochodzie z podwładnym Mohtisara. Dostał zadanie umożliwienia szefowi rozmowy telefonicznej z innym osadzonym przywódcą gangu. Do tej pory sądziłam, że jest to nie tylko zakazane, ale również zwyczajnie niemożliwe. W jaki

Więzienie nie jest miejscem, w którym kariera przestępcza się kończy. Ona dopiero tu się rozkręca.

sposób dwie osoby odsiadujące wyroki w dwóch różnych więzieniach mogłyby rozmawiać ze sobą przez telefon?

Mohtisar chce mi udowodnić, jak bardzo się myliłam. W samochodzie dzwoni telefon podwładnego, dobiega z niego głos siostry Mohtisara, dzwoniącej z innego numeru. Jednocześnie słyszę wyraźnie samego Mohtisara: „Siema brat, załatwione?”. Dowiaduję się, że siostra zadzwoniła z innego telefonu i włączyła tryb głośnomówiący. Podwładny wyciąga drugi telefon, dzwoni przez Snapchat i też włącza głośnik. Po drugiej stronie słuchawki znajduje się osadzony w innym więzieniu przywódca gangu, który również zadzwonił do kogoś ze swoich bliskich. Mohtisar może więc rozmawiać z nim bezpośrednio – choć właśnie ze względów bezpieczeństwa, by uniemożliwić im kontakt, zostali rozdzieleni – i spokojnie omawiać interesy za pomocą łańcucha telefonów z włączonym trybem głośnomówiącym.

Siedzę w samochodzie z chłopakiem od Mohtisara i nie wierząc własnym uszom, przysłuchuję się, jak dwóch osadzonych gangsterów

uzgadnia swoje działania. I niewiele zmienia to, że posługują się kodem. Radośnie gawędzą o ludziach pod ich komendą, z których trzeba wycisnąć pieniądze, bo nawalili, nic sobie nie robią z więziennych procedur i całego mozolnie skonstruowanego systemu regulacji, mającego zapobiec właśnie takim procederom.

„Wszyscy mamy chłopaków, którzy popełniają błędy”, mówi przez słuchawkę Mohtisar.

„Zgoda, ale daj mu zapłacić za swój błąd”, odpowiada mężczyzna po drugiej stronie. „Bracie, słyszałem, że było u was zamieszanie, straciłeś panowanie nad zakładem czy jak? U mnie przynajmniej jest porządek”.

Mohtisar śmieje się do słuchawki. Wie, że słucham, i celowo pokazuje,

jak otwarcie może rozmawiać. To demonstracja siły i popis swobody. „Nie, bracie, ale chłopaki tu mają dużo energii i mało roboty. Potrzebujemy trochę emocji, więc spuściliśmy ich na chwilę ze smyczy”.

Ze słuchawki wciąż dobiega śmiech Mohtisara, a ja siedzę w zaparkowanym samochodzie z jego człowiekiem, który szczerzy się, trzymając obok siebie dwa telefony. I myślę sobie, że coś poszło potwornie nie tak.

Mohtisar jest niski i krępy. Został oskarżony na podstawie dowodów z EncroChatu i skazany na kilka lat więzienia. Przed aresztowaniem kontrolował handel narkotykami na jednym ze szwedzkich przedmieść. Teraz robi to samo, tyle że z więzienia.

Telefon to klucz do wszystkiego. W więzieniu dostęp do niego jest ograniczony. Opłaty uiszczą się za pomocą specjalnej karty, do kupienia tylko w zakładzie – 20 koron za godzinę, 100 koron za pięć godzin. Z pozoru to niewielkie kwoty, jednak biorąc pod uwagę, że osadzony otrzymuje zasiłek więzienny w wysokości 100 koron tygodniowo, a pracując, studiując lub ▶

uczestnicząc w zorganizowanych zajęciach, jeszcze dodatkowe 13 koron dziennie, jest to znaczący wydatek.

„Dlatego nakładam na ludzi grywny. Gdy ktoś popatrzy na mnie krzywo czy coś w tym guście, mówię: »Za karę oddajesz mi swoją kartę telefoniczną«, i musi mi dać swoją kartę z 10 albo 100 koron. Mam zawsze mnóstwo godzin do wydzwonienia”.

Twierdzi, że istnieje różnica między takimi jak on, którzy mają tylko parę lat odsiadki, a tymi z dłuższymi wyrokami. „Ci, co siedzą za morderstwa, mają w więzieniu luz, wiedzą, że zanim wyjdą, na zewnątrz pojawiają się nowe ekipy. Za to tacy jak ja muszą dalej pracować”.

Placówka oferuje różne aktywności, jak przygotowywanie posiłków czy oglądanie telewizji. Zazwyczaj, gdy nie prowadzi służbowych rozmów, spędza czas z pozostałymi. Z jego opisu wylania się coś na wzór świetlicy, w której panuje luźna atmosfera. Grywali w karty, ale po tym, jak u niektórych wykryto uzależnienie, zakład odebrał im talie. „Wszyscy tutaj to nałogowi gracze – śmieje się Mohtisar – więc teraz przerzuciliśmy się na szachy”.

Życie toczy się wokół rozmów telefonicznych, odwiedzin i kobiet. Napięcie w zakładzie rośnie szczególnie wtedy, gdy odwiedzająca wcale nie jest prawdziwą partnerką więźnia. Wszyscy wiedzą, że oznacza to dostawę narkotyków. „Wybacz słownictwo, ale jak przychodzi tu coś w cipie, to radość jest podwójna”. Po odwiedzinach obdarowany więzień decyduje, z kim podzieli się przemyconymi narkotykami. Nikt tu nie jest samolubny.

„Bracia stąd i ci z osiedla to nie to samo. Ci na wolności czasem nawet kartki nie przyślą. Ale tutaj dorobisz się prawdziwych przyjaciół, czujesz do nich coś innego. Robimy wszystko razem, smucimy się, śmiejemy, świętujemy, chronimy jeden drugiego, planujemy przyszłość, tworzymy ekipę”.

„Na ziomek, których miałeś wcześniej, nie zawsze można liczyć. Sześć miesięcy tutaj to jak kilka lat znajomości na zewnątrz”.

Osadzeni są na bieżąco z tym, co dzieje się poza murami, na przed-

mieściach. Śledzą doniesienia medialne, monitorują sytuację poprzez rozmowy telefoniczne. Często wiedzą o strzelaninach, zanim do nich dojdzie. Zdarza się, że sami je zlecają.

„Jak przychodzi ktoś nowy, to na początku człowiek jest czujny, dopóki nie sprawdzi, co to za jeden. Trzeba wtedy uważać, lepiej zostać w celi. Ale nie dochodzi tu u nas do zabójstw, pod tym względem to naprawdę bezpieczne miejsce. Choć pewnie to tylko kwestia czasu, aż tutaj też zaczną się dziać”.

Stuchając Mohtisara, przypominam sobie, że przestępcy są zawsze ekspertami od wykorzystywania przepisów na swoją korzyść. Wiedzą dokładnie, co klawisze mogą, a czego nie. Wiedzą, że jedynie lekarz może zmusić kogoś do picia wody, wiedzą, że ich cele mogą być w każdej chwili

mieszkanie, potrzebujesz poręczeń, żeby pożyczyć pieniądze z banku. Jak poznasz tutaj odpowiednią osobę, możesz wziąć na krechę parę milionów, szybciej załatwisz spluwę. Wystarczy, że ktoś ci powie: »Zadzwoń do niego i przekaz ode mnie pozdrowienia«. To samo mówię, gdy to ja dostaję telefon z pytaniem o kogoś: »Tak, tak, możesz mu ufać, to mój braciak, kiblowałem z nim«. I masz wtedy wszystko: najlepszy towar, najlepszych cyngli, najlepsze dziwki”. Mohtisar chwilę się zastanawia, po czym szeroko się uśmiecha. „Zresztą to łączy nas z ludźmi z waszego świata. Czy jesteś szefem policji, czy kryminalistą, bez znaczenia, każdy chce mieć dobre dziwki”.

Wychodzę z więzienia i myślę o tych 1094 latach, na które społeczeństwo skazało przestępców po złamaniu EncroChatu. O wszystkich

Mohtisar przed aresztowaniem kontrolował handel narkotykami na jednym ze szwedzkich przedmieść. Teraz robi to samo, tyle że z więzienia.

przeszukane na obecność narkotyków. Wiedzą też, że mają prawo trzymać u siebie tubkę pasty do zębów, w którą da się wetknąć mały plastikowy woreczek.

Niektórzy więźniowie są tak poważnie uzależnieni, że biorą subutex i metadon w ramach odwyku – łatwo więc coś na nich wymusić szantażem, wystarczy zabrać im tabletki. Dla kogoś, kto wie, jak działa ten system, i cieszy się szacunkiem na zewnątrz, kilka lat w zakładzie to niemal jak wakacje. I jednocześnie trampolina do dalszej kariery. „Tutaj podkręcamy swoje CV. Budujemy mocniejszą siatkę kontaktów. Tak samo wygląda to w waszym świecie, co nie? Pracę dostaje się po znajomości”.

Przytakuję. Co prawda na początku życia zawodowego wystarczy zgłosić się na dane stanowisko, ale im wyżej człowiek chce się piąć po szczeblach kariery, tym bardziej nieodzowna staje się znajomość odpowiednich ludzi.

„Tak samo tutaj! W waszym świecie potrzebujesz kontaktów, żeby załatwić miejsce w marinie albo dostać

dniach, tygodniach, miesiącach w miejscach takich jak to, o wszystkich kupowanych kartach telefonicznych, wszystkich odwiedzających oraz wszystkich wpychanych w pochwy i odbyty woreczkach, dostarczanych ludziom z tego świata, którym nie robi już większej różnicy, czy są w zamknięciu, czy na wolności. Myślę o wszystkich politycznych przedstawieniach, o tym, jak to „rozbijemy gangi” i „powsadzamy ich do więzień”. Ale teraz już rozumiem, że więzienie nie jest miejscem, w którym kariera przestępcza się kończy. Ona dopiero tutaj naprawdę się rozkręca.



Fragmety książki Evin Cetin i Jensa Liljestrand, *Niech twoja matka płacze. Reportaż ze szwedzkich przedmieść*, przeł. Tomasz Feliks, ArtRage, Warszawa 2025

Wieczne odpoczywanie



Wojciech Kuczok

Jasna strona mroku

Złoty nie ma, co najwyżej potężne rozczarowanie, ale mój dziesięcioletni synek musiał się nasłuchać w ostatnich dniach lamentów i w domu, i na ulicy, skoro, wypełniając szkolną ankietę, do rubryki „Co byś chciał zmienić na świecie?” wpisał: „prezydenta Polski”. Z wiekiem nauczyłem się dostrzegać jasną stronę każdego, nawet z pozoru najmroczniejszego faktu; np. kiedy doskwierają mi fobie społeczne w zatłoczonych metropoliach, od których odwykłem, mieszkając na odludziu, uświadamiam sobie, że każda istota tworząca nieprzebrane tłumy, nerwowo i pośpiesznie zmierzające do jakiegoś celu, poczęła się z orgazmu. Jasne, nie wszyscy są owocami miłosnych zbliżeń, pamiętam o dzieciach poczętych z gwałtów, ale kiedy chcę zneutralizować mizantropię, przedzierając się przez masę społeczną, bardziej wolę myśleć o rozkoszy niż o cierpieniu.

Takoż i na myśl o prezydentcie elekcje szukam pozytywów, fakt, że ze świecą, ale jeden nasuwa się natychmiast – zresztą już o tym wspominałem w czasie kampanijnym – nie będzie więcej Dudy. Nielotnego ministranta zastąpi dziarski (czy raczej wydziarany) Edek i pozostaje mieć nadzieję, że ostatnim publicznym fellatio w jego karierze była youtubowa rozmówka z „Panem Doktorem” Mentzenem. W moich oczach nie ma bardziej obrzydliwego wizerunku niż lizusowski Adrian, przebierający nóżkami w antyszambrze prezesa PiS – brutalny cham i fanatyk mniej jest mi ohydny niż człowiek bez charakteru; strategicznie to też lepsza opcja, bo jakkolwiek bunt Dudy przeciw macierzystej partii był niewyobrażalny przez dziesięć lat, tymczasem chuligański temperament Nawrockiego może się okazać dla kaczystów co najmniej niewygodny.

Drugie prawdopodobieństwo korzyści płynących z klęski wyborczej Rafała Trzaskowskiego to wyrwanie z letargu koalicji rządzącej – gdyby wygrał Rafał, rząd Donalda Tuska gotów byłby przespać smacznie kolejne lata i wtedy na kolejne wybory parlamentarne szlibyśmy jak na ścięcie. Teraz już nie ma czego się bać, trza działać – mam nadzieję na konkretne ruchy, których nie robiono wcześniej, aby nie zrazić do siebie potencjalnych wyborców z prawej strony. Począwszy od rekonstrukcji rządu (plotka o wymianie legalisty Bodnara na harcownika Giertycha budzi moją sympatię), na decyzjach samorządowych skończywszy.

Na przykład od kilku miesięcy przy ulicy Wiejskiej 9 dzień w dzień bojówki proliferujące urządzą piekło

wszystkim okolicznym mieszkańcom, trąbiąc ile wlezie w wuwuzele, drąc się w megafony i utrudniając ruch – pod tym adresem mieści się pierwsza w Polsce przychodnia aborcyjna. Policja grzecznie asystuje, ratusz pozostaje bierny, a nieszczęśliwi mieszkańcy mogą tylko wywieszać błagalne transparenty „Obrońcy życia, dajcie nam żyć!”. To nie do uwierzenia, że fanatycy religijni mogą w biały dzień regularnie terroryzować mieszkańców w sercu miasta stołecznego, zarządzanego przez liberalnego prezydenta, tuż obok Sejmu, w którym większość ma antykaczystowska koalicja. Trudno mi sobie wyobrazić, że jeśli doszłoby do zmiany układu sił zarówno w parlamencie, jak i w stołecznym ratuszu, analogiczne manifestacje, dajmy na to Strajku Kobiet, nie zostałyby natychmiast spacyfikowane.

Przegrywamy, bo chcemy grać w szachy na kickbokserskim ringu. Polska nie uwierzyła uśmiechom, dlatego do Pałacu Prezydenckiego wprowadzi się ten kandydat,

Polska nie uwierzyła uśmiechom, dlatego do Pałacu Prezydenckiego wprowadzi się ten kandydat, który prezentował się groźniej.

który prezentował się groźniej. A zatem marzy mi się zaostrenie kursu koalicyjnego, dość mizdrzostw Polski, ale też dość straszenia Polaków PiS – teraz trzeba przstraszyć samo PiS.

W moim przekonaniu, zastrzegam, że laickim, te wybory zostały przegrane przez KO już jesienią, kiedy z góry przesądzony wynik wewnętrznych prawyborów przyklepał kandydaturę Trzaskowskiego. Radek Sikorski dałby odpór kombatanckim wspomnieniom boksera i ustawkowicza – w młodości zamiast po lasach z kijem bejsbolowym ganiał w Afganistanie Sowietów, z karabinem na ramieniu. Dla prawej połowy obywateli nie było wadą wykształcenie Trzaskowskiego, przeskadzał jego pacyfistyczny wizerunek – w czasie wojny u granic naród czuje się bezpieczniej z wodzem, który umie strzelać. Mam nadzieję, że słuchy o niewybieralności Sikorskiego z powodu małżonki Żydówki są krzywdzące dla obywateli – przecież Polki i Polacy nigdy nie byli antysemitami, to tylko okrutne pomówienia, a Braun swoje 6% zawdzięcza wygłupom gówniarzerii, prawda?



Wszystko, o czym nie mówimy

Rodzinne sekrety bywają wyjątkowo uciążliwe

Joanna Flis

(...) Jednym z najczęstszych powodów, dla których rodziny tworzą sekrety, jest lęk przed oceną społeczną. Dawniej, gdy status rodziny był związany z jej reputacją, każdy jej członek miał obowiązek podtrzymywania wizerunku nieskazitelnego rodu. Choroby psychiczne, uzależnienia, rozwody, nieślubne dzieci – wszystko to mogło splamić honor, więc należało to ukryć, zaprzeczyć istnieniu, wyprzeć z pamięci.

Dziś coraz więcej z tych tematów jest normalizowanych, ale nie znaczy to, że sekrety rodzinne zniknęły. Wciąż istnieją tematy, których ludzie wolą nie poruszać, by nie nadszarpnąć wizerunku rodziny. Klienci często mówią o lęku przed przyznaniem się do problemów takich jak uzależnienia, kłopoty finansowe czy choroby.

Sekrety pojawiają się także w imię ochrony członków rodziny przed bólem. Nie mówimy dzieciom, że jesteśmy w separacji, bo chcemy je oszczędzić. Nie informujemy rodziców o naszych problemach, bo nie chcemy ich martwić. Nie wyjaśniamy adoptowanemu dziecku jego

pochodzenia, bo boimy się, że nie uniesie tej wiedzy. W rzeczywistości takie milczenie zazwyczaj nie chroni przed bólem, lecz jedynie go odracza i sprawia, że gdy prawda wychodzi na jaw – a zwykle prędzej czy później wychodzi – rani jeszcze bardziej.

Niektóre sekrety służą utrzymaniu władzy i kontroli w rodzinie. Zatajona zdrada, ukrywane długi, nieujawnione konflikty to sposoby na to, by zachować dotychczasową strukturę rodzinną i uniknąć zmian. Bo każda prawda, która wytrąca rodzinę ze

dziećmi swoje problemy zdrowotne albo jedno z rodzeństwa wie o romansie ojca, a drugie nie. Naturalnie sekrety wewnątrzrodzinne będą dużym obciążeniem, szczególnie gdy uniemożliwiają nawiązywanie współpracy horyzontalnej – między rodzeństwem, między małżeństwem – i prowadzą do zawiązywania koalicji. Czasem obciążając nieadekwatnie do wieku dzieci.

Drugą kategorię stanowią sekrety międzypokoleniowe – tajemnice, które przechowywane są przez lata

Jednym z najczęstszych powodów, dla których rodziny tworzą sekrety, jest lęk przed oceną społeczną.

status quo, wymaga przeorganizowania relacji, wypracowania nowych zasad, a to oznacza wysiłek i konieczność zmierzenia się z niewygodnymi emocjami. Łatwiej więc czasem wybrać milczenie i pozory spokoju, niż podjąć trud transformacji.

Rodzinne sekrety można podzielić na trzy typy. Pierwsze to sekrety wewnątrzrodzinne, czyli takie, które są znane tylko części domowników. Na przykład matka ukrywa przed

i nigdy nie są przekazywane kolejnym pokoleniom. Często są to historie o nieślubnych dzieciach, skomplikowanych rodzinnych relacjach, trudnej przeszłości przodków. Tego rodzaju sekrety często wzmacniają rodzinne tabu, podtrzymując mit i tożsamość rodziny, które się wokół niego kształtują. Służą także zachowaniu poczucia bezpieczeństwa, jakie daje trzymanie się ustalonej narracji.

Trzeci rodzaj to sekrety ukrywane przed światem zewnętrznym – takie, które rodzina trzyma w czterech ścianach, by nie splamić swojego wizerunku. Nikt nie może się dowiedzieć, że ojciec pije, że matka ma problemy psychiczne, że brat był w więzieniu. Obciążają one członków rodziny, którzy nie mogą sięgać po wsparcie z zewnątrz spętani wewnątrzrodzinną niezdrową koalicją.

Niektóre sekrety służą utrzymaniu władzy i kontroli w rodzinie.

Każdy sekret wpływa na dynamikę rodziny. Tworzą się podziały między tymi, którzy wiedzą, a tymi, którzy nie mają pojęcia. Pojawiają się gry rodzinne, w których wszyscy nauczyli się nie zadawać pytań, nie drażnić, nie prowokować.

„Nie bądź taki ciekawy, uszy cię palą”, „Nie wtykaj nosa w nie swoje sprawy” – takie zdania to jasny sygnał, że w rodzinie funkcjonuje sekret i że obowiązuje niepisana umowa, by go nie naruszać. Milczenie przenosi się z pokolenia na pokolenie, a napięcie, które wokół niego narasta, choć niewidzialne, wpływa na emocje i relacje w rodzinie.

Sekrety wymagają strażników – osób odpowiedzialnych za ich pilnowanie, by prawda nie wyszła na jaw. To mogą być ciotki, babcie, rodzice, ale czasem rolę strażnika otrzymuje dziecko, wtajemniczone w sprawy dorosłych i obciążone odpowiedzialnością, której nie jest w stanie unieść. Strażnik sekretu często sam nie ma przestrzeni na własne uczucia, bo jego najważniejszym zadaniem jest dbanie o to, by nic nie wymknęło się spod kontroli.

Sekrety rodzą nieufność. Kiedy dziecko dorasta w domu, gdzie są rzeczy, o których się nie mówi, zaczyna wierzyć w to, że w rodzinie nie można czuć się bezpiecznie. Wchodzi w dorosłość z przekonaniem, że szczerowość jest ryzykowna, że emocje mogą być niewygodne, że bliscy nie muszą znać całej prawdy. I potem, zakładając własną rodzinę, nieświadomie odtwarza te wzorce. Może zauważyć, że dopóki był

w związku, potrafił mówić o wszystkim, ale kiedy relacja przekształciła się w rodzinę, nagle niektóre tematy stały się niewygodne. Nagle zaczęło się przemilczanie, niewyrażanie uczuć, utrzymywanie pozorów – jakby sam fakt bycia rodziną odpałił wcześniej uśpione mechanizmy.

Oczywiście nie oznacza to, że w rodzinie – ani poza nią – wszyscy muszą wiedzieć wszystko o wszystkich. Istnieje naturalne prawo do prywatności, intymności i granic zarówno wewnątrz systemu rodzinnego, jak i wobec świata zewnętrznego.

Każda rodzina ma przestrzeń, w której pewne sprawy pozostają tylko między jej członkami, co jest zupełnie zdrowe i naturalne. Sekrety rodzinne nie są jednak kwestią zwykłej prywatności. Dotyczą bowiem istotnych informacji, celowo zatajanych przed osobami, dla których mogłyby mieć kluczowe znaczenie. Często są to fakty, które mogłyby wpłynąć na tożsamość, relacje i emocjonalne funkcjonowanie danej osoby, ale zostają przed nią ukryte. Z czasem mogą prowadzić do nieświadomych napięć, trudności w budowaniu własnej tożsamości czy nawet przenoszenia wzorców rodzinnych na kolejne pokolenia.

Milczenie zazwyczaj nie chroni przed bólem, lecz jedynie go odracza, gdy prawda wychodzi na jaw rani jeszcze bardziej.

Zdarza się, że sekrety są ukrywane przed wszystkimi, a po latach ich istnienie staje się tak niewygodne, że uniemożliwia włączenie ich w zdrową narrację rodzinną. Bywają również takie, które dotyczą kluczowych informacji pomiędzy członkami rodziny – informacji przekształcanych, podawanych w zdeformowanej postaci lub wręcz zaprzeczanych.

I tak jak w przypadku wszystkiego, co dotyczy terapii systemowej, myśląc o roli sekretów rodzinnych, należy patrzeć przez pryzmat użyteczności. Co jest dla tego systemu użyteczne? Co przestaje być użyteczne? Jaką funkcję pełni sekret w danym momencie?

Bywają oczywiście sytuacje, w których mechanizm sekretu może być „mniejszym złem” – o ile w ogóle można w ten sposób to określić. Każdy przypadek wymaga osadzenia w kontekście życia danej osoby i całej rodziny oraz indywidualnego rozważenia. To, co w jednym systemie przez lata było sposobem na ochronę czy regulację napięcia, w innym może działać destrukcyjnie, blokować rozwój i generować cierpienie.

Tabu

Sekrety rodzinne silnie wiążą się z rodzinnym tabu, czyli z tematami, które w danym systemie rodzinnym są niewyrażane, nietykalne, zablokowane – nie wolno o nich mówić, a jeśli ktoś je poruszy, spotyka się z reakcją obronną systemu: milczeniem, napięciem, zmianą tematu, a czasem nawet agresją. Tabu to coś więcej niż sekret, bo tabu dotyczy nie tylko ukrytej informacji, ale całego sposobu funkcjonowania rodziny.

Tabu w rodzinie często odnosi się do trudnych, wstydliwych, bolesnych doświadczeń, które naruszają mit rodziny jako spójnej, silnej i wartościowej. Mogą być związane z tematami takimi, jak: przemoc i uzależnienia, choroby psychiczne, nieślubne dzieci, adopcje, zdrady

i rozwody, samobójstwa, historie wojenne lub polityczne, orientacja seksualna, tożsamość płciowa, konflikty rodzinne sprzed lat, o których „wszyscy wiedzą, ale nikt nie mówi”.

Rodzinnie tabu ma ogromne znaczenie w terapii systemowej, ponieważ wpływa na to, co w rodzinie wolno czuć, myśleć i mówić. Wszyscy znamy symbol trzech małpek, z których jedna ma zakryte oczy, inna uszy, a jeszcze inna usta. To doskonała metafora tego stanu. Dzieci dorastające w rodzinach, gdzie pewne tematy są tabu, uczą się, że określone emocje i pytania są niebezpieczne. Mogą wewnętrznie czuć, że „coś wisi w powietrzu”, ale nie wiedzą co ▶

► – przez co narastają w nich napięcie, poczucie winy i lęk.

Tabu często utrzymuje się przez pokolenia i może przyczyniać się do tak zwanego transgeneracyjnego przekazu traumy. W rodzinach, w których np. trauma wojenna była tabuizowana, kolejne pokolenia mogą odczuwać nieuzasadniony

Kluczowe są jego konsekwencje: wzorce zachowań, takie jak emocjonalny dystans, nadopiekuńczość i potrzeba kontroli, sposoby radzenia sobie z emocjami, na przykład tłumienie uczuć czy ucieczka w nałogi, a także przekonania, jak choćby to, że rodzina musi się trzymać razem za wszelką cenę.

ten lęk pochodzi. Takie mechanizmy sprawiają, że trauma – mimo że oświadczenie nieprzeżyta – może wpływać na życie kolejnych pokoleń, kształtując ich sposób reagowania na rzeczywistość i na relacje z innymi.

Trauma transgeneracyjna dotyczy nie tylko rodzin, ale też całych społeczności. Pokolenie, które przeszło przez wojnę, głód i przemoc, często nieświadomie wychowywało dzieci w atmosferze lęku i niestabilności. Nawet po zakończeniu konfliktu przekazywano im niepokój o przyszłość, brak poczucia bezpieczeństwa i potrzebę gromadzenia zapasów „na wszelki wypadek”.

Trauma transgeneracyjna w Polsce to przede wszystkim efekt wojen, okupacji i represji PRL, które wpłynęły na sposób myślenia, odczuwania i budowania relacji międzyludzkich kolejnych pokoleń. Jej ślady można dostrzec w naszej nieufności do instytucji, w lęku przed zmianą, w nadmiernym konformizmie lub przeciwnie – w skrajnej podejrzliwości i pieniaczynie. I chociaż kolejne pokolenia mogą nie odczuwać połączenia z przeszłością bezpośrednio, często nieświadomie noszą w sobie dziedzictwo tych nieprzepracowanych traum.

Tabu w rodzinie często odnosi się do wstydliwych, bolesnych doświadczeń, które naruszają mit rodziny jako spójnej i silnej.

lęk, poczucie winy czy powtarzanie schematy unikania bliskości, mimo że nie wiedzą, skąd one się biorą. To właśnie jeden z kluczowych mechanizmów przekazywania traumy transgeneracyjnej. Milczenie wokół trudnych doświadczeń, takich jak przemoc czy utrata, nie oznacza, że nie wpływają one na kolejne pokolenia. To, czego nie widać, jest jedynie tym, o czym nie rozmawiamy, a nie tym, co już nie ma na nas wpływu. Wręcz przeciwnie – tabu w rodzinie staje się niewidzialną siłą kształtującą emocjonalną atmosferę domu, podejście do bliskości i sposoby reagowania na kryzysy.

Aby lepiej zrozumieć wpływ sekretów i tabu w twojej rodzinie, zastanów się nad następującymi pytaniami:

- Czy w mojej rodzinie istnieją tematy, o których nie wolno mówić?
- Jakie role odgrywają poszczególne członkowie mojej rodziny w kontekście tych tajemnic?
- W jaki sposób te sekrety wpływają na moje relacje z innymi?
- Czy odczuwam potrzebę ochrony kogoś poprzez ukrywanie pewnych informacji?
- Jakiego kroki mogę podjąć, aby przerwać cykl milczenia i promować otwartość w rodzinie?

Trauma transgeneracyjna

Trauma transgeneracyjna to rodzaje traumy, której skutki przekazywane są z pokolenia na pokolenie. Nie oznacza to, że samo traumatyczne wydarzenie jest „dziedziczne” – choć takie uproszczenie czasem pojawia się w poppsychologii.

Doktor Yael Danieli, jedna z prekursorów badań nad skutkami traumy Holokaustu, jako pierwsza opisała zjawisko „syndromu przetrwania u dzieci ocalałych”. Zauważyła, że dzieci dorastające w rodzinach ocalałych z wojny, mimo że same nie doświadczyły bezpośredniego zagrożenia, przejmowały niewyraźny ból, lęk i nieoptakaną żałobę rodziców. Milczenie wokół traumy – choć miało chronić – stawało się formą więzi opartej na lojalności i emocjonalnym uwikłaniu.

(...) W rodzinach z historią wojenną często wyznaje się zasadę, że „nie wolno okazywać słabości”. Dziadek,

Pokolenie, które przeszło przez wojnę, głód i przemoc, często nieświadomie wychowywało dzieci w atmosferze lęku i niestabilności.

który przeżył obóz koncentracyjny, mógł przekazać swoim dzieciom, że „chłopaki nie płaczą” i „trzeba być twardym, bo świat jest zagrażający”. W efekcie kolejne pokolenia mogą mieć trudności w wyrażaniu emocji, traktując je jako coś nieakceptowalnego. Przekaz pośredni odbywa się przez atmosferę domu, unikanie tematów i na przykład brak bliskości lub relacje symbiotyczne.

Klasyczny przykład to sytuacja, gdy w rodzinie doszło do tragicznej śmierci, a temat ten jest całkowicie przemilczany. Dziecko dorastające w takim domu może się borykać z niewyjaśnionym poczuciem niepokoju lub z irracjonalnym lękiem przed stratą, nawet nie wiedząc, skąd

Praca nad traumą transgeneracyjną nie polega na „odkopywaniu” każdej historii rodzinnej, ale na zrozumieniu, które mechanizmy wciąż funkcjonują w naszym życiu, oraz na ich świadomym przekształceniu. Niekiedy pomocna okazuje się sama zmiana sposobu opowiadania o dziejach rodziny, nadanie im nowych znaczeń, np. dostrzeżenie zasobów, nie zaś tylko cierpienia. Czasem wystarczą same rozmowy z bliskimi, analiza rodzinnych mitów, rytuałów i tabu.

Joanna Flis, *Gry rodzinne*, Znak, Kraków 2025



Tomasz Kłosowski

Po tafli zamrożonego zalewiska, gdzieś między Wierciszewem a Wizną, posuwa się postać w białym kitlu. Lekarz? Lekarz. Z bliska byłoby widać, że nie jeden kitel ma na sobie, ale strój uszyty z kilku wystużonych lekarskich fartuchów, zwieczony kapturem. To chirurg, ortopeda traumatolog, mogący przyszyć człowiekowi utraconą rękę czy nogę, a tym bardziej zszyć ze sobą zgrabnie kilka wystużonych szpitalnych przyodziewków. Teraz jednak nie ma w rękach ani igły, ani też lancetu czy innych budzących dreszcz narzędzi, ale czarny sprzęt fotograficzny, widoczny najlepiej ze wszystkiego, co ma przy sobie i na sobie. Bo cała ta biała maskarada po to, by nie być widocznym dla bystrych oczu mieszkańców tego, teraz prawie całkiem skutego lodem miejsca.

Lekarze są od dbania o cudze zdrowie, nie o swoje, które wielu z nich traktuje z zadziwiającą bez troską. (...) Wiem jednak na pewno, że wspomnienia naszego traumatologa bywają traumatyczne. Jak na przykład to:

Zimowa Narew i przysypane śniegiem starorzecza z lotu ptaka. Wydry jednak oglądają nadrzeczny pejzaż, wychylając się z przerębli. Ulubione ścieżki wydr biegną wzdłuż granicy lodu z niezamrożonym nurtem rzeki. Za nimi podąża dr Paweł Świątkiewicz w nadziei na sugestywne fotograficzne portrety.

– Zobaczyłem w pasie niezamrożonej, płynącej wody dwie ciemne plamy. Jeszcze nie miałem pewności, czy to one, bo było za daleko, by je rozpoznać, a zwłaszcza utrwalić na zdjęciach.

Co więc zrobić? Dla lekarza nic nie jest przecież tak ważne jak rozpoznanie – w medycynie choroby, a tu, na łowach z aparatem, gatunku zwierzęcia. Nie miał tak naprawdę wątpliwości, że to muszą być jego upragnione wydry, chciał jednak mieć pewność.

– Ruszyłem po lodzie, ale był zbyt kruchy, więc padłem na zaśnieżoną taflę, by dalej się czotgać w stronę obiecującej zdobyczy. Podpełzłem



WYDRA prosi do tańca

Są zwinne, bystre i niezbyt lęдлиwe.
Potrafią zaskoczyć

blisko, już mogłem robić zwierzątkom zdjęcia, gdy nagle lód zaczął się uginać pod mną jak guma, na powierzchni wypłynęła fala i zaczęła mnie ogarniać. Aż nagle nurt porwał mnie i uniół jak pustą butelkę. Dobrze, że w stronę krzaka toży, którego gałęzi się uchwyciłem i jakoś wyostałem z matni. (...)

Na szczęście po tej przygodzie nie dostałem zapalenia płuc. A dla podjęcia ryzykownej akcji miał, jak sądził, nader ważny dla tropiciela dzikich zwierząt powód:

– Koniec zimy to przecież czas godowy wydr. Z natury są samotnikami, więc jak się widzi dwie obok siebie, a jedna trzyma w pysku rybę, to ani chybi mamy przed sobą tokującą parę – dowodzi z zapałem nasz tropiciel.

Przecucie podbudowane dość wiadczeniem go nie zawiodło i za-

rejestrował unikatową scenę aktu miłosnego wydr, dla których lodowata woda to najlepsze miłosne łożo. Kontakt z tymi wyjątkowymi ssakami nie zapędził ryzykanta do łóżka z gorączką – najwyraźniej od środka ogrzewał go fotograficzny zapał. Wydry jakby były dlań stworzone. Są zwinne, bystre, niezbyt lęдлиwe. Potrafią zaskoczyć. Oto nagle z przerębli wyłania się głowa tego wodnego drapieżcy z rybą w pysku. Zaczyna zajądać zdobycz, niezbyt się przejmując obecnością widza, o ile ten nie zachowuje się zbyt natarczywie i nie podchodzi blisko. Zimą, gdy trwają gody tych ssaków, niespodziewanie można ujrzeć po trzy, cztery sztuki uganiające się po lodzie.

Narew, jako niezbyt szeroka rzeka, jest znakomitym polem do takich obserwacji i łowiskiem dla fotografa z teleobiektywem. Gonitwy i płąsy ▶

▶ to zwykle przejaw uwodzenia upatrzonej samicy przez kilku samców i ich rywalizacji o jej względy. Wydra na ogół zajmuje sobie jakieś 2 km biegu rzeki i z tego terytorium przegania sąsiadów. Ale w okresie godów pękają wszelkie granice i zaczyna się wśród samców walka o partnerki, często brutalna i krwawa.

Samiec przebywający pojedynczo przy samicy raczej opisuje się

odbywają się obchody. Tam zagląda się w karty pacjentów, tu szuka się śladów i robi wszystko, żeby stanąć twarzą w twarz z tropionym.

– Badanie tropów zwierzyny jest bardzo podobne do rozpoznawania chorób. Jak cholera! – zapewnia z mocą mój rozmówca. Co prawda z tą ostatnią chorobą raczej nie ma do czynienia. Jako ortopeda ogląda ofiary wypadków, urazów mechanicznych i bójek.

Wydry robią nawet zapasy: nie zabijają ofiar, ale odgryzają im kończyny, a rybom płetwy, by nie mogły uciec ze „spizarni”.

zdobyczą i różnymi wygibasami. Baraszkowanie rozochoconych wydr to znakomity temat dla zapaleńców fotografii, takich jak nasz lekarz.

Okazuje się, że Paweł śledzi te zwierzęta od lat. Twierdzi, że niektóre nie tylko przed nim nie uciekają, ale wręcz na jego widok zaczynają coś w rodzaju popisów. Jakby go zapraszały do tańca. Zachowują się tak zwłaszcza w porze godów, kiedy potrzeba zwrócenia na siebie uwagi bywa ważniejsza od strachu i głodu – bo zwierzęta muszą za wszelką cenę udowodnić swoją wartość.

Paweł spędza w terenie każdą wolną chwilę, a że pracuje w Białymstoku, nad Narew ma blisko. Zdejmuje fartuch lekarski, zakłada ten uszyty z kilku starych albo jakiś inny terenowy ubiór – i rusza na znane sobie szlaki. Mówi, że to dla niego ucieczka od męczącej codzienności przychodni i szpitala. Ale nawet tu, nad rzeką, nie przestaje być lekarzem. Człowiek, który przyszywa innym kończyny, musi znać meandry ścięgien, nerwów i naczyń krwionośnych, działać precyzyjnie, ale zdecydowanie. Mówi, że gdy ma wkląć igłę chirurgiczną, musi wyczuć moment między jednym a drugim uderzeniem serca pacjenta. Zapewnia nie bez dumy, że z przyszytych przez niego rąk tylko kilka się „nie przyjęło” i wymagało ponownych interwencji. Ma zresztą opinię znakomitego fachowca. A wszystkie te umiejętności przydają się w plątaniu dawnych i dzisiejszych koryt nieokietzanej Narwi. Tutaj, tak jak w klinice,

To ukształtowało jego spojrzenie na dzikie zwierzęta, zwłaszcza na wydry. Rozpoznaje poszczególne osobniki po bliznach i kontuzjach. Czasem są to ślady bardzo dawnych urazów. Zauważa np., które zwierzę lekko kuleje lub ma jakąś wadę postawy. To sprawia, że zauważa zmiany w zachowaniu stałych „pacjentów”. Choć jest ortopedą, a nie chirurgiem szczękowym, zauważył, że pewna wydra ma ułamany prawy kieł. Takie osobniki stara się sportretować, by ich braki i blizny uwidocznić, jakby dokumentowanie przypadków medycznych miało stanowić cel jego tropicielskich wysiłków. Dzięki temu odkrywa, jak wiele te zwierzęta o gładkich lśniących futrach mają na sobie szram, blizn i otarć. Niektóre

Lodowata woda to najlepsze miłosne łożo dla wydr.

od razu wystąpiłby na stół operacyjny. A już zwłaszcza samce, które w okresie godowych walk miewają całe pyski we krwi.

Widok krwi nie jest dla chirurga niczym rażącym, bo widuje ją na co dzień w pracy. Kiedyś była dlań też „farbą”, gdyż polował. Gdy jednak przyjrzał się zachowaniu niektórych kolegów z flintami, ich wątpliwej etyce, a nieraz podłości i łamaniu przepisów, szybko wyrzekł się łowiectwa. (...) Jeżeli nie zabija się zwierząt, a jedynie uwiecznia na matrycy aparatu, można je spotykać wielokrotnie, by poznawać zachowania i charaktery swoich fotomodeli.

Zupełnie jak w gabinecie lekarskim. Paweł mówi, że nawet to, w jaki sposób ktoś wchodzi do gabinetu, mówi wiele o jego psychice, a nawet schorzeniach. Zdarza się, że stanowi to dla niego podstawę do dalszej diagnostyki.

Po zachowaniu podchodzonego zwierzęcia i jego reakcji na obiektyw aparatu można z kolei poznać, jakim – i czy wartym dalszego zachodu – stanie się fotomodelem. Wydry są pod tym względem wyjątkowo pociągające. To inteligentne zwierzęta, a takie odznaczają się różnicowaniem zachowań i indywidualnością. Dowodami ich inteligencji są skłonność do zabawy, a także ciekawość świata.

Nasz bohater ma tutaj tych charakterów i zachowań do wyboru, do koloru. Wydry w Narwi są bowiem całkiem liczne, wyraźnie liczniejsze niż kiedyś. Pożywienia im nie brakuje, gdyż polują nie tylko na ryby – potrafią także wydobywać z podwodnych kryjówek zimujące żaby i inne płazy. Ba, robią nawet zapasy, i to w sposób, który wydał nam się wyjątkowo perfidny: oto nie zabijają ofiar, ale odgryzają im kończyny, a rybom płetwy, by nie mogły uciec ze „spizarni”. Ich ciała pozostają jednak żywe, a mięso świeże. Paweł pokazywał nam zdjęcia, na których w pyskach wydr widnieją czarne, kuliste obiekty. To właśnie żaby pozbawione kończyn.

Z myślistwa pozostał naszemu fotograficznemu łowcy wielki zapal, bardzo pierwotny i mocny, skłaniający do wysiłków, na jakie, zdaniem pewnego myśliwego, autora książki „Czytam las”, człowiek może się zdobyć „tylko w okresie wojny” (...). Paweł robi wrażenie istoty niezniszczalnej – ma wspaniałe szczupłą, sportową sylwetkę. Najwyraźniej pogoń za wydrami przynosi też dodatkowe korzyści. Ale sam przyznaje, że kiedyś przez wydrę mocno przytył.

– Znajomy miał w pobliżu Narwi staw, z którego jakaś uparta wydra ciągle podkradała mu ryby – zaczyna kolejną opowieść. – Zawziął się



na nią, a że miał starą lunetę, postawił ją nad stawem i potrafił przy niej całą dobę warować. Ja dołączyłem ze swoją optyczną lufą na statywie. Ale chytra złodziejka zjawiała się przeważnie nie częściej jak raz na trzy godziny, i to na krótką chwilę. A co przez te godziny robić? Więc siedziałem w barze. A że przy samej herbacie albo mineralnej z bąbelkami jakoś nie wypadało, no to się brało raz schabowego z jajkiem, to znów golonkę z chrzanem albo naleśniczki z dżemem i śmietaną. I tak na zmianę – przez dwa tygodnie. I okazało się, że łachy na mnie nie wchodzą. Przytyłem 7 kilo!

Przy takiej diecie nietrudno uwieńczyć w podobnie dramatyczny efekt. Trudniej uwierzyć doktorowi, gdy opowiada, jak to swojego puszystego kolegę fotografa przegonił kilkanaście kilometrów po bagnie, a po tej jednej wycieczce tamten schudł 11 kg!

W ogóle w opowieściach Pawła roi się od wątków, w których prawdziwość trudno uwierzyć. A to mu do czatowni weszły dzikie gęsi, a to spotkał głuszca na asfalcie, a to żubr zagnał go na stalowy słup pod wysokim napięciem. Cóż, to chyba też scheda po łowiectwie, gdzie powszechna jest tzw. łacina myśliwska – opowieści snute przy ognisku, pełne przechwałek i barwnych zmyśleń, choć nieraz osnute wokół prawdziwych, lecz mniej sensacyjnych zdarzeń.

Ale doktor ma na wszystko dowody w postaci tysięcy zdjęć, które

Wydry w Narwi są wyraźnie liczniejsze niż kiedyś. Pożywienia im nie brakuje, gdyż polują nie tylko na ryby.

ochoczo prezentuje przy łada okazji. Wystarczy usiąść z nim w barze przy herbacie, a on natychmiast wyciąga laptop. Klik – i masz przed oczyma okazałego łosia, klik – i z krzaków wynurza się odyniec, klik – i wydra wзира z przerebłą, trzymając się skraju lodu palcami zbrojnymi w pazurki. Klik – i nagle ukazują się skrwawione, odcięte palce obok pozbawionej ich dłoni, do której zaraz będą przyszywane, klik – zbliżenie jakiejś świeżo zszyciej rany.

– Czasem robię sobie takie notatki z operacji – mówi bez zażenowania autor pokazu.

Następne kliknięcie zabiera nas w łan kwitnących na mokradle kaczalców, a zaraz potem do całej galerii portretów dzikich zwierząt. Na fotografiach dominują wydry. Zdumiewające, jak w portretowych ujęciach różnią się od siebie rozmaite osobniki, gdy tymczasem mamy skłonność do postrzegania ich – na podstawie wizerunków w atlasach – jako istot bliźniaczo podobnych, jakby z jednej serii. Patrząc na zestaw portretów, można pomyśleć, że zrobienie takich zdjęć to łatwa zabawa. Tymczasem zwierzęta – a wydry w pierwszym rzędzie – potrafią nawet doświadczonego tropiciela wyprowadzić w pole

albo – całkiem dostownie – zostać na łodzi bez jednego zdjęcia w aparacie.

Z taką wydrą zmagał się kiedyś nasz bohater. I to – o zgrozo! – ze starą znajomą, którą od dłuższego czasu obserwował z tego samego miejsca na brzegu Narwi. To nurkowała, to wypływała, zapewniając aparatowi Pawła obfity optyczny żer. Aż nagle znikła.

– Gdyby odplynęła, musiałbym ją po chwili zobaczyć gdzieś na rzece – objaśnia fotograficzny nemrod. – Nie wytrzyma pod wodą dłużej jak kilka minut. Musi nabrać powietrza. A tu jak kamień w wodę!

Wracając jak niepyszny, nasz bohater przechodził obok stawu założonego nieopodal przez jakiegoś gospodarza. I tam ją dojrzał! Jakim cudem wymknęła się niezauważona? Okazało się, że z rzeki do stawu prowadził dziki tunel, być może wygrzebany przez bobry. Wydry dość chętnie korzystają z opuszczonych nor tych nadwodnych budowniczych, by tam składać swoją okaleczoną, ale wciąż żywą zdobycz.

Spryt i coś w rodzaju zmysłu praktycznego tych drapieżników to w ogóle cechy godne podziwu, o czym najlepiej wiedzą ci, którzy trzymali te zwierzęta w domu, jak znany przyrodnik i dziennikarz „Gazety Wyborczej” Adam Wajrak. W jego domu zamieszkał osobnik tego gatunku o imieniu Julek, który nauczył się odkręcać krany. Dla istoty z natury spragnionej stałego dostępu do wody była to umiejętność bezcenna. Gospodarz, chcąc na jakiś czas opuścić dom, musiał zakręcać główny zawór wodociągu, inaczej miałby u siebie nieustający potop. Ale sprytny kombinator w futerku wyszedł także to zabezpieczenie i zaczął zeń korzystać. (...)



Fragmety książki Tomasza Kłosowskiego *Narew. Opowieści o niepokornej rzece, Paśny Buriat, Suwałki 2025*

MSZ głową w ścianę

Jacek Lzydorczyk to były ambasador w Tokio. W roku 2019 został z placówki odwołany w atmosferze skandalu. Pisaliśmy o tym wielokrotnie.

Efektom owego skandalu były sprawy sądowe. Jak wyliczył Lzydorczyk, łącznie ze sprawami odpryskowymi było ich kilkadziesiąt. I gdyby nie to, że jest profesorem prawa, więc może bronić się sam, musiałby wydać na prawników kilkaset tysięcy złotych.

Te sprawy powoli się kończą, to znaczy Lzydorczyk po kolei je wygrywa. Właśnie wygrał kolejną i warto temu się przyjrzeć, bo okoliczności towarzyszące pokazują styl funkcjonowania MSZ.

Gdy Andrzej Papier, ówczesny dyrektor generalny MSZ, podjął decyzję o odwołaniu Lzydorczyka, powstał problem, jaki ma być powód tej decyzji. I powód się znalazł – oskarżono ambasadora o malwersacje finansowe. Konkretnie zaś 15 listopada 2019 r. Papier złożył na Lzydorczyka skargę do rzecznika dyscypliny finansów publicznych. Trafiła ona do komisji działającej przy Ministerstwie Finansów – Głównej Komisji Orzekającej w Sprawach o Naruszenie Dyscypliny Finansów Publicznych. Zarzutem było naruszenie dyscypliny finansów publicznych. O co chodziło? Ano o to, że na oficjalne uroczystości, na które ambasador był zapraszany wraz z małżonką, jeździł z nią, przedstawiając później do refundacji rachunki za bilety kolejowe i hotel. W sumie na 4186 zł.

Papierz upierał się, że za żonę ambasador powinien płacić z własnej kieszeni. I w tym celu, by to przestępstwo wykryć, do Tokio przyleciała klasą biznes trzyosobowa delegacja z MSZ. Można w ciemno zakładać, że jeden bilet na tej linii w klasie biznes to koszt 40-50 tys. zł. Dodajmy do tego koszt hoteli. Potem

wysłano drugą trzyosobową delegację. I po wydaniu kilkuset tysięcy złotych oskarżono Lzydorczyka o sprzeniewierzenie 4 tys. A dodatkowo, w imieniu ambasady w Japonii, oskarżył go jego następca, ambasador Milewski, podnosząc zresztą kwotę do 9 tys. zł.

Po paru latach i batalii w kilku instancjach Lzydorczyk sprawę z rzecznikiem dyscypliny finansów publicznych wygrał. Sąd przyznał, że miał prawo sfinansować żonie z pieniędzy ambasady bilety i hotel.

Gdy ten wyrok się uprawomocnił, szefem MSZ był już Radosław Sikorski. Lzydorczyk złożył więc do Sikorskiego pismo z informacją o niewinnieniu, załączając orzeczenie, i poprosił o dołączenie ich do swoich akt osobowych. Co też MSZ uczyniło.

Nie zrobiło jednak czegoś innego – nie wycofało oskarżenia, które w tej samej sprawie złożył przeciwko Lzydorczykowi Milewski! I mimo że MSZ przegrało tę sprawę w pierwszej instancji, prawnicy ministerstwa złożyli od wyroku apelację!

Pisał Lzydorczyk do MSZ, do rzecznika Wrońskiego, by resort apelację wycofał, bo sąd już wydał w tej sprawie wyrok. Jak grochem o ścianę! W ministerstwie tłumaczono to w ten sposób, że zawsze trzeba bronić jego interesów. Do końca. Ale nie wytłumaczono, czy także topiąc pieniądze w sprawach skazanych na przegraną. I prawnie niebezpiecznych – bo żądanie zapłaty nieistniejącego zobowiązania to przestępstwo.

Oto więc MSZ w pełnej krasie – żeby zniszczyć człowieka, oskarża się go o niezgodne z prawem wydanie 4 tys. zł. A potem, żeby to brzmiało poważnie, wydaje się kilkaset tysięcy na delegację, kwity, wnioski i sprawy sądowe. Jak widać, wydawanie państwowych pieniędzy nie boli.

R

Ręka w rękę prezydent Francji Emmanuel Macron z żoną Brigitte i prezydent Brazylii Luiz Inácio Lula da Silva z żoną Rosângelą opuszczają po ceremonii powitalnej paryski Hôtel des Invalides. 5 czerwca 2025 r.





PENETRACJE



PROF. TADEUSZ KLEMENTEWICZ,
NAUKI SPOŁECZNE, UW

Czy poważna debata nad tym, co robić tu i teraz, jest możliwa w telemeledemokracji, tym produkcji mediów, marketingu i fejsbukowego odmóżdzenia? Obywatel to teraz uczestnik jarmarczniczego spektaklu, klaskaniem mający obrzętką prawicę. Organizują go infantylni politycy, których charakteryzuje woluntarystyczna bezideowość. Charakteryzuje ona całą tzw. klasę polityczną, od prawicy do parlamentarnej lewicy. W jej języku słowa kapitalizm i wyzysk już nie zagoszczą. Wyborca to w istocie zdiecinniały obywatel bez tożsamości i bez poglądów, napelniony przez różne media emocjami. I dlatego jego indywidualność to tylko kolaż obiegowych, fejsbukowych opinii, stereotypów, kalkomanii ocen i schematów wdrożonych przez szkołę, ambonę, akademię, w tym również parlamenty i collegia tumana.



MAREK SAWICKI,
PSL, MARSZAŁEK SENIOR SEJMU

Dwie trzecie obecnych ministrów i wiceministrów wywalilibym na zbitą mordę i co najmniej połowę urzędników z administracji centralnej, jeśli chcemy sprawnie funkcjonować jako państwo. Mamy tak wielki przerost administracji centralnej, że urzędnicy niemający wystarczająco dużo pracy wymyślają głupoty jeden przeciwko drugiemu, zamiast zajmować się rozwiązywaniem spraw dotyczących ludzi, przedsiębiorstw, zarządzaniem podległymi im obszarami. Mam na myśli przede wszystkim zdrowie, bezpieczeństwo. Od 1989 r. tak mało sprawczego, tak leniwego rządu jeszcze nie było. Dziś, gdyby premier oświadczył, że połowę urzędników z administracji centralnej przekazuje do dyspozycji przedsiębiorców, którzy potrzebują rąk do pracy, to nikt z obywateli by nie narzekał, że administracja została odchudzona, nikt by tego nie zauważył, a może by zauważył, że wszystko działa sprawniej.



JAN FUSIECKI,
PUBLICYSTA

Agnieszka Wiśniewska, była redaktorka naczelna „Krytyki Politycznej”, nie chce podać ani kwot, ani programów, które zostaną wstrzymane. Odsyła do lektury obowiązkowych sprawozdań finansowych. Kłopot w tym, że najnowsze dostępne sprawozdanie finansowe dotyczy 2023 r., a na podstawie przedstawionych hasłowo opisów nie można z całą pewnością stwierdzić, które z nich mają źródło w Stanach Zjednoczonych. Z lektury sprawozdania za 2023 r. dowiadujemy się, że największymi grantodawcami wydawcy „Krytyki Politycznej” w 2023 r. były m.in.: Urząd Miasta Stołecznego Warszawy (ponad 2,2 mln zł), Komisja Europejska (prawie 2,8 mln zł) oraz firma Robert Bosch Stiftung GmbH (prawie ćwierć miliona zł).



EWA WACHOWICZ,
AUTORKA PROGRAMÓW I KSIĄŻEK KULINARNYCH

Jak długo codziennie pracujesz?

– Budzę się o 5.55, bo potrzebuję godziny na swoje rytuały. Wszłam w okres przekwitania, muszę dbać o ciało, słuchać go: piję ciepłą wodę ze szczyptą soli, żeby rozruszać organizm, robię masaż twarzy, żeby nie było opuchlizny, później ćwiczenia, świadome oddychanie, makijaż i mogę ruszać. A pracuję... aż skończę. Staram się to zmienić. „Ewa gotuje” to najdłuższy program kulinarny w polskiej telewizji! Nagrałam już 540 odcinków. Idę tropem Julii Child, która występowała na wizji po osiemdziesiątce. Jej kuchnia została przeniesiona do Muzeum Historii Amerykańskiej w Waszyngtonie. Nie wiem, czy z moją tak będzie.

20% WIDOCZNOŚCI

Spróbuj odczytać hasło widoczne tylko częściowo – myśl, której autorem jest Antoni Słonimski.

DOWCIP JEST DOWCIP
DOWCIP JEST DOWCIP,
ALE NIE NALEŻY KARĄĆ
ZA NIELEGALNE
POSADZANIE DOWCIPU.
DOWCIP JEST DOWCIP,
ALE NIE NALEŻY KARĄĆ
ZA NIELEGALNE
POSADZANIE DOWCIPU.

DOWCIP JEST DOWCIP, ALE NIE NALEŻY KARĄĆ ZA NIELEGALNE POSADZANIE DOWCIPU.



Aby język giętki...

MARCIN DUMA O ROLI PREZYDENTA

Musimy się zdecydować: albo prezydentą wzmocnić, albo przestać udawać, że jego silny mandat jest nam potrzebny.

JAKUB ŻULCZYK O ANDRZEJU DUDZIE

Jestem pisarzem i mam do powiedzenia coś więcej o polityce, władzy niż tylko to, że ktoś jest debilem albo nie jest.

PROF. IWONA LORENC O ZMIENNOŚCI ŚWIATA

Umiłowanie losu – amor fati – ta stoicka formuła może być optymistyczną ofertą na trudne czasy.

ANDRZEJ OLECHOWSKI O ZBROJENIÓWCE

Środowisko polskiego przemysłu zbrojeniowego jest niekompetentne i skorumpowane.

ARKADIUSZ JAKUBIK O WOJCIECHU SMARZOWSKIM

Jest najbardziej bezkompromisowym polskim twórcą, który po prostu musi wziąć na warsztat temat, który go obchodzi.

KATARZYNA GAERTNER O MARYLI RODOWICZ

Bardzo lubiłam jej głos. Jej interpretacja nadawała mojej muzyce głębię. Powstało wiele przebojów („Małgośka”, „Hej, dzień się budzi”, „Wielka woda”...).

CEZARY KUCHARSKI O ROBERCIE LEWANDOWSKIM

Proponowałem mu różne kwoty na zakończenie naszego wspólnego biznesu – 20 mln euro, 15, 10 itd. Prawa do wizerunku piłkarza mam do 2030 r.



ADRES REDAKCJI

03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 wew. 119
przeгляд@tygodnikprzeгляд.pl
listy@tygodnikprzeгляд.pl

tygodnikprzeгляд.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański j.domanski@tygodnikprzeгляд.pl
Pierwszy zastępca redaktora naczelnego: Paweł Dybicz
Zastępcy redaktora naczelnego: Roman Kurkiewicz, Robert Walenciak
Sekretarze redakcji:

Agata Gogolkiewicz a.gogolkiewicz@tygodnikprzeгляд.pl
Marzena Michalek m.michalek@tygodnikprzeгляд.pl
Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko

Koordynator do spraw wydawniczych: Ilona Morzół i.morzol@tygodnikprzeгляд.pl

ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY:

Marek Czarkowski, Regina Dachówna, Jakub Dymek,
Beata Dżon-Ozimek, Jakub Katulski, Leszek Konarski,
Marek Książek, Helena Leman, Mateusz Mazzini,
Tomasz Miłkowski, Jan Ordyński, Jacek Patkiewicz, Rafał Pikuła,

Maciej Polkowski, Eliza Sarnacka-Mahoney, Michał Sobczyk,
Małgorzata Szczepańska-Piszcz, Bronisław Tumulowicz,
Krzysztof Wasilewski, Kornel Wawrzyniak,
Andrzej Werblan, Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska,
Artur Zaborski, Beata Znamierowska-Soczawa
Stali felietoniści: Stanisław Filipowicz, Tomasz Jastrun,
Wojciech Kuczek, Bronisław Łagowski,
Andrzej Romanowski, Andrzej Szahaj, Jan Widacki,
Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May
Studio graficzne: Dorota Markowska-Burzelka, Anna Rosiak,
Daria Słowińska-Kettner

Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska
Fotoredaktorzy: Magdalena Głuska, Rafał Pyznar
Fotoreporter: Krzysztof Żuczkowski

Dział wydawnictw i reklamy:
Dyrektor: Anna Banaszek a.banaszek@tygodnikprzeгляд.pl
Koordynator do spraw promocji i reklamy:

Joanna Biegalska j.biegalska@tygodnikprzeгляд.pl
Dział kolportażu: tel. +48 22 635 84 10 wew. 120
e-mail: kolportaz@tygodnikprzeгляд.pl
Wydawnictwa książkowe: tel. +48 22 635 84 10 wew. 111
e-mail: sklep@tygodnikprzeгляд.pl

Sprzedaj elektroniczna: sklep.tygodnikprzeгляд.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada. Redakcja ma prawo do odmowy publikacji ogłoszeń.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w „Przeглядzie” bez zgody wydawcy jest zabronione. Przedruki po uzyskaniu zgody wydawcy. Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

Druk: Quad/Graphics Europe Sp. z o.o.
07-200 Wyszaków, ul. Pułtуска 120

WYDAWCA: Fundacja Oratio Recta
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
NIP: 951-19-67-251, REGON: 016275090
KOD SWIFT: WKBKPLPP, IBAN: PL
Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821



Ewa Ćwikła, artystka o wielkiej wrażliwości wizualnej, mistrzyni światła i detalu, łączy klasyczną elegancję z nowoczesną precyzją techniczną. Jej fotografie i obrazy inspirowane są zarówno stylem art déco, jak i malarstwem holenderskim. Sięga po techniki tradycyjne oraz mixed media, tworząc kompozycje o bogatej teksturze. W portretach nie tylko oddaje zewnętrzne piękno modelek i modeli, ale również zatrzymuje w kadrze ich przeżycia.

Willa ART DECO
Podkowa Leśna, ul. Modrzewiowa 45
do 13 września

FOT. MATERIAŁY PRASOWE



Ewa Ćwikła

Jej portret i inne herstorie



powszechny

Teatr, który się wtrąca

Adamczyk
Bendyk
Czachor
Duszyński
Fiedorczuk
Ilczuk
Lange
Met
Nieżgoda
Paradowski
Robaszkiewicz
Rucińska
Ryfa Ri
Sikora
Smolar
Stoczyński
Świeżewski

Kobieta samotna

spektakl inspirowany scenariuszem
Agnieszki Holland i Macieja Karpińskiego

premiera
warszawska
14.06.2025
premiera
poznajska
Malta Festival
28.06.2025



homework: Córka, Stakun

BANDE À PART FILMS RED LION ET LES FILMS DU POISSON
PRÉSENTUJA

W UKRYCIU

DOMINIQUE MICHEL WILLIAM AURÉLIEN LILIANE
REYMOND BLANC LEBGHIL GABRIELLI ROVERE

REŻYSERIA
LIONEL BAIER



avec ETHAN CHAMIENT ADRIEN BARRAZZONE LARISA HABER GILLES PRIVAT
scénario AGNIESZKA RAMU LAETITIA GONZALEZ YAËL FOGHEL VINCENT QUÉNAULT JEANNE GERBEN coproducteur LIONEL BAIER « CATHERINE CHARNIER directeur général des ventes de CHRISTOPHE BOLTANSKI directeur de la production Stood aux finances 2015
image PATRICK LINDENMAIER « CARLO THOSS « PAULINE GAILLARD « réalisateur et la réalisatrice « GEORGIA DE COPPI « VÉRONIQUE SACRÉZ « scénariste ISA BOUCHARLAT
coproducteur et distributeur LAURA PELLICCIOTTA « coproducteur RAPHAËL SOHIER « coproducteur MAXENCE CIEKAWY « monteur DIEGO BALDENWEG « coproducteur NORA BALDENWEG « LIONEL BALDENWEG
une coproduction SUISSE-LUXEMBOURG-FRANCE BANDE À PART FILMS RED LION « LES FILMS DU POISSON « une coproduction France RT5 RADIO TÉLÉVISION SUISSE SRG SSR
avec le soutien de l'OFFICE FÉDÉRAL DE LA CULTURE (OFC) « le FILM FUND LUXEMBOURG « le CENTRE NATIONAL DU CINÉMA ET DE L'IMAGE ANIMÉE « avec le patronage de CINÉFORUM « avec le soutien de la LOTERIE ROMANDE
avec le soutien de CANAL+ « avec le patronage de la FONDATION POUR LA MÉMOIRE DE LA SHOAH « FONDS CULTUREL SUISSIMAGE « MEDIA DESK SUISSE « SUCCÈS PASSAGE ANTENNE « SRG SSR
« une coproduction avec INDEFILMS 13 « distributeur France PATHE FILMS AG « distributeur France LES FILMS DU LOSANGE « avec le soutien de « MK2 FILMS

CON
OUVE



W KINACH OD 13 CZERWCA